www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 27 (1069)
29.06-5.07.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Przemysław Wielgosz
Wirus kapitalizmu

Prof. Andrzej Ziemba
Naciągani na suplementy diety

Biotechnologie – topienie unijnych pieniędzy

Pracownicy Biedronki szukają pomocy

JAROSŁAW 2020

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
27 >
9 771509 311003

26
2020
Jazz
na
Starówce
Międzynarodowy
Plenerowy
Festiwal
4 lipca - 29 sierpnia 2020
Warszawa, Rynek Starego Miasta godz. 19⁰⁰
www.jazznastarowce.pl

Organizator

Partnerzy

Patroni Medialni

eprasa.pl 91f094e227

CYTATY

STANISŁAW TYM,
reżyser, aktor, satyryk
Byłoby wspaniale, gdyby Andrzej Duda zaproponował Trumpowi wspólny lot na Marsa jeszcze w tym roku.
„Polityka"

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO,
były wicepremier, Akademia Leona Koźmińskiego
Podsycanie rusofobii i sinofobii szkodzi narodowemu bezpieczeństwu i utrudnia rozwój gospodarczy.
„Rzeczpospolita"

MIKOŁAJ GRABOWSKI,
reżyser, aktor
Polska XVIII-wieczna była Polską cwaniaków, totalnych egoistów, dla których zbiorowe zadania w ogóle się nie liczyły.
„Dziennik Gazeta Prawna"

PROF. MARCIN KRÓL,
filozof, historyk idei
Polska łaknie przede wszystkim wielkich reform społecznych i to lewica powinna je przeprowadzić.
„Trybuna"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Petent u bufona

Trudno mnie zaliczyć do zwolenników prezydenta Dudy, ale nawet ja byłem zażenowany tym, jak prezydent Trump go potraktował. Poleciał tak daleko, by usłyszeć pochwały skromniejsze od tych, którymi Trump obdarował Kim Dzong Una. Pamiętamy przecież, co Trump mówił o swoim wielkim przyjacielu Kimie. O tym, jak robi on świetną robotę, i o wspaniałych, wyjątkowych rozmowach z Kim Dzong Unem. Duda dostał od Trumpa tylko część tych komplementów. Aż żal, że przy tylu wspólnych cechach panowie jeszcze się nie spotkali w trójkę. Byłoby trochę rozrywki.

Z Trumpa szydzą sami Amerykanie. Świat unika go jako niebezpiecznego ignoranta. A przy tym bufona i aroganta.

Kochają go głównie Netanjahu i Duda. Też interesownie. Ale patrzenie na umizgi polskiego prezydenta i jego wiernopoddańcze słowa i gesty wobec Trumpa do miłych nie należy.

Wiemy, na co liczyła polska ekipa lecąca do Waszyngtonu. Po minach Polaków na konferencji prasowej widać było, że amerykański wielmoża zbył ich ogólnikami. Gdy przyszło do pochwalenia się sukcesami, okazało się, że największym była zapowiedź polsko-amerykańskiej współpracy nad szczepionką na COVID-19. I deklaracja Trumpa, że jak już uczeni amerykańscy wynajdą szczepionkę, to Polska będzie ją mogła szybko kupić.

Widok tych dwóch ekspertów od wirusów bardzo mnie rozczulił. Zwłaszcza widok Trumpa, który długo głosił, że ten wirus to nic aż tak groźnego, by wprowadzać radykalne ograniczenia. Może wtedy korzystał z rad polskiego ministra zdrowia. Bo przecież Szumowski też głosił, że wirus to takie coś jak grypa i nawet maseczki nie są potrzebne.

A jak słyszę nazwisko ministra zdrowia, to nie wiedzieć czemu myślę o pieniądzach.

I o Dudzie, który wyżebrał tę przedwyborczą audiencję, za którą ma zapłacić polski podatnik. Zapłaci słono, bo Trump to człowiek interesu. I jak mu się trafi petent w potrzebie, dopisze mu do rachunku coś ekstra. A jeśli na dodatek jest to petent, który się nie targuje, to hulaj dusza. Bo jakżeby Duda śmiał się postawić amerykańskiemu prezydentowi. Wiszenie u klamki Trumpa, który prawdopodobnie kończy swój pobyt w Białym Domu, jest krótkowzroczną amatorszczyzną. Kolejnym potwierdzeniem, że pisowska ekipa rozumem politycznym nie grzeszy.

Niestety, polityków mamy w większości nie tylko miernych, ale i tchórzliwych. Ma rację prof. Grzegorz W. Kołodko, który twardo opowiada się przeciwko nieracjonalnym wydatkom wojskowym i sprowadzaniu obcej armii na ojczystą ziemię. Na nakręcaniu spirali zbrojeń najgorzej wychodzą takie kraje jak nasz. Ale tego tematu w kampanii praktycznie nie ma.

Wakacyjna podróż z PRZEGLĄDEM

Zamów e-prenumeratę **PÓŁROCZNĄ LUB ROCZNĄ**, a otrzymasz **gratis e-book** (pdf, e-pub, mobi) naszej najnowszej książki o wartości **19,90 zł!**

Promocja trwa tylko do 15 lipca!

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl 91f094e227

W NUMERZE

KRAJ

8 **Polska Dudy, Polska Trzaskowskiego**
– rozmowa z Aleksandrem Kwaśniewskim

12 **I kamieni kupa**
Unijne pieniądze utopione w biotechnologiach

16 **Koszty koronakryzysu poniosą najsłabsi**
– rozmowa z dr. hab. Ryszardem Szarfenbergiem

20 **Opiekunki są wkurzone**
Każdy płaci, jak chce

40 **Jak zużyte klocki**
Pracownicy Biedronki szukają pomocy

42 **Zdalna nauka bez wychowania**
– rozmowa z dr Joanną Rabiegą-Wiśniewską

ZAGRANICA

23 **Statua sprawiedliwości**
Strącani z cokołów

26 **Ślub dla wszystkich**
Szwajcaria legalizuje małżeństwa jednopłciowe

28 **Matki z placu Majowego**
Argentyna rozlicza się z przeszłością

50 **Szwecja nie zawsze była rajem na ziemi**
Cudzoziemcy uczą życia

HISTORIA

32 **Polska albo republika radziecka**
Realiści z Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej

OPINIE

36 **Przemysław Wielgosz**
Wirus kapitalizmu

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

39 **Zmienić podejście do węgla**

KULTURA

46 **Czytam w kółko to samo**
– rozmowa z dr Lucyną Kirwil i prof. Jerzym Bralczykiem

48 **Qulturalia**

56 **Olbiński – Akty**

66 **Wojciech Plewiński**
Fotografie

ZDROWIE

54 **Nie wiedzą, co biorą**
– rozmowa z prof. Andrzejem Ziembą

PSYCHOLOGIA

58 **Horyzontalna przerwa**
Odpoczynek wbrew wszystkiemu

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Petent u bufona

15 **Andrzej Romanowski**
Znać proporcją!

19 **Roman Kurkiewicz**
Drzewa, głupcy!

31 **Tomasz Jastrun**
I po wyborach

49 **Wojciech Kuczok**
Pojedynek na memy

23 ZAGRANICA

STATUA SPRAWIEDLIWOŚCI
Strącani z cokołów

56 KULTURA

OLBIŃSKI – AKTY

58 PSYCHOLOGIA

HORYZONTALNA PRZERWA
Odpoczynek wbrew wszystkiemu

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS, JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 91f094e227

Wspomnienia świadka zbrodni UPA

Krew i seks, czyli świat komarów

Sklepowa jak psycholog – czar małych sklepików

Zarobkowe wakacje amerykańskich dzieciaków

Minister tyłem do uczniów i nauczycieli

Marek Pleśniar, szef biura Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty, zna pracę szkół od podszewki. Rozmowa opublikowana w 25. numerze PRZEGLĄDU jest mądra, rzeczowa, a przede wszystkim prawdziwa. Kolejno omawiane fakty pokazują, jaką drogę my wszyscy musieliśmy przejść w czasie pandemii. Pokazuje też, że ministerstwo nie miało pomysłu na oświatę, nie ma środków na wsparcie uczniów, nauczycieli, dyrektorów i organów samorządowych prowadzących szkoły. To, co słyszymy od ministra Piontkowskiego, dowodzi, że dalej nie ma pomysłów. Nie ma także woli jakiegokolwiek dialogu ze środowiskiem. Mam nadzieję, że osoby, które oceniają działalność szkoły od końca marca 2020 r. na podstawie stereotypów i z jednostronnej perspektywy, po przeczytaniu tego wywiadu zobaczyły inny obraz. Może trochę docenią pracę nauczycieli, choć generalnie mamy złą opinię. Podsycały ją od czasu zeszłorocznego strajku wpływowe osoby związane z rządem. Może wszyscy dostrzeżemy, że zmiana systemu oświaty jest niezbędna. I że do tego niezbędna jest szeroko zakrojona dyskusja, dzięki której otrzymamy realny przepis na zmiany. Do tego potrzebny jest minister, który nie stoi tyłem do nikogo.

Wiesław Włodarski,
były dyrektor liceum ogólnokształcącego,
obecnie nauczyciel matematyki

Dlaczego Polacy tak masowo porzucili środki ochrony przed COVID-19?

Zadziałała polska przekora, a doszły do niej nielogiczne, chaotyczne działania rządu, który nakazuje, odwołuje, zakazuje, zamraża, odmraża, straszy i uspokaja – i nie wiadomo dlaczego. Początkowy strach przed nieznanym powszednieje, a że rządzący sami nie stosują się do zaleceń, popularyzuje się opinia, że COVID-19 nie jest taki groźny, a jest wykorzystywany do celów politycznych.

Barbara Krzemińska-Sobczyk

•

Przecież sami rządzący prowokują do tego, mówiąc, że gdyby nie badali Śląska, to praktycznie nie byłoby przypadków, oraz że wirus nie przenosi się już swobodnie, a jedynie w zamkniętych jednostkach.

Mabena

Churchill: „Chcecie za dużo"

Gdyby nie Stalin i Armia Czerwona (wraz z Wojskiem Polskim – nie żadnym propagandowym LWP, jak to obecnie się nazywa), granice przebiegałyby inaczej. Tylko że nie granice Polski, ale granice III Rzeszy.

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

FOT. ANDRZEJ BULICZ

Kto ważniejszy, Bóg czy prezydent? Tegoroczna procesja Bożego Ciała w Krzeszowicach.

eprasa.pl 91f094e227

Andrzej Lis ze Starego Sącza jest rekordzistą Europy w oddawaniu honorowo krwi. Ma już na koncie 94,45 litra.

Anna Skrobiszewska, wdowa po Grzegorzu Ciechowskim, uważa, że TVP szerzy nienawiść i nietolerancję, pogoniła więc propagandystów, którzy proponowali jej występ w programie „Szansa na sukces" poświęconym jej mężowi.

Adwokat Paweł Matyja został Prawnikiem Pro Bono 2019. Konkurs organizują Fundacja Uniwersyteckich Poradni Prawnych oraz „Rzeczpospolita". **Laureat był dziennikarzem telewizyjnym, pomaga lokalnym redakcjom i fundacjom opiekującym się zwierzętami.**

Renata Tomusiak, prezes Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Warszawie, udowodniła Wosiowi i Ozdobie, działaczom partyjnym skierowanym do Ministerstwa Środowiska przez Ziobrę, **że kłamią i nie mają pojęcia o tym, za co odpowiadają.**

O 1,7 tys. wzrosła do końca kwietnia br. liczba e-sklepów. Jest ich już ponad 40 tys. Najbardziej, o ponad 370%, zwiększyły się w czasie pandemii e-zakupy spożywcze.

Kurację w uzdrowisku odbyło w 2019 r. aż 858 tys. Polaków, w tym 782 tys. leczyło się stacjonarnie.

Premier Mateusz Morawiecki wystąpił jako aktor w reklamówce dla telewizji rządowej. Spot wyborczy Andrzeja Dudy nakręcono na warszawskiej Skrze w godzinach pracy Morawieckiego. Prawdziwy w powodzi kłamstw był tylko drogi garnitur premiera.

Wicepremier Jadwiga Emilewicz przemówiła w trakcie mszy w kaplicy na Jasnej Górze. A później kłamała, że to nie była mowa partyjna.

Michał Woś, minister środowiska, i Jacek Ozdoba, wiceminister środowiska, wystąpili w spocie reklamowym atakującym Rafała Trzaskowskiego. Na miejsce kłamstw wybrali kolektor burzowy przy ul. Farysa w Warszawie. Nagranie jest także dowodem rażącej niekompetencji nominatów Ziobry.

Bp Edward Janiak z Kalisza do zarzutów o ukrywanie pedofilii podległych mu księży dołożył opilstwo. 3,44 promila alkoholu we krwi to dowód na inne upodobania prałata.

Marcin Wieczorek, wójt gminy Pabianice (woj. łódzkie), **wydał zgodę na wycięcie 1,5 tys. drzew w Porszewicach,** na działkach należących do archidiecezji łódzkiej. Ma tam powstać odkrywkowa kopalnia piasku.

PRZEBŁYSKI

Doktorek

Na smuteczek tygodnia bez 11 kandydatów na prezydenta coś, co na pewno poprawi humor. Zwłaszcza tym ambitnym, którzy mają kompleks braku tytułu doktor przed nazwiskiem. Mamy dla was taki cymesik. Musicie to czytać powoli. A dlaczego, sami zobaczycie: „Niewątpliwa doniosłość praktyczna takiego założenia, skłania do przyjęcia a priori, że na gruncie doktryny prawa można sformułować abstrakcyjną definicję interesu prawego dla prawa administracyjnego, której adekwatność znajdzie potwierdzenie na płaszczyźnie norm pozytywnych tego prawa". Cóż to za bełkot? Podnosimy kurtynę i co widzimy? Toż to wstęp do doktoratu Andrzeja Dudy z 2004 r. Jego prezydentura też była w takim stylu.

Grabowska do usług

Gdzieś nam się zapodziała dyżurna pomocnica PiS. A nie ma gorliwszej od niej w tłumaczeniu, że dojna zmiana wszystko robi w zgodzie z konstytucją. Prof. Genowefa Grabowska, ongiś z łaski SLD europosłanka, gdy już jej ta partia nie dawała konfitur, przerzuciła się na PiS. Pewnie liczy, że jak się zasłuży, dostanie jakąś synekurę.

Grabowska, dla byłych kolegów z SLD ciocia Gienia, jest na każde zawołanie TVP Info. Mają z nią dobrze, bo niewielu prawników chce się kompromitować ujadaniem na instytucje unijne. I to jeszcze w telewizji, która non stop kłamie.

Grabowska ośmieszyła się, głosząc, że wątpliwości co do wyborów z 10 maja rozwieje Sąd Najwyższy (wywiad w „Do Rzeczy"). A tu Sąd Najwyższy odmówił zajmowania się tą sprawą. Przy okazji Grabowska ośmieszyła Wojciecha Wybranowskiego. Oficera dyżurnego od nawalania w ten okres, gdy Grabowska udawała lewicówkę.

Zabójcza Wiewiórka

Panna Zuzanna Wiewiórka z Łodzi to podręcznikowy przypadek osoby, która powinna czekać na wezwanie do prokuratury. Pisaliśmy, jak zaszczuwała rodzinę ciężarnej nastolatki. Jest na to paragraf. Ale nie ma prokuratora, który by wezwał do siebie pannę Zuzannę, odznaczoną przez Ziobrę brązowym medalem „Zasłużona dla wymiaru sprawiedliwości". Nie wiadomo zresztą, czyby przyszła. Ma przecież na głowie ważniejsze sprawy. Choćby udział w debacie: „Czy katolik może wysadzać kliniki aborcyjne?".

Wiewiórka była tam w bojowym nastroju. Gardłowała za rozwaleniem budynków, nawet z ludźmi: „bo zabicie abortera powstrzyma go od zabijania niewinnych". Czyż nie są to opinie na srebrny medal od Ziobry?

Miliony za dewocję

Na ile Jacek Kościelniak wycenił zawierzenie Opatrzności Bożej i Matce Boskiej Gromnicznej spółki Energa? Prezes tej spółki, były poseł PiS, zarobił w 2019 r. skromną kwotę 1,420 mln zł. Należało mu się. Bo przecież tak pięknie przemówił w 2017 r., że do dziś ludzie wspominają jego słowa: „Bogurodzico, Dziewico, Bogiem sławiona Matko, dzisiaj przed Tobą staje wspólnota pracowników Energi". Wiceprezes Grzegorz Ksepko, też działacz PiS, zarobił w zeszłym roku 1,444 mln zł. Też mu się należało. Bo któż inny mógłby powiedzieć tak: „Mam nadzieję, że nie zabraknie nam tego boskiego prądu". No cóż, zaciskając pasa, chyba jakoś prezesi z taką dawką prądu przeżyją. A 453 mln zł, które spółka utopiła w elektrowni Ostrołęka? Matka Boska przymknie oko. Ale prokurator, po zmianie władzy, może mieć oczy otwarte.

FOT. YOUTUBE (3)

eprasa.pl 91f094e227

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co zapamiętamy z kampanii wyborczej przed pierwszą turą?

DR HAB. ANNA PACZEŚNIAK,
politolożka, Uniwersytet Wrocławski

Wydaje mi się, że zapamiętamy ogromną mobilizację społeczną przy okazji zbierania podpisów dla Rafała Trzaskowskiego. Chciałabym podkreślić, że moim zdaniem nie dotyczyła ona elektoratu Koalicji Obywatelskiej czy PO, ale wszystkich, którzy są przeciw Andrzejowi Dudzie i uznali, że jest to pierwszy moment w wyborach, kiedy mogą to pokazać. Z wielką mocą wybrzmiała także bezprecedensowa skala odczłowieczania części wyborców („LGBT to nie ludzie"). Kiedy okazało się, że nie ma na nią zgody, nieudolnie próbowano temat wyciszać. Trzecia pamiętna rzecz to codzienna propaganda w wykonaniu mediów publicznych, szczególnie TVP. I wreszcie rozpaczliwe szukanie przez urzędującego prezydenta poparcia u Donalda Trumpa. W XXI w. raczej się nie zdarza taki sposób ingerowania w to, co się dzieje w innym kraju.

AGATA SZCZĘŚNIAK,
OKO.press

Zapamiętam PiS, że z powodu spadającego poparcia dla prezydenta chciało zmanipulować proces wyborczy. Tych wyborów mogło nie być lub mogły być jeszcze mniej zgodne z prawem, niż są. Na pewno zapamiętam wystąpienie matek osób LGBT, w tym Heleny Biedroń, pod Pałacem Prezydenckim. Wzruszający i podniosły moment solidarności, mam nadzieję, że przyczyni się do zmiany świadomości społecznej. Zapamiętam też oczywiście zestaw kandydatów, w którym nie było żadnej kobiety. To, że w europejskim, nowoczesnym, wydawałoby się, kraju żadna polityczka nie kandydowała na najwyższy urząd w państwie, aż kłuło w oczy. Będę także pamiętać wydarzenie komediowe w telewizji państwowej nazwane debatą. Było kuriozalne, ale jednocześnie pokazało, jak bardzo potrzebujemy mediów publicznych. TVP, choć obecnie jest niewiarygodna, była jedyną stacją, która miała mandat, by sprowadzić do siebie wszystkich kandydatów, i wszyscy oni na to się zgodzili.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Zapamiętamy przede wszystkim chamstwo i arogancję, głównie ze strony PiS i jego kandydata: naruszanie godności osób LGBT, ataki TVP na Rafała Trzaskowskiego, idiotyczne pytania o dżem i masło. Oczywiście zapamiętamy wymianę kandydata PO, przy czym warto nadmienić, że wcześniej odbyły się prawybory, w których drugie miejsce zajął prezydent Poznania – o tym PO milczała. Na pewno zapamiętamy wyjazd pana Dudy po *selfie* do Stanów Zjednoczonych oraz gwałtowny spadek poparcia dla pana Kosiniaka-Kamysza, do pewnego momentu głównego przeciwnika urzędującego prezydenta; ciekawe wypowiedzi pana Hołowni i egzotykę w postaci kandydatur panów Tanajny czy Żółtka. Ja na pewno zapamiętam to, że buracki język wprowadzony do polityki przez PiS został zaakceptowany przez pozostałych kandydatów – jedyna różnica w tym, że oni nie potrafią ugotować z niego barszczu. Zapadnie mi w pamięć także niski poziom marketingu politycznego i nieudolność sztabów, które – może poza sztabem Hołowni – nie potrafiły wykorzystać wszystkich atutów swoich kandydatów.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

PRZEMEK KOSOBUCKI

Absolutne zlekceważenie reżimów sanitarnych.

PAWEŁ MAĆKOWSKI

Agresję mediów opowiadających się za PO i ich ataki na lewicę.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 91f094e227

Polska Dudy, Polska Trzaskowskiego

Jeżeli Andrzej Duda zostanie znów wybrany, to mamy dalszy ciąg Polski PiS. Zmiana w Pałacu Prezydenckim zakończy etap Polski PiS

Rozmawia Robert Walenciak

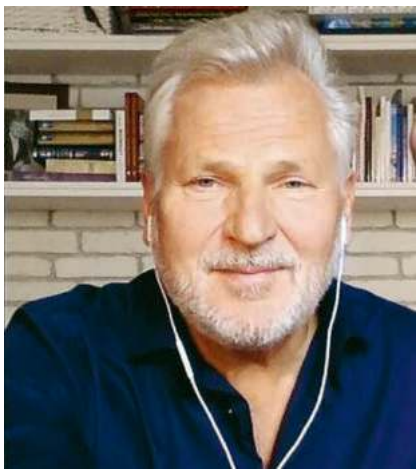

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Nasza rozmowa ukaże się w poniedziałek, 29 czerwca. Wyobraźmy więc sobie taką sytuację – zagląda pan do gazety i czyta: Andrzej Duda wygrał w pierwszej turze.

– Byłbym zdziwiony. Ale takiego scenariusza też nie da się wykluczyć.

Dlaczego się nie da? Nastroje tak falują?

– Gdybyśmy mogli mieć zaufanie do sondaży, to oczywiście byłoby nam wygodniej. Ja mam to zaufanie bardzo ograniczone… Ale wydaje mi się, że zwycięstwo Andrzeja Dudy w pierwszej turze jest mało prawdopodobne. Zaryzykuję, dzisiaj bym obstawiał, że Andrzej Duda będzie zwycięzcą w pierwszej turze z wynikiem w granicach 43-44% głosów.

I już do tych 50% nie dozbiera?

– Będzie musiał o te dodatkowe 6% walczyć w drugiej turze, co także jest możliwe, ale nie będzie łatwe.

Czy dokręcą, czy zbudują swoje państwo PiS?

Czy głos na Dudę to głos na Kaczyńskiego?

– Zdecydowanie! To jest z punktu widzenia obozu PiS i samego prezesa Kaczyńskiego kwestia kluczowa – jeżeli Andrzej Duda zostanie znów wybrany, mamy dalszy ciąg Polski pisowskiej. Natomiast gdyby nastąpiła zmiana w Pałacu Prezydenckim, byłoby to właściwie zakończenie etapu Polski PiS.

Tak bardzo by to zmieniło sytuację?

– Gdy opozycja zdobyła większość w Senacie – już powstała duża wyrwa. Proces legislacyjny został wydłużony, choć nie został zatrzymany. A teraz byłaby zupełnie inna sprawa. Prezydent dysponuje prawem weta; jak wiadomo, weto można uchylić większością trzech piątych głosów…

A tyle PiS w Sejmie nie ma.

– Jest to więc krok do kohabitacji, do Polski lepszej, dającej więcej równowagi politycznej. Ale z punktu widzenia obozu pisowskiego to koniec tego, co zawsze lubił Jarosław Kaczyński, czyli realizacji jego projektów, walki z imposybilizmem. Stąd zresztą te bardzo zdecydowane działania PiS, żeby wybory prezydenckie odbyły się w maju, bo wtedy wynik był przesądzony.

Ale rachuby Kaczyńskiego wciąż są te same: żeby Duda wygrał i był przez kolejne pięć lat. Takim nikim…

– Takim nikim. Mamy trzy lata do wyborów parlamentarnych i PiS chciałoby w tym czasie bardzo wiele rzeczy dokręcić. Do końca. Orbán jest tu dla nich znakomitym przykładem.

I dokręcą?

– Na szczęście nie mają większości konstytucyjnej, czyli konstytucja nas broni, nawet jeżeli jest naciągana i gwałcona. Ale ryzyko, że dokręcą, że zbudują swoje państwo PiS, istnieje. Choć mniejsze niż na Węgrzech, bo u nas siła społeczeństwa obywatelskiego jest kolosalna. Jest ono też gwarantem, że wybory będą inne. Głos ludu jest donośny.

No to załóżmy, że będzie kohabitacja. Pan swoją kohabitację wygrał, a Lech Kaczyński zmierzał do klęski w rozgrywce z premierem. Trzaskowski ma umiejętność takiej gry? Ona przecież nie jest łatwa.

– Nie jest łatwa, ale jest możliwa. Ja w ciągu 10 lat miałem i czasy kohabitacji z rządem Jerzego Buzka, a później Kazimierza Marcinkiewicza, i czasy współpracy z rządami z własnego obozu, Leszka Millera i Marka Belki, co też nie było łatwe. Kluczowe jest, czy okazuje się dobrą wolę, czy jest troska o wspólny interes, gotowość do dialogu i przestrzegania prawa. Jeżeli te warunki są spełnione, można współpracować dla dobra państwa. Czy Trzaskowski ma takie cechy? Moim zdaniem – ma. Uważam, że jest człowiekiem zdecydowanie bardziej łagodnym, koncyliacyjnym niż typowym fighterem. To człowiek i dobrze wykształcony, i dobrze wychowany, kulturalny, szanujący ludzi. Jestem przekonany, że kohabitacja z jego strony byłaby możliwa. Na ile odwzajemniano by mu się, czy większość parlamentarna i rząd chciałyby szanować prezydenta, nie ograniczać jego możliwości działania – tu już mam więcej wątpliwości.

Prezydent jest bardzo potrzebny PiS, żeby rządzić dalej, na pograniczu konstytucji albo i poza nią.

eprasa.pl 91f094e227

A czy on wytrzyma to napięcie, walkę? PiS zawsze nakręca emocje, zawsze atakuje.

– Jeżeli startuje się w wyborach prezydenckich, trzeba wiedzieć i przyjąć do wiadomości, że nastawiamy się na sprawy trudne. Zwłaszcza że współpraca z większością, którą dziś mamy, jest trudna. Ale też perspektywa roku 2020 i dalszych lat jest niełatwa, bo na świecie czasy są ciężkie, a Polska jest bardzo podzielona.

Z jego własnych pomysłów nic się nie zrealizowało

A jak w obliczu tych wyzwań dawał sobie radę Andrzej Duda?

– Andrzej Duda przyjął formułę prezydentury będącej przedłużeniem tego, co się dzieje w PiS i o czym decyduje prezes Kaczyński. To prezydentura niesamodzielna. Pozostaje pod ogromnym wpływem Kaczyńskiego. Andrzej Duda miał może jedną, może dwie próby wybicia się na niepodległość, ale bardzo szybko przywołano go, czy on sam siebie przywołał, do porządku. I tyle. Z jego własnych pomysłów nic się nie zrealizowało. Miało być referendum konstytucyjne, czyli próba zmiany konstytucji, zostało to w gruncie rzeczy zdławione we własnym obozie pisowskim. Miały być jakieś inicjatywy ponad podziałami – nic z tego nie wyszło. Nie wykorzystał tych instrumentów, które miał, chociażby Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Mówiąc o tych pięciu latach, mam kłopot, żeby pokazać jakieś osiągnięcia, które bym nazwał osiągnięciami prezydenta. Dzisiaj PiS mówi, że prezydent dał osłonę zmianom socjalnym, polityce społecznej itd. No tak, podpisał te ustawy. Ale trudno go uznać za ich autora.

A jak wypadł w klasycznej roli prezydenta? Tej konstytucyjnej?

– Konstytucja mówi, że prezydent jest głową państwa, reprezentuje nas za granicą, że jest zwierzchnikiem sił zbrojnych i strażnikiem konstytucji. Żeby się tego trzymać – jako strażnik konstytucji otrzymuje ocenę niedostateczną. Mieliśmy przecież ewidentne łamanie konstytucji z udziałem prezydenta, a nawet na jego własne życzenie – to była słynna sprawa ułaskawienia osób, które nie zostały skazane prawomocnymi wyrokami. Jeśli chodzi o zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi… Też miałbym kłopot w określeniu, czy minione lata były naznaczone jakimiś sukcesami. Chyba że uznać, że tym sukcesem jest rotacyjna obecność wojsk amerykańskich w Polsce. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną – to oczywiście prezydent uczynił bardzo wiele, żeby relacje polsko-amerykańskie wzmacniać.

Wzmocnił je?

– Sęk w tym, że są to nie tyle relacje polsko-amerykańskie, ile polsko-trumpowskie. To znaczy mamy bardzo bliskie kontakty z samym Donaldem Trumpem i jego administracją, co jest bardzo ryzykowne, bo niewykluczone, że w listopadzie Ameryka wybierze innego prezydenta. A w ogóle uważam, że jednostronność tej polityki, czyli wzmacnianie wyłącznie wektora amerykańskiego przy jednoczesnym zaniedbywaniu relacji z Unią Europejską, z europejskimi partnerami, jest kosztownym błędem. Kontakty Polska-Unia – wiemy, jak wyglądają, Polska-Niemcy, Polska-Francja… I trzecia rzecz, która w moim przekonaniu jest słaba – gdy chodzi o polską obecność na Ukrainie czy w sprawach ukraińskich, jesteśmy tu bardzo pasywni. Polska była krajem, który miał szczególne kompetencje, jeśli chodzi o Ukrainę, nawet wewnątrz Unii Europejskiej – i myśmy tę pozycję przegrali.

20 czerwca Andrzej Duda szukał poparcia w Mońkach na Podlasiu.

Duda jako strażnik konstytucji – ocena niedostateczna. Mieliśmy ewidentne łamanie konstytucji z udziałem prezydenta, a nawet na jego własne życzenie.

Osobą numer 1 w państwie jest pierwszy sekretarz partii

Co pan myślał, widząc, jak Duda był lekceważąco traktowany przez Kaczyńskiego i innych ludzi PiS? Jak ktoś z dalszego szeregu.

– Te gesty pokazywały, jaka jest tam hierarchia. PiS w wielu dziedzinach organizuje nam powrót do PRL. To, że osobą numer 1 w państwie jest pierwszy sekretarz partii, już przerabialiśmy. No i teraz znowu mamy sytuację, w której osobą numer 1 w państwie, niewątpliwie decydującą o strategicznych kierunkach polityki, o decyzjach kadrowych, o całej działalności, jest człowiek będący posłem na Sejm i szefem partii. To wszystko. Prezydent Duda przyjął to do wiadomości. Mógł w dużo większym stopniu odcisnąć swoje piętno przez pięć lat. Ale nie był w stanie tego zrobić. Nie chciał? Nie umiał? A miał narzędzia do zbudowania pozycji niezależnej, człowieka dialogu między różnymi opcjami, budującego mosty między różnymi grupami społecznymi. A on z tej roli całkowicie zrezygnował.

eprasa.pl 91f094e227

Widać go w którymś szeregu ludzi władzy?

– Gdybyśmy chcieli robić ranking najważniejszych czy najbardziej wpływowych polityków w Polsce, to myślę, że Andrzej Duda gdzieś tam w pierwszej dziesiątce by był. Ale nie w pierwszej piątce. I prezes, i premier, i ich najbliższe otoczenie wydają się grać role dużo bardziej wpływowe.

A może Duda ma plan, żeby w przyszłości być następcą Kaczyńskiego? Jak prezydent Mościcki.

– Jeżeli ktoś analizuje przypadek Mościckiego, musi pamiętać, że na chwilę został takim niby-liderem obozu piłsudczykowskiego, choć niekoniecznie był przez cały ten obóz akceptowany, ale zakończył przegraną wojną, internowaniem i śmiercią na uchodźstwie, więc nie wiem, czy to atrakcyjny model dla Andrzeja Dudy. Poza tym za dużo jest tych, którzy budują swoje zaplecze wewnątrz PiS, żeby Andrzej Duda mógł z nimi łatwo wygrać. Swoje ambicje mają i Mateusz Morawiecki, i Joachim Brudziński, nie zrezygnowała z aspiracji Beata Szydło… Ale to są sprawy na potem. Bo w tej chwili kluczowe jest, czy państwo PiS utrzyma się, mając swojego prezydenta, czy też będziemy mówić o schyłku tego państwa i wejściu Polski w etap bardziej zrównoważony. W etap kohabitacji, koncyliacyjny.

Ale oni nie będą koncyliacyjni! Ciągle będą oskarżać nie swojego prezydenta o najgorsze rzeczy, atakować go. To będzie chłopiec do bicia, winien wszystkich nieszczęść.

– Będzie. Ale w Polsce chłopcy do bicia zyskują na popularności. Im bardziej będą pokazywać, że on jest wszystkiemu winny, tym mocniejszą pozycję będą mu budować. Mamy trzy lata do wyborów parlamentarnych. Nie sądzę, żeby Kaczyński chciał przeć do wcześniejszych wyborów parlamentarnych, jego doświadczenie będzie go przed tym powstrzymywać. A jeżeli tak, to będzie chciał się układać z nowym prezydentem. Z jednej strony walcząc z nim, ale z drugiej mając też do podpisania ileś tam ustaw. A zawsze lepiej spróbować się dogadać, niż ryzykować wszystko.

Zaraz po wyborach Duda zniknie z TVP

Pan mówi o koncyliacji, a ja cały czas mam przed oczami telewizję publiczną, która pokazuje Andrzeja Dudę jako człowieka od wszystkiego: walczy z powodzią, negocjuje za granicą, wydaje polecenia premierowi i ministrom, człowiek orkiestra. Gdyby wierzyć w to, co pokazuje TVP, jest najważniejszą osobą w Polsce.

– Telewizja Jacka Kurskiego to telewizja manipulacji. Myślę, że trudno byłoby nam znaleźć, nawet w przeszłości, takie okresy, gdy poziom manipulacji byłby równie wielki. Nawet kiedy za dawnych czasów manipulowano, starano się to robić w bardziej wyrafinowany sposób. A tu – obuchem w łeb. Oczywiście ze względu na kampanię i ze względu na wagę tych wyborów – bo prezydent PiS jest bardzo potrzebny, żeby było można, na pograniczu konstytucji albo i poza konstytucją, rządzić dalej. Ale jeśli dzisiaj telewizja publiczna pokazuje prezydenta jako demiurga od wszystkiego, to daję panu gwarancję, że zaraz po wyborach Duda zniknie z tych programów, bo Jacek Kurski przypomni sobie, kto chciał jego odwołania ze stanowiska prezesa TVP. To zresztą kolejny „sukces" Dudy – odwoływanie Kurskiego. Cała akcja, która skończyła się tym, że jednego dnia go odwołano, a drugiego wrócił do TVP.

Co świadczy o pozycji Kurskiego w PiS. Czy też w gabinecie prezesa.

– Gdy mówimy o możliwym wyniku wyborczym, to jest jedna rzecz, którą trzeba będzie przeanalizować – na ile telewizja Kurskiego ma wpływ na wynik wyborczy. Jak mocno kształtuje postawy Polaków. Ja tego w żaden sposób bym nie lekceważył. Moim zdaniem siła rażenia telewizji publicznej pozostaje bardzo duża. I nawet jeśli takie twarde, pełne manipulacji jej nadużywanie odstręcza część widzów, to dla tych, którzy ją oglądają, jest bez znaczenia.

Nie wszystkie orły są pod jego dachem

Czy nie byłoby prościej, gdyby to Jarosław Kaczyński był prezydentem? A nie jakiś zastępca, dubler?

– Jarosław Kaczyński startował w wyborach. I przegrał z Bronisławem Komorowskim. Problem jest taki, że jeśli chodzi o osłabianie prezydentury, nie Jarosław Kaczyński jest tu negatywnym bohaterem, bo zaczęło się od Donalda Tuska i jego słynnego żyrandola. Od roku 1990, odkąd wybieramy prezydenta w wyborach powszechnych, był to zazwyczaj wybór pomiędzy postaciami czołowymi na scenie. Wałęsa – lider Solidarności, Mazowiecki, który wydawał się naturalnym kandydatem do drugiej tury – to byli liderzy dużych obozów politycznych. Ja byłem liderem polskiej lewicy. Donald Tusk i Lech Kaczyński, którzy startowali w wyborach w 2005 r. – jeden był liderem Platformy, a drugi, z bratem bliźniakiem, współliderem PiS. I w gruncie rzeczy od tego słynnego wystąpienia Donalda Tuska mamy do czynienia z przesuwaniem do roli prezydenta nie tych czołowych polityków, nie liderów. Z całym szacunkiem, Bronisław Komorowski takim liderem na owe czasy nie był. Oczywiście różnie może się potoczyć, nie uważam, że to źle, kiedy startuje osoba, która nie jest liderem, ale ma poparcie swojej partii. Niedobrze jest, jeżeli ta osoba nie potrafi się uniezależnić.

A Trzaskowski może być prezydentem samodzielnym?

– Może. Tym bardziej że dziś takiego wyrazistego przywództwa po tej stronie nie ma. Nie jest tak, że dziś PO jest kierowana choćby przez Donalda Tuska, a wszyscy pozostali są głęboko w cieniu szefa. Myślę więc, że Trzaskowski jest materiałem na kogoś ponad podziałami, ponad partyjniactwem. Sprzyja mu zresztą punkt startu. Wychodzi z prezydentury Warszawy, czyli wie już, że nie wszystkie orły są pod jego dachem, że trzeba korzystać z innych ludzi, trzeba umieć się porozumiewać itd. To jest inne doświadczenie niż lidera partii, który żyje w mikrokosmosie wszystkich partyjnych towarzyszy.

Wzmacnianie wyłącznie wektora amerykańskiego i zaniedbywanie relacji z europejskimi partnerami jest kosztownym błędem.

eprasa.pl 91f094e227

A co z lewicą? Nie znamy wyników jej kandydatów, ale sondaże optymizmem nie napawały.

– Przy dużej polaryzacji wszyscy mniejsi mają kłopot. Bo jeszcze działa przekonanie, że nie można głosów marnować. Oczywiście pierwsza tura wyborów prezydenckich jest tak pomyślana, żeby marnowania nie było. Oddaje się głos na swojego kandydata i jest możliwość głosowania w drugiej turze na tego, kto będzie reprezentował opozycję. W zamyśle pierwsza tura miała być turą mobilizowania własnych elektoratów, szansą na wzmacnianie własnej tożsamości. I tu, wydaje mi się, popełniony został błąd.

Jaki?

– Robert Biedroń, kandydat lewicy, spełniał wszystkie warunki. To nie jest człowiek znikąd jak pięć lat temu pewna kandydatka. Ma swój dorobek, był posłem, prezydentem dużego miasta, jest europarlamentarzystą. Jest w odpowiednim wieku, ma kwalifikacje intelektualne, językowe, to wszystko się zgadza. Błąd został popełniony w tym, że utracono dynamikę, którą lewica zyskała po wyborach parlamentarnych, którą potwierdziła obecnością w Sejmie – pamiętam wystąpienie Zandberga. A potem mieliśmy to kokoszenie się z kandydatem, czy będzie, czy nie będzie i kto to będzie. To już wszystkich zmęczyło. Także niespójne koncepcje, które płynęły od samego Biedronia – idę do Parlamentu Europejskiego, żeby oddać mandat, idę, żeby go zachować… I trzecia rzecz, którą muszę powiedzieć – odnoszę wrażenie, że elektorat starszej lewicy, tej SLD-owskiej, jest jednak mniej progresywny aniżeli kandydat Biedroń.

Cały czas mamy kampanie uwikłane we wroga

Słyszał pan przemawiającego Andrzeja Dudę? Na przykład jego opowieści, że Platforma była gorsza niż koronawirus? Co się stało, że oni tak mówią? Że dyskurs publiczny tak upadł w Polsce?

– Nie tylko, niestety, w Polsce. Już od jakiegoś czasu ci wszyscy stratedzy wyborów, w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych, w Izraelu, twierdzą, że nie wygrywa się ich nawoływaniami do zgody, do porozumienia. Wygrywa się sporem i dzieleniem społeczeństwa. Pokazaniem linii demarkacyjnej – że tu jesteśmy my, dobrzy, a tam są ci źli. To oczywiście powoduje, że i retoryka staje się dużo twardsza, i padają argumenty trudne do zaakceptowania. Gdy słyszę, że rząd był gorszy od koronawirusa… Naprawdę, trzeba być wyjątkowo… Ale na takich podziałach buduje się w tej chwili kampanię.

Andrzej Duda może liczyć na poparcie kleru. Zakopane, 2 czerwca 2020 r.

Bo kampania potrzebuje wroga?

– Proszę zobaczyć, że w Polsce, od kiedy PiS wygrywa, cały czas mamy kampanie uwikłane we wroga, istniejącego bądź nieistniejącego. Pierwsze wybory parlamentarne PiS wygrywało, walcząc z imigrantami, których w Polsce nie było. Mieli nas zalać, zislamizować, Bóg wie co jeszcze, bakterie i wirusy miały przychodzić z nimi. Kolejnym wrogiem był gender. Większość Polaków w ogóle nie za bardzo rozumie, w czym rzecz, co to jest ten cały gender. Dzisiaj mamy hasło powtarzane przez PiS: ideologia LGBT. Nas nazywano przez lata postkomunistami. Teraz nazywają nas komunistami, a postkomunistami okazała się Platforma Obywatelska. Ten cały pojęciowy miszmasz ma tylko jedno zadanie – stygmatyzować przeciwnika, zohydzać go, ośmieszać. Skutkiem ubocznym tej strategii są bardzo głębokie, dramatyczne podziały społeczne. Zlikwidowanie ich, budowanie czegoś nowego jest bardzo trudne. Ten problem będzie miała Ameryka po Trumpie, widać go również w innych krajach, gdzie linia podziału została zarysowana tak mocno. W Polsce te podziały będą nas kosztować utratę kapitału społecznego na wiele lat, brak umiejętności współpracy… To moje główne oskarżenie wobec polityki zarówno Jarosława Kaczyńskiego, jak i jego podwykonawców, czyli także prezydenta Dudy.

Czyli pan, człowiek od współpracy i przerzucania mostów, nie nadaje się do dzisiejszych kampanii.

– Ja w ogóle uważam, że polityka spsiała. Kiedy wspominam postacie, z którymi miałem możliwość współpracować, to byli ludzie z pewną wizją i misją. Przecież gdyby współcześnie dyskutowano nad rozszerzeniem Unii Europejskiej, toby jej nie rozszerzono! Wystawiono by nas do poczekalni. Ale po tamtej stronie byli na szczęście tacy politycy jak Kohl, Schröder, Blair czy liderzy skandynawscy, których przekonywaliśmy, że – owszem – rozszerzenie będzie trudne, kosztowne, że będą napięcia, ale trzeba to zrobić, bo to wielka idea. Żeby skleić Europę. Myślę, że ta wizja i siła optymizmu, która w tamtym czasie była w różnych miejscach, w Europie i na świecie, pomagała nam tak dużo zrobić. A dzisiaj, gdy patrzę na polityczne spory, kampanie, jestem pełen wątpliwości... Może koronawirus będzie punktem zwrotnym? Może wrócimy do wielkich wizji, wspólnej odbudowy Europy? A nie tylko do wymyślania wrogów, organizowania awantur, manipulowania faktami, żeby wygrać wybory.

Robert Walenciak

W Polsce podziały będą nas kosztować utratę kapitału społecznego na wiele lat, brak umiejętności współpracy.

FOT. INSTAGRAM, ŁUKASZ RUTKOWSKI/REPORTER, PAWEŁ MURZYN/EAST NEWS

eprasa.pl 91f094e227

Marek Czarkowski

I kamieni kupa

Od ponad dekady firmy biotechnologiczne dostają setki milionów złotych, a efektów ich badań nie widać

27 grudnia 2017 r. Polska Agencja Prasowa poinformowała, że premier Mateusz Morawiecki i wicepremier Jarosław Gowin ogłosili koncepcję powołania Instytutu Biotechnologii Medycznej. W ocenie premiera stworzenie tej placówki miało być milowym krokiem na drodze do budowy nowoczesnego polskiego przemysłu medycznego i poprawy działania rodzimej służby zdrowia. Rządzący zadeklarowali zasilenie IBM kwotą 500 mln zł.

W marcu 2018 r. młody poseł koła Wolnych i Solidarnych Adam Andruszkiewicz złożył dwie interpelacje (nr 20677 oraz 20678), w których uznał tę inicjatywę za „zasadną i celową" i pytał ministrów zdrowia i nauki, jak zamierzają wesprzeć ten projekt. Otrzymał mętne, acz uprzejme odpowiedzi, po czym… wokół Instytutu Biotechnologii Medycznej zapadła cisza. Co oznaczało, że zmieniła się koncepcja. Bo z takiego atrybutu władzy jak możliwość dzielenia miliardów złotych nikt przytomny by nie zrezygnował. Teraz na fali jest Agencja Badań Medycznych, którą przeforsował w Sejmie minister zdrowia Łukasz Szumowski.

Jeśli wszystko w papierach się zgadza, można spać spokojnie. Nieważne, że nie będzie to miało najmniejszego znaczenia dla polskiej gospodarki.

Sprawa jest poważna. W latach 2007-2019 w ramach Programów Operacyjnych Innowacyjna Gospodarka oraz Inteligentny Rozwój spółki zajmujące się biotechnologią otrzymały z Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Narodowego Centrum Badań i Rozwoju dotacje unijne liczone w setkach milionów złotych. Dziś najbardziej znaną jest OncoArendi Therapeutics, której prezes Marcin Szumowski to brat ministra zdrowia. Wysokość dotacji dla tej firmy i okoliczności ich przyznania budzą wiele emocji. Dziwne, że nikt nie pyta, jakie korzyści odniosła polska gospodarka z faktu, że od ponad dekady hojnie finansowane są projekty, które, delikatnie mówiąc, nie zawsze kończą się sukcesem. A nasz kraj od lat zajmuje ostatnie miejsca w unijnych rankingach innowacyjności i przedsiębiorczości.

Komu miliony, komu?

Premier Morawiecki i jego ministrowie, gdy mówią o rozwoju branży biotechnologicznej, kreślą taką oto wizję: wydajemy pieniądze, aby „nasi wybitni naukowcy, inżynierowie, informatycy, genetycy, biogenetycy, mogli zostać w Polsce i razem z lekarzami rozwijać nowocześniejsze technologie medyczne, które przełożą się na zdrowie". W tym miejscu bywa wspominana Maria Skłodowska-Curie, która, by móc się rozwijać, „musiała opuścić ojczyznę". Po czym następuje mocna deklaracja: „My nie chcemy, by nasi znakomici naukowcy wyjeżdżali". I podsumowanie: „Nasza służba zdrowia będzie coraz bardziej nowoczesna, będzie kołem zamachowym gospodarki i będzie służyć ludziom!".

To oczywiście wizja dla maluczkich. Znawcy tematu nie mają złudzeń. Prof. Tadeusz Pietrucha, jeden z założycieli spółki Mabion SA, kierownik Zakładu Biotechnologii Medycznej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP (a także członek rady naukowej najbardziej wpływowego think tanku w Polsce – Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris), cytowany w maju 2019 r. przez portal E-biotechnologia.pl powiedział: „Brakuje nam wiedzy, technologii i doświadczenia. To musi się jak najszybciej zmienić. Inaczej nasz kraj stanie się współczesną technologiczną kolonią, doskonałym rynkiem zbytu dla zaawansowanych technologicznie produktów biotechnologicznych, z których zakupu nie będziemy mogli zrezygnować. Przecież każdy chory będzie się domagał – słusznie – skutecznego leczenia np. nowotworu, jeśli takie możliwości dostarcza współczesna biotechnologia. Biotechnologia to sektor gospodarki, który w Polsce trzeba stworzyć niemal od podstaw".

Rządzący uważają, że najlepszym sposobem przełamania impasu jest uruchomienie motopompy, która będzie polewała unijną gotówką wszystkich chętnych. W urzędniczym żargonie nazywa się to alokacją środków. Nie jest w dodatku zbyt trudne, bo w branży biotechnologicznej firm nie ma zbyt wiele. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego z 22 listopada 2019 r. działalność w tej branży prowadziło 208 przedsiębiorstw, które zatrudniały 4179 osób. Badaniami i rozwojem zajmowało się 258 podmiotów zatrudniających 8072 osoby. Nie wszystkie firmy gotowe są ubiegać się o publiczne środki. Od lat wyróżnia się kilka spółek, które korzystają ze znaczących unijnych dotacji. Na przykład Mabion, Celon Pharma, Selvita, Dermin, Celther Polska realizowały – nawet jednocześnie – po kilka projektów. Dla urzędników to bardzo wygodne. Lepiej mieć do czynienia z jedną średnią bądź dużą firmą niż z kilkoma małymi. Jednak w tej branży 61% firm to małe podmioty zatrudniające do 49 osób. Nic dziwnego, że wiele projektów kończyło się fiaskiem.

Tak się stało w przypadku spółki Temapharm, która miała cztery umowy na „Opracowanie innowacyjnego produktu leczniczego do zastosowania w terapii jaskry", „Opracowanie innowacyjnego leku przeciwnowotworowego z grupy inhibitorów kinazy białkowej", „Opracowanie innowacyjnego przeciwnowotworowego preparatu leczniczego z grupy inhibitorów proteasomu" oraz

eprasa.pl 91f094e227

Prof. Mariusz Z. Ratajczak otrzymał 45,4 mln zł na zbadanie wykorzystania komórek macierzystych w medycynie. Wyniki badań nie musiały znaleźć praktycznego zastosowania.

„Opracowanie innowacyjnej technologii procesu wytwarzania leku przeciwpadaczkowego w oparciu o chlorowodorek monohydratu tiagabiny PKWiU". Dotacje były bardzo skromne – od 422 tys. zł do 1,9 mln zł. Unijne wsparcie niewiele dało. Umowy zostały rozwiązane, a firma nie figuruje już w Krajowym Rejestrze Sądowym.

Z adnotacją „w upadłości likwidacyjnej" znajdziemy w KRS Aztar sp. z o.o. Jeśli wierzyć oficjalnym rządowym danym, przyznano jej co najmniej kilka dotacji, m.in. 732 tys. zł na „Innowacyjny produkt zaawansowanej terapii rekonstrukcyjno-regeneracyjnej w chirurgii plastycznej, twarzowo-szczękowej i medycynie estetycznej", ponad 8 mln zł na „Innowacyjne terapie komórkowe w leczeniu autoimmunologicznych chorób zwyrodnieniowych" czy 3,8 mln zł na „Opracowanie innowacyjnej technologii produkcji substancji czynnej do wytwarzania leków biopochodnych". W sumie ponad 21 mln zł. Niezły wynik jak na firmę z kapitałem zakładowym 25 tys. zł.

Właścicielowi łódzkiej spółki Ativa Clinic (kapitał założycielski 50 tys. zł) na projekt „Centrum Badawczo-Rozwojowe Ośrodek Badań Klinicznych Szybkiej Diagnostyki i Terapii" przyznano imponujące 47,6 mln zł. Jaka szkoda, że dziś spółka w rejestrze KRS figuruje z adnotacją „w likwidacji".

Cisza nad komórkami macierzystymi

Wybitny polski uczony prof. Mariusz Z. Ratajczak otrzymał 45,4 mln zł na projekt „Innowacyjne metody wykorzystania komórek macierzystych w medycynie". Był on realizowany przez badaczy z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego Polskiej Akademii Nauk oraz Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego w Warszawie. W roku 2006 zespół prof. Ratajczaka ogłosił odkrycie w szpiku kostnym myszy, a rok później we krwi pępowinowej człowieka komórek o cechach embrionalnych komórek macierzystych. Nazwano je VSEL. Kolejne badania miały potwierdzić, że są one również obecne w płucach, nerkach, mózgu i trzustce dorosłych myszy. Wiązano z nimi wielkie nadzieje. Zakładano, że znajdą praktyczne zastosowanie w lecznictwie. Media donosiły, że odkryciem zainteresowała się US Army. Pisano, że komórki macierzyste to milowy krok w rozwoju medycyny regeneracyjnej.

Jednak w roku 2013 trzy zespoły naukowców – prof. Józefa Dulaka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zespół badaczy z University College w Londynie oraz zespół prof. Irvinga Weissmana z Uniwersytetu Stanforda – opublikowały wyniki badań, które podały w wątpliwość odkrycie prof. Ratajczaka. Przez media przetoczyła się gwałtowna dyskusja. Uczony dowodził, że najprawdopodobniej zespoły te popełniły błędy i dlatego uzyskały negatywne wyniki. Jego krytycy przekonywali, że powinnością badacza jest takie publikowanie wyników prac i opisów doświadczeń, by każdy kompetentny naukowiec mógł je powtórzyć w swoim laboratorium. Po czym wszystko ucichło. Od kilku lat coraz

W naszym kraju ostatni raz oryginalny lek od początku do końca opracowano i wprowadzono na rynek w roku 1970. Był to bicordin prof. Stanisława Binieckiego.

FOT. TOMASZ WIECH/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 91f094e227

trudniej znaleźć w mediach publikacje na temat komórek macierzystych VSEL. Prowadzone są jakieś badania, lecz zainteresowanie nimi jest cieniem chlubnej przeszłości.

Zwróciłem się z prośbą do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju o wgląd w dokumentację projektu prof. Ratajaczka, który zakończył się pięć lat temu. W nauce to cała epoka. Odmówiono mi, argumentując, że „dokumentacja projektu zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa w części nie stanowi informacji publicznej, zaś w części jest objęta tajemnicą przedsiębiorstwa". Przypomniano też „że w ww. konkursie beneficjenci nie składają sprawozdania z wdrożenia". Czyli wyniki badań nie musiały znaleźć praktycznego zastosowania w medycynie. Nie chcę powiedzieć, że prof. Ratajczak i jego współpracownicy sprzeniewierzyli przyznane im środki. Tak nie było. Lecz sytuacja, w której instytucje państwowe dzielące dziesiątki miliardów złotych z funduszy unijnych odmawiają wglądu w zakończone kilka lat temu projekty finansowane ze środków publicznych, wręcz zachęca do kręcenia lodów.

Od fiaska do fiaska

Przy czym jest jeszcze jedna, kto wie, czy nie najbardziej atrakcyjna wymówka. Bardzo często badania podejmowane przez firmy biotechnologiczne kończą się niepowodzeniem i nie ma w tym nic dziwnego.

Dlatego coraz częściej mamy do czynienia z sytuacjami, w których zespoły badawcze bądź firmy ogłaszają publicznie, że np. ich badania nad taką czy inną szczepionką lub lekiem na raka są bardzo zaawansowane. By zakończyły się sukcesem, potrzebne są środki. I one się znajdują. A po kilku latach znów słyszymy, że polscy uczeni są blisko opracowania przełomowej szczepionki…

KRAJ

Męczeństwo braci Szumowskich

Tylko głupi by się nie schylił po środki unijne

Marek Czarkowski

W naszym kraju po raz ostatni oryginalny, innowacyjny lek od początku do końca opracowano i wprowadzono na rynek w roku 1970. Był to bicordin, stosowany w chorobie wieńcowej, opracowany przez prof. Stanisława Binieckiego. Polscy naukowcy potrafią tworzyć leki generyczne, będące odpowiednikami oryginalnych. Ale poszukiwanie innowacyjnych cząstek, nie mówiąc o produkcji i wprowadzeniu

> Zbyt często słyszę przedstawicieli start-upów z bio, nano lub czymś podobnym w nazwie, jak blisko są przełomu. Wtedy zastanawiam się, ile właściciele tych firm chcą wyciągnąć.

W nauce większość teorii i doświadczeń nie znajduje potwierdzenia. Weryfikowane są kolejne założenia. Ale co zrobić, jeśli wyniki eksperymentu wykonanego zgodnie z obowiązującymi regułami nie są powtarzalne? Spotkałem się z opinią, że w biotechnologii nawet w 80% eksperymentów uzyskujemy różne wyniki!

Czy możemy wierzyć uczonym, którzy akceptują ten stan? Mówią, że to normalne. I potrzeba lat badań, by dojść do prawdy. Oczywiście potrzebne są pieniądze, duże pieniądze, bardzo duże pieniądze…

na rynek nowych leków, przekracza możliwości polskiej gospodarki. Opracowanie jednego innowacyjnego leku to koszt 5-10 mld dol. Cały proces trwa średnio 12 lat. Tylko jedna na 8 tys. zbadanych w laboratorium cząsteczek daje szansę na stworzenie nowego leku. Badania przedkliniczne na zwierzętach trwają od pięciu do ośmiu lat. Po czym zaczyna się krytyczna i najbardziej kosztowna faza – cztery etapy badań klinicznych z udziałem ludzi. Na każdym może się okazać, że nowy lek albo nie spełnia pokładanych w nim nadziei, albo jest zbyt niebezpieczny dla pacjentów.

Kilkanaście lat temu prof. Grażyna Ginalska i dr hab. n. farm. Anna Belcarz z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie opracowały zastępujący kość kompozyt, który nazwano FlexiOss. „Sztuczną kością" zachwycali się wszyscy. W roku 2011 powstała spółka Medical Inventi, której zadaniem było skomercjalizowanie tego wynalazku. W roku ubiegłym rozpoczęła się kluczowa faza badań klinicznych. A to oznacza, że wkrótce „sztuczna kość" prof. Ginalskiej i dr Belcarz może stać się powszechnie dostępna dla pacjentów. Zainteresowanie na świecie jest ogromne. Przykład ten dowodzi, jak wiele trudu i wysiłku wymaga osiągnięcie sukcesu. I jak rzadko on się zdarza.

Nie sądzę, by rządzący potrafili skutecznie zadbać o rozwój branży biotechnologicznej w Polsce. Zbyt często słyszę przedstawicieli start-upów mających w nazwie bio, nano czy coś podobnego, jak blisko są opracowania czegoś przełomowego. Wtedy zastanawiam się, ile kasy właściciele tych firm chcą wyciągnąć. I wiem, że pewnie im się to uda. Przecież urzędnicy Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, Narodowego Centrum Nauki, a ostatnio Polskiego Funduszu Rozwoju i Agencji Badań Medycznych, hojnie obdarzają wszystkich chętnych, nie stawiając warunków. A właściwie stawiają jeden. Wniosek oraz załączona dokumentacja muszą być w idealnym porządku. Podobnie proces realizacji projektu. Jeśli wszystko w papierach się zgadza, można spać spokojnie. Nieważne, że nie będzie to miało najmniejszego znaczenia dla rozwoju polskiej gospodarki.

Zadziwiające jest to, że mimo wszystko w naszym kraju istnieją firmy, które nie ustawiają się pod wspomnianą motopompą. Tworzą niezwykle wyrafinowane produkty i korzystają z najnowocześniejszych technologii. Nie potrzebują rozgłosu, a ich prezesi nie udzielają wywiadów. Jeśli potrzebują środków na rozwój, z gotówką śpieszą inwestorzy amerykańscy, chińscy, niemieccy… Bo wiedzą, że zarobią. Ale to zupełnie inna historia.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 91f094e227

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Znać proporcją!

Jak w drugiej turze wyborów prezydenckich zachowają się elektoraty przegranych – o tym coś mówią sondaże. Jak jednak się zachowają sami przegrani kandydaci? W kampanii byli przyzwoici: na ogół nie atakowali siebie nawzajem. Atmosfera była na tyle kulturalna, że przystosował się do niej nawet Andrzej Duda, który dopiero ostatnio zaczął się rozkręcać i krzyczeć, teraz miota już nawet obelgi. Na krzyku i na obelgach zbuduje, jak widać, swą kolejną kampanię. Co jednak zrobią ci, co do drugiej tury się nie dostali?

I tu pojawiają się pytania. Czy Duda to zwyczajny kandydat? Czy PiS to zwyczajna partia? Czy ustrój, który od pięciu lat budujemy w Polsce, to ustrój demokratyczny? I czy zależy nam na demokracji? Od odpowiedzi zależą decyzje. Bo albo uznamy, że Duda to kandydat taki jak wszyscy, a PiS to partia taka jak wszystkie, i wtedy wybór będzie dowolny, „moralnie obojętny". Albo też będziemy przeciwnego zdania – a w takim razie zagłosujemy na nie-Dudę. Kimkolwiek by był ten nie-Duda.

Czy zatem opozycyjni kandydaci, którzy do drugiej tury nie przeszli, powinni zaapelować do swych elektoratów o udzielenie poparcia dotychczasowemu konkurentowi? Skutek zapewne byłby mizerny: elektoraty to nie wojsko – tu każdy jest suwerenem. A większość danego elektoratu już teraz wie, jak w drugiej turze zagłosuje – pokazują to, jak się rzekło, sondaże. Ale właśnie: sondaże pokazują, że wie większość, czyli że nie ma jednomyślności. Nawet część (i nie tak znów mała) wyborców Krzysztofa Bosaka jest skłonna poprzeć Rafała Trzaskowskiego. Jednomyślności nie osiągniemy, lecz szereg ludzi nieinteresujących się na co dzień polityką potrzebuje przecież wskazówki, który z dwójki obecnych rywali jest mojemu przegranemu bliższy.

Pierwsza tura rządziła się swoimi prawami. Cokolwiek mówić o opozycyjnym „pakcie o nieagresji", obowiązywała w niej podskórna logika konfrontacji, swoisty „konkurs piękności". Tura druga – to coś zupełnie innego, bardziej innego niż którakolwiek z drugich tur w przeszłości. Wiem, że ewentualne zwycięstwo kandydata opozycji to dopiero początek drogi. Ale wiem też, że państwo PiS trzeba będzie kiedyś rozbierać metodycznie, cegła po cegle: odbudować wspólnotę, przywrócić Polsce powagę. Nowy prezydent jest do tego niezbędny, a w takim razie nie ma dziś nic gorszego niż symetryzm. „PiS-PO – jedno zło"? Od dawna krytykuję Platformę, lecz gdyby nawet kandydował w drugiej turze reprezentant jej najskrajniejszego skrzydła, poparłbym go bez zmrużenia oka. „Znaj proporcją, mocium panie", pisał stary Fredro.

Symetryzm martwi mnie zwłaszcza w przypadku Szymona Hołowni. Bo to prawdopodobnie on będzie największym przegranym: domniemana pozycja trzecia nie jest przepustką do drugiej tury. Tymczasem Hołownia oświadcza, że wprawdzie ujawni, na kogo zagłosuje, ale na pewno nie będzie do niczego wzywał. Rozumiem: jego kampania (podobnie zresztą jak kampania Kosiniaka-Kamysza) została pomyślana właśnie jako próba wyjścia z duopolu PO-PiS. I jako taka rzeczywiście spełniła rolę, ba! przeszła oczekiwania, a jeśli chodzi o mnie, to nawet spełniła marzenie, bo zawsze chciałem ujrzeć ruch polityczny, który byłby zarazem katolicki i – choćby nawet łagodnie – antyklerykalny. Co z tego jednak? Trzeba „znać proporcją". Wiedzieć, o co toczy się gra. A Hołownia – człowiek spoza polityki – może i tak czuć się dziś spełniony.

Pamiętam scenę sprzed lat już prawie trzydziestu. W pierwszej kampanii prezydenckiej, jesienią 1990 r., „Tygodnik Powszechny" (w redakcji którego od niedawna wtedy pracowałem) opowiadał się bardzo zdecydowanie przeciw kandydaturze Lecha Wałęsy, a bardzo gorąco za kandydaturą Tadeusza Mazowieckiego. Ale Mazowiecki przegrał, a do drugiej tury wszedł z Wałęsą nieznany wcześniej biznesmen z Kanady, Stanisław Tymiński. W Krakowie, w sali amfiteatralnej Collegium Witkowskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, odbyło się wówczas zebranie i na początek oddano głos redaktorowi naczelnemu „Tygodnika". Siwowłosy Jerzy Turowicz wyszedł na środek sali, wziął mikrofon i mocnym, głębokim głosem wezwał wszystkich, by w powstałej groźnej i dramatycznej sytuacji nie wahali się i oddali głos na Wałęsę. Patos tej chwili był taki, że chyba wszyscy czuliśmy dreszcz na plecach.

Szymon Hołownia reprezentuje dziś prawicę umiarkowaną, o sympatiach centrystycznych. Pytanie, czy nawet taka łagodna prawica potrafi wznieść się ponad racje partykularne. Był też Hołownia felietonistą „Tygodnika Powszechnego". Pytanie, czy to ten sam „Tygodnik".

Państwo PiS trzeba będzie kiedyś rozbierać metodycznie, cegła po cegle: odbudować wspólnotę, przywrócić Polsce powagę.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 91f094e227

Rozmawia Jakub Dymek

Koszty koronakryzysu poniosą najsłabsi

Nie będzie w Polsce apokalipsy i głodu, ale gorszy rynek pracy i większe nierówności – już tak

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG

– badacz polityki społecznej oraz problematyki ubóstwa i wykluczenia. Profesor na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW, jest przewodniczącym European Anti Poverty Network w Polsce. Autor licznych publikacji o problematyce państwa opiekuńczego.

Na podstawie najnowszych danych przypomniał pan, że w ostatnich latach najbardziej wzrosły realne dochody najuboższych Polaków. I że ten wzrost przypadł na minione pięć lat.

– Gdy porównamy rok 2019 do 2015, to zarówno dochody, jak i wydatki dolnych 20% Polaków wzrosły najbardziej w porównaniu z pozostałymi grupami dochodowymi. Szczególnie w latach 2016 i 2017. Jeżeli zestawimy początek i koniec kadencji rządów z lat 2007-2015, sytuacja była gorsza. Ale takie porównanie może sugerować, że za zmiany odpowiadają głównie rządy. A wiadomo nie od dziś, że w gospodarce nie wszystko zależy od polityków. W retoryce politycznej ten wpływ jest zresztą przeszacowany – albo w służbie propagandy sukcesu ze strony rządu, albo kontrpropagandy opozycji.

Powodów jest więcej?

– Wzrost zamożności najbiedniejszych jest, jak sądzę, dość oczywistą sprawą. Rodziny z dziećmi są bardziej narażone na ubóstwo, a to one dostały zastrzyk dochodowy z programu 500+. Te pieniądze można bez żadnych ograniczeń łączyć z zasiłkami rodzinnymi, które trafiają do biedniejszych. Z drugiej strony następowała stała poprawa na rynku pracy. Spadało bezrobocie, więc łatwiej było o pracę. I, co warto zaznaczyć, wprowadzono minimalną płacę godzinową. Z powodu dobrej koniunktury i ogólnej sytuacji gospodarczej pracodawcom łatwiej było spełniać te wymogi i zatrudniać oraz płacić więcej. W skrócie, na tę poprawę złożyły się: ekspansja świadczeń, bardzo dobra sytuacja na rynku pracy, dobra ogólna sytuacja gospodarcza. Wskutek tego klasa średnia i zamożni zyskiwali, ale więcej zyskali najbiedniejsi. To jest z mojej perspektywy najlepszy możliwy model wzrostu gospodarczego, bo najbardziej korzystają na nim ci, którzy są w najgorszej sytuacji.

Jeżeli zatem urzędujący prezydent w kampanii mówi, że poprawa losu najbiedniejszych to jego i rządu zasługa, ma rację?

– Częściowo. Gdyby nie było 500+, kolejnych świadczeń finansowych i godzinowej płacy minimalnej, spadek ubóstwa, z jakim mieliśmy do czynienia, byłby mniejszy. Ale również by był, zaczął się już w 2015 r. Niskie bezrobocie i nacisk na płace pomogły ubóstwo zredukować. Chęć polskich rodzin do podejmowania pracy i korzystania z możliwości wzrostu gospodarczego także się do tego przyłożyła. Polityka społeczna państwa ma wpływ na ubóstwo, ale oczywiście nie tylko ona. Jaka w tym rola i zasługa prezydenta, to już osobne pytanie.

Częstym argumentem przeciwko płacy minimalnej jest to, że jej podniesienie uderzy w najbiedniejszych, ograniczy możliwość zatrudnienia, wykluczy najsłabszych z rynku pracy, bo nikt za większą stawkę ich nie zatrudni. Czy te obawy – przynajmniej zanim uderzyła pandemia – się potwierdziły?

– To znany katalog obaw, ale dane z ostatnich lat raczej ich nie potwierdzają. Dopiero w tym roku będzie inaczej – bo na rynku pracy będą widoczne skutki i kryzysu zdrowia publicznego, i gorszej koniunktury, i możliwości obniżania płac wynikającej m.in. z tarczy antykryzysowej. Mieliśmy dużą podwyżkę płacy minimalnej, a jednocześnie będzie dużo mniej miejsc pracy np. w turystyce, gastronomii, hotelarstwie, gdzie liczba osób zatrudnionych za taką płacę może być większa. Trudno jednak będzie oddzielić wpływ dużej podwyżki od wpływu innych, dużo silniejszych czynników.

Czy w roku 2020 jesteśmy, a przynajmniej u progu kryzysu byliśmy, społeczeństwem bardziej egalitarnym? Bo toczyły się i dalej toczą ciekawe spory o nierówności.

eprasa.pl 91f094e227

– Są dwie szkoły. Jedna mówi, że współczynnik nierówności w Polsce konsekwentnie spadał. I dopiero teraz, w 2018 i 2019 r., nieco wzrósł. Tu podstawą są GUS-owskie badania budżetów gospodarstw domowych. Druga szkoła, nowsza, zagląda do zeznań podatkowych i wskazuje, że jest znacznie gorzej, niż myśleliśmy, a nierówności w Polsce są niezwykle duże, nawet jedne z największych w Europie.

A panu która szkoła jest bliższa?

– Jeżeli porównamy realne przeciętne dochody na osobę w dolnych i górnych 20%, to różnica między nimi wzrosła o 6% w 2018 r. Przy wydatkach wzrosła o 3% w 2019 r. Może to sugerować, że w tych latach następuje odwrócenie trendu zmniejszania się nierówności. Proponuję też spojrzeć na ubóstwo. W 2016 r. nastąpił spadek ubóstwa, i to spory, w 2017 r. również, choć mniejszy. A w 2018 r. ubóstwo nieco się zwiększyło, nawet w wypadku dzieci i ubóstwa skrajnego. Intuicja podpowiada więc, że sytuacja się poprawiała, ale z tendencją coraz słabszą. Pamiętajmy jednak, kogo badania GUS nie ujmują prawie wcale – czołówki z setki najbogatszych ankieter nie zastanie w domu. A nawet jeśli zastanie, to nie namówi na wypełnianie ankiet, książeczek budżetowych, gdzie trzeba wpisywać dochody i wydatki przez miesiąc. Stąd ten krok w kierunku danych administracyjnych z urzędów skarbowych.

Czy państwo polskie przesuwa się więc, jak mówią niektórzy, w bardziej solidarystycznym, a nawet lewicowym i socjalnym kierunku, czy pozostaje w modelu, na jaki zdecydowano się u początków III RP, tylko dokłada do niego instrumenty pomocy finansowej dla obywateli?

– Tak naprawdę doganiamy wzorzec europejski – nie lewicowy czy prawicowy, tylko ogólnie przyjęty w powojennych gospodarkach na zachodzie Europy. Od początku lat 90. realizowaliśmy model nazywany neoliberalnym, wrogo nastawiony wobec transferów do osób w wieku produkcyjnym – świadczeń i zasiłków innych niż te dla najbiedniejszych z biednych. Ruszyliśmy się w lewo w tym sensie, że powszechne świadczenia trafiają także do klasy średniej. Dotychczas łatwo było ją buntować: że tylko płaci podatki, nic w zamian nie dostaje, na dodatek finansuje socjal innym. Jest jeszcze inne ciekawe zjawisko...

Poza narzekaniem na nieróbstwo?

– Gdy klasa średnia uważa świadczenia społeczne za zbyt małe, bo np. inflacja pożera 500+, albo jakość usług publicznych za niewystarczającą, pojawia się presja na zwiększenie wydatków społecznych, na podwyższenie świadczeń i poprawę jakości usług. A na tym korzystają najubożsi, ich dzieci i rodziny. W interesie wszystkich jest więc to, by klasa średnia nie uciekała z systemu usług publicznych, tylko domagała się doinwestowania, rozwoju, większych nakładów.

To, czy za rządów Zjednoczonej Prawicy tak się dzieje, jest jednak kwestią sporną. Łukasz Pawłowski w książce „Druga fala prywatyzacji. Niezamierzone skutki rządów PiS" dowodził, że pieniądze przekazane w ramach świadczeń ludzie wydają na usługi, których państwo nie rozwija. Pan jest zdania, że powinniśmy rozwijać model oparty na bezpośrednich świadczeniach gotówkowych, takich jak 500+?

– Tezy tej książki mnie nie przekonują. W świadczeniach mamy jeszcze trochę do zrobienia, a usługi były i będą rozwijane, szczególnie pod wpływem doświadczeń epidemicznych. Zobaczyliśmy kolejne słabości edukacji, a na ochronę zdrowia i tak narzekano. W świadczeniach zbliżamy się do pewnego optimum: dla wszystkich świadczenia powszechne, a dla biednych dodatki do nich lub dodatkowe świadczenia. Oznacza to, że wszyscy korzystają, ale bardziej ubożsi, którzy potrzebują większego wsparcia.

Optimum ma oznaczać, że stworzyliśmy już polskie państwo dobrobytu?

– Tarczę świadczeniową przeciw ubóstwu trzeba jednak uzupełnić. Pomoc dla wypadających z rynku pracy jest daleko poniżej europejskich standardów i rekomendacji. Nawet podniesiony przez działania antykryzysowe zasiłek dla bezrobotnych, którym chwalił się prezydent Andrzej Duda, nadal będzie mniejszy niż 50% płacy minimalnej! I jest jeszcze pomoc społeczna. Zasiłki tutaj są tak skonstruowane, żeby były jak najmniejsze – gwarantowane 350 zł i maksimum 418 zł dla bezrobotnej osoby samotnie gospodarującej bez dochodu. Jak za to przeżyć?! Jeśli więc chodzi o świadczenia, w tym naszym polskim państwie dobrobytu są istotne luki. A jeszcze część świadczeń nie jest waloryzowana, więc z każdym rokiem tracą na wartości.

To poważny problem?

– Tak, zwłaszcza gdy w budżecie rodzin świadczenia stanowią większą część. Powoduje to osuwanie się w ubóstwo, co już się stało w 2018 r. – szczególnie wśród rodzin utrzymujących się głównie ze świadczeń. Na marginesie można dodać, że część środków na aktywizację zawodową, usługi i innowacje społeczne, polepszenie sytuacji na rynku pracy, a nawet żłobki płynie do nas z UE, z Europejskiego Funduszu Społecznego. Z polskich pieniędzy finansujemy bezpośrednie świadczenia społeczne. To też cecha naszego modelu.

Czy koronakryzys to zmieni, zmusi rząd do ograniczenia świadczeń albo w inny sposób wstrząśnie modelem społecznym w Polsce?

– Rząd na wiele sposobów stara się uniknąć przekroczenia konstytucyjnych progów zadłużenia publicznego – bo gdy je przekroczy, w 2021 i 2022 r. będą nas czekały drastyczne cięcia. Takie są wymogi w ustawie o finansach publicznych. Na razie wydatki związane z kryzysem – np. Polskiego Funduszu Rozwoju – nie wejdą do rachunku długu publicznego. Wyobraźmy sobie, że wybory wygrywa Rafał Trzaskowski

Analiza zeznań podatkowych wskazuje, że jest znacznie gorzej, niż myśleliśmy, a nierówności w Polsce są niezwykle duże, nawet jedne z największych w Europie.

Dla wszystkich świadczenia powszechne, a dla biednych dodatki do nich lub dodatkowe świadczenia. Razem oznacza to, że wszyscy korzystają, ale bardziej ubożsi, którzy potrzebują większego wsparcia.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 91f094e227

i wetuje próby obejścia progów – to by wymuszało cięcia wydatków.

I co się dzieje?

– Przypomnijmy sobie, co się działo za PO w 2009 r. Obcięcie zasiłku pogrzebowego o 2 tys. zł, zamrożenie płac w sektorze publicznym, ograniczanie praw pracowniczych. Otwarte jest pytanie, jak będzie cięło PiS, gdy zostanie do tego zmuszone.

Mamy jakieś historyczne analogie?

– *Austerity*, czyli polityka oszczędności, w Polsce po 2008 r. oznaczała raczej ograniczanie praw pracowników, a w mniejszym stopniu bezpośrednie cięcia świadczeń, poza tym zasiłkiem pogrzebowym. Są też jednak ciche cięcia pod postacią decyzji o niewaloryzowaniu różnych świadczeń i progów, np. w 2009 r. w pomocy społecznej, gdy część osób nawet skrajnie ubogich nie załapywała się na pomoc. Próg uprawniający do otrzymania zasiłku był niższy niż minimum niezbędne do przeżycia – to był skandal!

Koszty tamtego kryzysu przerzucano na najbiedniejszych?

– Częściowo i oni je ponieśli. Politycy zazwyczaj unikają działań niepopularnych, a gdy je podejmują, szukają mocnych uzasadnień i przerzucają winę na innych. PO krytykowała i wyśmiewała becikowe. Odebrała je, kiedy doszła do władzy? Nie, ale nie waloryzowała, dodała wymóg wizyt u ginekologa i odcięła zamożne kobiety. Nawet rządy PiS nic tu nie zrobiły, tylko dodano nowe świadczenie do całej reszty. Oczywiście w Polsce nie mieliśmy kryzysu tak dotkliwego jak w Hiszpanii czy we Włoszech, nie mówiąc już o Grecji, więc i presja na cięcia była mniejsza. Wolę jednak sytuację, gdy jest z czego ciąć, niż taką, gdy tnie się najuboższym.

Pomoc dla wypadających z rynku pracy jest znacznie poniżej europejskich standardów i rekomendacji.

Czy nadchodząca recesja będzie tak dotkliwa jak żadna wcześniej?

– Trwa dyskusja nad tym, dlaczego bezrobocie nie rośnie aż tak, jak się tego spodziewano. Rząd utrzymuje, że to dzięki tarczom antykryzysowym. Podobnie jak wielu innych komentatorów spodziewam się, że bezrobocie będzie jeszcze rosło, choć niekoniecznie od razu o milion. Szczególnie że widzimy szybki powrót sytuacji do normalności. Pamięta pan te krzywe w kształcie literek U, V i L? Każdy scenariusz ożywienia gospodarczego jest możliwy, ale chyba bardziej V, czyli szybkie odbicie. O ile oczywiście epidemia znowu nie uderzy.

Pandemia upowszechniła pojęcie grupy ryzyka. Kto w sensie ekonomicznym jest w Polsce grupą ryzyka, najbardziej zagrożoną konsekwencjami recesji i kryzysu?

– Wszyscy podejmujący się pracy gorszej jakości i będący w gorszej sytuacji na rynku pracy. Młodzież – bo gdzie szuka zatrudnienia? W gastronomii, za barem, w pracach dorywczych, w turystyce. Ci, którzy dziś wchodzą na rynek pracy, będą mieli jeszcze trudniej. Kobiety z dziećmi oczywiście – bo do obowiązków wynikających z pracy zdalnej doszło więcej zadań związanych z wychowaniem i edukacją. A tym bardziej kobiety, które straciły pracę lub wynagrodzenie, bo nie mogły przejść na tryb zdalny. Te grupy, które zawsze są w gorszej sytuacji, straciły najbardziej. Natomiast klasa średnia stosunkowo łatwo – poza branżami całkowicie zamrożonymi przez *lockdown* – wychodzi z konsekwencji gospodarczych pandemii. W pewnych wypadkach, o ile nie mamy dzieci, jakość pracy klasy średniej może nawet się poprawia. Praca zdalna ma swoje plusy. Widzę nawet większe ryzyko pogłębienia nierówności między tymi, którzy wykonują rutynową pracę niskiej jakości, a tymi, którzy zajmują wyższe pozycje, pracują zdalnie i są dla firmy niezbędni, są więc ostatni do zwolnienia.

Czyli to problem tzw. prekariatu – ludzi zatrudnionych w niestabilny, nieprzewidywalny, śmieciowy sposób?

– Tak, ale u nas niestabilne formy zatrudnienia upowszechniły się do tego stopnia, że przestały właściwie kogokolwiek dziwić i stały się elementem „normalnej" sytuacji dla osób wchodzących na rynek pracy i będących na nim. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do tej trwającej od 20 lat – jak mówi prof. Joanna Tyrowicz – traumy poszukiwania pracy, że trzymamy się tego, co nam zaoferowano. Od czasów transformacji powtarzano ciągle, że świat jest płynny i niepewny, trzeba się do tego dostosować, trzeba być elastycznym.

Zasiłki są tak skonstruowane, żeby były jak najmniejsze – gwarantowane 350 zł i maksimum 418 zł dla bezrobotnej osoby samotnie gospodarującej bez dochodu. Jak za to przeżyć?!

Konsekwencją kryzysu będzie więc nawet nie to, że masowo zbiedniejemy i nie będzie nas na nic stać, ale że pogorszy się i spotwornieje rynek pracy?

– Tak. Choć nie dla wszystkich. Osoby o najwyższym wykształceniu i najbardziej pożądane przez pracodawców zachowają etaty nawet pomimo koronakryzysu. I jeszcze będą mogły dorabiać, bo popyt na niektóre usługi wzrósł. Natomiast pogłębi się przepaść między grupą najgorzej i najlepiej umocowanych na rynku pracy. A czy poziom ubóstwa wzrośnie? Myślę, że tak, choć liczę na efekty dodatku solidarnościowego i podwyżki zasiłku dla bezrobotnych. Może też wreszcie zostaną podniesione zasiłki z pomocy społecznej?

Czyli apokalipsy nie będzie?

– W 2020 r. zbiedniejemy jako społeczeństwo. Światowa gospodarka wpadła w poważne turbulencje, które mogą się przeciągać do kolejnego roku. Ale nie będzie tak, żeby klasy średnia i wyższa miały głodować, bez przesady. Apokalipsy nie będzie.

Jakub Dymek

eprasa.pl 91f094e227

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Drzewa, głupcy!

Czasami myślę, w chwili zwątpienia i poczucia beznadziei, że nie mogąc oczekiwać od polityków wykonywania ich pracy („zawodu i powołania") uczciwie, z odwagą, z rozmachem potrafiącym się zmierzyć z wyzwaniami przyszłości, kapitulując przed *realpolitik*, chciałbym jednak zachować prawo do żądania, by ponosili odpowiedzialność. I to nie na skalę zuchwałej kradzieży na sumę 70 zł, za co można teraz pójść do więzienia na 16 lat (Dudolino zdążył podpisać ustawę, która go po raz kolejny kompromituje, ośmiesza, marginalizuje politycznie), tylko surowiej niż obywatel, niż każdy/każda z nas. I żeby ta odpowiedzialność tyczyła się nie tylko kryminalnych poczynań (choćby zakupu od dziwnego biznesmena, handlarza bronią, przepłaconych respiratorów, których nie sprzedał mu producent, których tu nie ma i nie pracują, a przelewy poszły kilka godzin po podpisaniu umowy – spotkaliście się kiedyś z takim przypadkiem, że kilka godzin po podpisaniu umowy poszły do was przelewy???), ale też słów. Wypowiadanych, wykrzyczanych, wystrzelanych. Słów, których konsekwencje odczuwają inni na swoich głowach, grzbietach, twarzach.

Kiedyś, dawno temu, rzecznik rządu w klasycznym bon mocie zapewnił, że „rząd się sam wyżywi". Dzisiaj rząd opłaci się sowicie na lata albo nawet pokolenia do przodu, zapewni sobie nietykalność za czyny, za które powinien pójść za kraty, kiedy niekompetencje przekładają się na bezkrytycznie przyklepywane kolejne demolki, zwane reformami (edukacja), albo kiedy kończy się na kłamstwach negocjacyjnych, groźbach (kolejny zapis w tarczy antykryzysowej wprowadzający bezwzględną karę więzienia dla lekarza, pielęgniarki za popełnienie nieumyślnego błędu) i równoczesnych prośbach (dajcie szczepionkę, leczcie, wasza praca to misja i powołanie).

Wrażenie, że ta władza nie ma gdzie się cofnąć, więc taranuje, co się da, zaczyna dominować. Czyżbyśmy oglądali paroksyzmy tych, co będą musieli odejść? Ciosy, deklaracje, obietnice i złorzeczenia na oślep. Czyżby przebijała się do świadomości ekipy rządzącej wizja utraty pełnej władzy parlamentarno-rządowo-prezydenckiej i nadchodzących tego konsekwencji? Ale może ta władza nie ma czego się bać? Przecież w świetle dnia i świętości wyborów demokratycznych minister Sasin wyrzucił w błoto 70 mln zł – nie musiał nawet bąknąć przepraszam, a co dopiero poczuć realne zagrożenie konsekwencjami karnymi. PiS bardzo chciało władzę zdobyć i ta wola pozwoliła mu to osiągnąć. Lęk przed utratą władzy jest silny, ale lęk przed utratą władzy, wpływów, apanaży, lewych kontraktów, spalonych „reform", wzmocniony obawą przed poniesieniem konsekwencji prawnych, politycznych, skarbowych, obywatelskich – to doświadczenie nieznane całemu pokoleniu władzy po 1989 r. Jeśli miałoby paść na PiS, wymagałoby to sporej, nieznanej determinacji innych sił politycznych. Albo naszej siły, żeby takie rozliczenie wymusić.

Choć kto miałby to wyegzekwować? Doświadczenie po rządach PiS w latach 2005-2007 pokazuje, że oczywistość może pozostać nieoczywista i należne rozliczenie nie nadchodzi, nie dzieje się, nie wydarza, brakuje woli politycznej i determinacji. I nic to, że nam, społeczeństwu, takie rozliczenie politycznej fuszerki i nadużyć się należy. Przez ostatnie dwie dekady oglądamy spektakl świętej wojny i miłości między PiS a PO, rządzą te dwie ekipy na zmianę, czasem tylko podmieniając sobie ludzi, żeby kiedy władzę na chwilę traci jedna ekipa, nie musieli pozostawać na bocznym torze. Raz tu, raz tam, byle u żłobu. A nawet jak się pokazuje co jakiś czas nieśmiały zwiastun trzeciej siły, to wykrwawia się, zanim dojdzie do realnej rozgrywki, albo wchodzi w alians z silniejszym, albo usiłuje grać w polityczne pozapolitycznie (czyli właściwie jak?).

A nasze życie płynie. Perspektywy bledną, rzeki wysychają, powietrze aż gęste od brudu, płace stoją, mieszkań nie ma w zasięgu olbrzymiej części społeczeństwa, stabilna praca bywa pojęciem teoretycznym zaledwie. I wycinają drzewa, na oślep, bez przyczyny, z byle powodu, w mieście, na wsi, w puszczy. Kiedy zobaczę, że zmienia się nasz stosunek do drzew i ich żywotów, uwierzę, że zmiana jest możliwa, że odpowiedzialność istnieje, że to wszystko ma jakiś rudymentarny sens. Jeśli nie potrafimy zadbać o drzewa w takim momencie katastrofy klimatycznej, to skąd przypuszczenie, że jesteśmy w stanie poradzić sobie z dużo bardziej skomplikowanymi problemami? Drzew wystarczy nie wycinać, a i to okazuje się zbyt wielkim wyzwaniem. Drzewa, głupcy!

Kiedy zobaczę, że zmienia się nasz stosunek do drzew i ich żywotów, uwierzę, że zmiana jest możliwa, że istnieje odpowiedzialność.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 91f094e227

Opiekunki są wkurzone

Opiekun ludzi starszych nie ma czasu na realizowanie misji. Ma zapieprzać. W dodatku za marne pieniądze

Ewa Rogowska

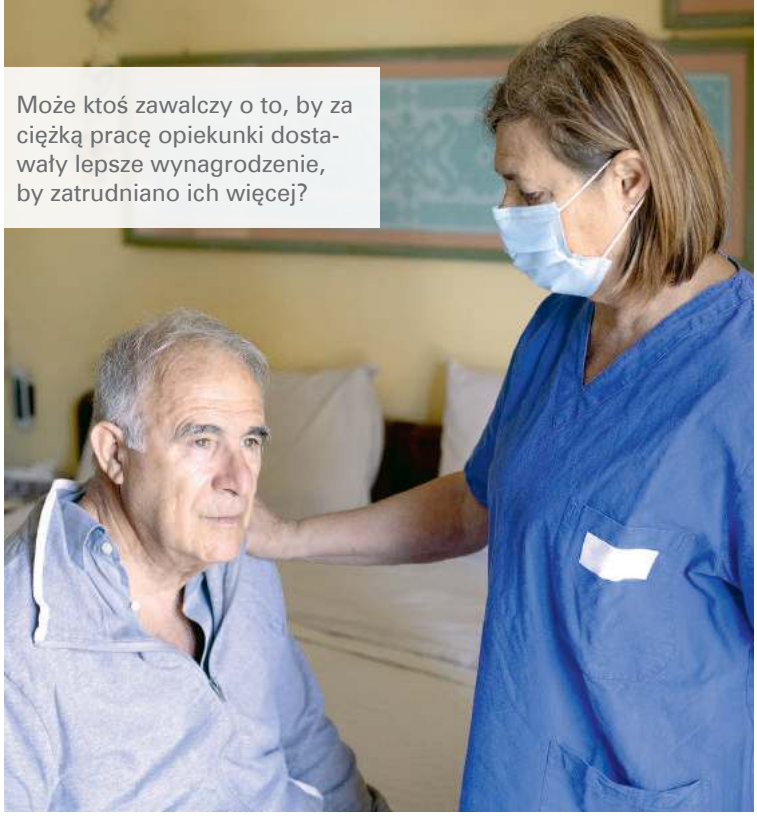

Może ktoś zawalczy o to, by za ciężką pracę opiekunki dostawały lepsze wynagrodzenie, by zatrudniano ich więcej?

Elżbieta przyjmuje chłodno informację, że powstała Związkowa Alternatywa Opiekunek – związek zawodowy, który może zawalczyć o lepsze warunki pracy. – Mnie to już nie dotyczy – mówi. – Cztery miesiące pracowałam jako opiekunka osób starszych w domu opieki i wystarczy. Dlaczego? Bo inaczej sobie wyobrażałam ten zawód. Sądziłam, że to misja. Wyleczyłam się z takiego myślenia. Opiekun ludzi starszych nie ma czasu na realizowanie misji. Ma zapieprzać. W dodatku za marne pieniądze.

Dziś wie, że pomysł, by dorabiać do emerytury w domu opieki, był w jej przypadku nietrafiony. Minęło kilka miesięcy, od kiedy porzuciła tę pracę, ale wciąż śni się jej zmienianie pampersów na czas, kąpiele pacjentów na czas, zmienianie pościeli na czas, karmienie na czas, pojenie na czas… Bo ciągle jest za mało opiekunek w stosunku do zadań. I śni się jej też wypluwanie na nią jedzenia, rzucanie kubkiem, wymyślanie od k… Żal jej osób, które muszą to znosić – i ten nadmiar pracy, i tę niewdzięczność pacjentów. Od czasu do czasu osłodzoną tabliczką czekolady. Elżbieta ma nadzieję, że może teraz, kiedy powstał związek zawodowy, będzie im łatwiej. Może ktoś zawalczy o to, by za tę morderczą pracę płacono lepsze pieniądze, by zatrudniano więcej opiekunek?

Gdy w kraju szalał koronawirus i zarażeni zostali pensjonariusze domów opieki czy hospicjów, mówiono o niezłomności pielęgniarek. Nikt nie mówił o niezłomności opiekunek. Elżbietę to oburzało. No bo jeśli ktoś tak jak ona pracował w domu opieki, doskonale wie, jak ogromna jest rola opiekunek. I że jedna pielęgniarka, choćby najbardziej niezłomna, nie byłaby w stanie obsłużyć grupy pensjonariuszy.

Opiekunka osób starszych, taka od najbardziej podstawowej opieki, to zwyczajna kobieta, która ukończyła co najmniej szkołę podstawową i 90-godzinny kurs. Albo nawet nie ma żadnego kursu, tylko doświadczenie z opieki nad kimś z rodziny. Choć do tej profesji trafiają również osoby z wykształceniem średnim lub wyższym, często po przejściu na emeryturę, opiekunka traktowana jest jak osoba drugiej kategorii. To jeden z najbardziej pogardzanych zawodów.

Żadnych pampersów! Ma pod opieką seniorów z różnymi dolegliwościami, nawet ze schizofrenią i chorobą dwubiegunową. Teraz opiekuje się ośmioma osobami. Z niektórymi się zaprzyjaźniła, są jak rodzina. Inni traktują ją jak służącą, jakby była nikim. A przecież ona też kiedyś była kimś.

Domy dla 120 tysięcy

W lutym tego roku GUS wydał pierwszą kompleksową publikację poświęconą sytuacji osób starszych. Sformułowanie osoby starsze w tym wypadku zgodnie z ustawą obejmuje osoby, które mają ukończone 60 lat. Jak wynika z raportu GUS, na koniec 2018 r. w Polsce funkcjonowało 1831 zakładów stacjonarnej opieki społecznej, w tym 876 domów pomocy społecznej i 364 placówki, które zapewniały całodobową opiekę w ramach swojej działalności statutowej lub gospodarczej. Łącznie w stacjonarnych placówkach było 118,9 tys. miejsc, w tym 82,8 tys. w domach pomocy społecznej. Z usług opiekuńczych świadczonych w domach korzystało w Pol-

Gdy w kraju szalał koronawirus i zarażeni zostali pensjonariusze domów opieki, mówiono o niezłomności pielęgniarek. Nikt nie mówił o niezłomności opiekunek.

Marianna, też emerytka jak Elżbieta, buntuje się przeciw traktowaniu zajęcia opiekunki jako czynności nikczemnej. Lubi swój drugi zawód. Drugi, bo z wykształcenia jest ekonomistką. Kiedy przeszła na emeryturę, postanowiła, że będzie pracować jako opiekunka środowiskowa ludzi starszych. – Muszę pracować, bezczynność by mnie zabiła – przekonuje. Ma jednak warunek – jej podopieczni muszą potrzeby fizjologiczne załatwiać w toalecie.

eprasa.pl 91f094e227

sce prawie 92 tys. osób starszych. Średnia wartość usług opiekuńczych przypadających rocznie na jedną osobę wynosiła 5167 zł, czyli zaledwie 430 zł miesięcznie.

Nie ma danych, które by określały liczbę opiekunek osób starszych w Polsce. W każdym razie szacuje się, że brakuje ok. 20 tys. opiekunek. Część usług opiekuńczych świadczą Ukrainki, pojawiły się także pracownice z Tajlandii.

Każda gmina powinna zapewnić swoim seniorom możliwość opieki w miejscu zamieszkania. Jednak aż 20% gmin takich usług nie zapewnia. Opieka nie jest całkowicie bezpłatna. Podopieczny nic nie płaci jedynie wtedy, jeśli jako osoba samotnie gospodarująca ma dochód miesięczny niższy niż 701 zł. W wypadku seniorów żyjących w rodzinie dochód uprawniający do bezpłatnych usług opiekuńczych wynosi 528 zł na osobę.

Każdy płaci, jak chce

We wtorki i czwartki Marianna chodzi do jednej czwórki podopiecznych, a w poniedziałki, środy i piątki do drugiej. Bywa u nich po dwie godziny albo godzinę – to zależy od zlecenia. Kiedy wie, że senior ma rodzinę, a mimo to dostaje dużo godzin z opieki społecznej, oburza się. Przecież więcej godzin powinna dostać osoba samotna.

Od lutego jej rejon przejęła nowa firma. – Źle się dzieje, bo każdy pracodawca inaczej płaci opiekunkom – mówi Marianna. – W przetargach organizowanych przez ośrodki pomocy społecznej wygrywają te firmy, które złożą najniższą ofertę. To moim zdaniem wykorzystywanie pracowników, bo jak stawka jest niższa, to i opiekunki będą mniej zarabiać.

Bywa więc, że opiekunki robią to samo co wcześniej, mają pod opieką tych samych seniorów, tylko że mniej pieniędzy, mimo wzrostu wynagrodzenia minimalnego. Na przykład teraz nowa firma płaci 11,40 zł za godzinę na rękę. Przy czym opiekunkom środowiskowym zazwyczaj płaci się za czas przepracowany na rzecz podopiecznego, natomiast czasu potrzebnego na dotarcie od jednego do drugiego się nie uwzględnia. – A przecież one się nie teleportują – oburza się Anna, która pracowała w firmie organizującej opiekę.

Kiedy koleżanki Marianny postawiły się pracodawcy i zażądały, by płacono im też za czas przejazdu z miejsca na miejsce, on po prostu je zwolnił. Zresztą większość pracodawców podchodzi do sprawy tak samo.

Oddzielna kwestia to zabezpieczenie opiekunek w czasie pandemii. Marianna na miesiąc dostała 12 par rękawiczek jednorazowych i 30 ml płynu dezynfekującego. Żeby zachować warunki sanitarne, opiekunki już przed pandemią dziennie potrzebowały czterech par rękawiczek lub więcej, bo po sprzątaniu WC trudno w tych samych rękawiczkach zabrać się do gotowania i karmienia.

Czy Związkowa Alternatywa Opiekunek, kiedy już nabierze siły, pomoże kobietom w takich sytuacjach? Jacek Choroszewicz z partii Lewica Razem uważa, że tak. Już od dłuższego czasu uświadamiał opiekunkom, że powinny walczyć o swoje prawa pracownicze i założyć związek zawodowy. W lutym w Warszawie odbyło się spotkanie, na które przyjechało ponad 60 opiekunek. Był on, czyli inicjator związku, była reprezentantka Centrum Usług Społecznych, które w stolicy nadzoruje świadczenie usług opiekuńczych, był prezes firmy, która zwolniła niepokorne opiekunki. Napisano regulamin związku. Związkowa Alternatywa Opiekunek reprezentuje opiekunki zatrudnione w Polsce, ale i te pracujące za granicą, głównie w Niemczech.

Według tzw. barometru zawodów zawód opiekuna osób starszych jest jednym z najbardziej deficytowych w Polsce. Trudno się dziwić, skoro z danych Ogólnopolskiego Badania Wynagrodzeń wynika, że średnie zarobki opiekunów seniora w domach pomocy społecznej kształtowały się w 2019 r. na poziomie 2270 zł brutto (ok. 1650 zł netto), czyli były tylko nieznacznie wyższe od wynagrodzenia minimalnego.

– Praca na kasie w markecie jest mniej odpowiedzialna i lepiej opłacana. Dlatego młodzi ludzie odchodzą z tego zawodu – mówi Choroszewicz. – Na rynku pracodawców jest duża rotacja, bo umowy często są roczne. Kiedy przetarg wygrywa inna firma, zatrudnia te same opiekunki.

Choroszewiczowi bardzo zależy na rozwoju ruchu związkowego wśród opiekunek. Także na tym, by rosła świadomość tej grupy zawodowej i aby opiekunki potrafiły walczyć o swoje prawa. – Dla mnie jest oczywiste, że firma zatrudniająca opiekunki powinna płacić za czas przejścia między pacjentami – podkreśla. – Tak samo musi dopłacać do biletów albo do przejazdów samochodem, musi też płacić za godziny nadliczbowe. Jednak te przepisy są martwe. Niskie zarobki to jakby sygnał ze strony społeczeństwa: nie opłacamy was dobrze, bo nie uważamy, że jesteście zawodem potrzebnym.

Zawód opiekuna osób starszych jest jednym z najbardziej deficytowych. Szacuje się, że w Polsce brakuje ok. 20 tys. opiekunek.

Ostrzegano

Piotr Ciszecki dwa lata temu był członkiem zarządu Fundacji Zdrowie, która wygrywała wiele przetargów na usługi opiekuńcze w stolicy. Warszawskie opiekunki z sentymentem wspominają ten czas, bo firma bardzo dbała o swoje pracownice.

Duda przegra. Duda wygra, ale też przegra: jego zwycięstwo będzie początkiem klęski Zjednoczonej Prawicy – **wieszczy tygodnik „NIE" w najnowszym numerze.**

FOT. ADOBESTOCK

eprasa.pl 91f094e227

– W Warszawie jest taki wymóg, żeby opiekunki były zatrudnione na etat. A jeśli tak, to przecież trzeba też uwzględnić pół godziny płatnej przerwy na lunch, trzeba zapłacić za urlop wypoczynkowy – tłumaczy Ciszecki. – Miasto zaś płaci za godzinę usługi opiekuńczej. Dlatego koszt tej godziny musi uwzględniać te dodatkowe obciążenia.

Efekt jest taki, że firma zatrudniająca opiekunki albo będzie zarabiać minimalnie, albo będzie musiała na nich zaoszczędzić. Nawet jeśli są to umowy o pracę, umowa zawsze może być na cztery piąte lub trzy czwarte etatu, niezależnie od tego, że opiekunka pracuje nawet dłużej niż na całym etacie, bo w końcu można jej za nadgodziny nie zapłacić. Tak robi wiele firm.

– To nie tylko słabo opłacana, ale i bardzo niewdzięczna praca – stwierdza anonimowy przedstawiciel jednej z firm. – Nawet w miastach zdarza się, że w mieszkaniu nie ma wody i opiekunka musi ją przynosić, albo że w mieszkaniu są robaki.

Teraz na rynku usług opiekuńczych pojawili się harcownicy. Bywa, że w przetargach deklarują stawki w wysokości 21 zł za godzinę. Nie ma możliwości, by przy tak niskiej stawce zapłacić opiekunkom za czas stracony na przejazdy między podopiecznymi i za bilety. Ale zgodnie z prawem zamówień publicznych jednostki samorządowe muszą wybrać ofertę najtańszą. I tak z rynku wycinane są firmy, które chcą rzetelnie wynagradzać opiekunki.

Na przykład w przetargu na usługi w 2020 r. OPS w Pieszycach na Dolnym Śląsku przeznaczył na nie 200 tys. zł, a jeden z dwóch kontrahentów zaoferował świadczenie usług za 175 770 zł, czyli oczekiwał 21,7 zł za godzinę. Tym kontrahentem było konsorcjum firm Fundacja Wigor z Białegostoku i Marmed Piotr Pogorzelski, także z Białegostoku. Co ciekawsze, konsorcjum to dwie firmy należące do tej samej osoby. W każdym razie kontrahent z Białegostoku przebił ofertę oddziału PCK w Dzierżoniowie, który oczekiwał za usługi opiekuńcze 211 tys. zł. Jednak OPS poprosił białostockie konsorcjum o złożenie wyjaśnień dotyczących oferty. Ponieważ nie nadeszły, ostatecznie przetarg wygrał oddział PCK w Dzierżoniowie.

Na temat firmy Marmed Piotr Pogorzelski, a także Marmed Sp. z o.o., również powiązanej z Piotrem Pogorzelskim, toczy się dyskusja na portalu GoWork.pl. Osoba podpisująca się Zuza w lutym napisała: „W Gdyni była umowa o pracę, bo tak wymagał MOPS. Pracodawca powinien zapłacić za urlop lub wypłacić ekwiwalent. Tym, którzy nie wykorzystali urlopu, ekwiwalentu nie wypłacono. Do tego nie były odprowadzane wszystkie składki ZUS". Oszuk w styczniu napisał: „Mnie nie opłacał ZUS-u, z wypłatami też ciężko. Czasami dwa tygodnie trzeba się upraszać. Zwrotu za dojazdy nie było". Ania też w styczniu stwierdziła: „Przetargi wygrywają na minimalnych stawkach, więc jest to kosztem pracowników, bo boss musi wyjść na swoje". Jednym z niewielu zachwyconych firmą był Mirek: „Ja podjąłem pracę w Olecku. Kontrakt super. Do tego pierwszego dnia dostałem pieniądze na dojazdy. Mam umowę o pracę i z tego, co wiem, 90% pozostałych pracowników w Olecku. Te wpisy to chyba jedna wielka ściema". Niestety, sielanka w Olecku nie trwała długo. 24 stycznia br. MOPS w Olecku rozwiązał umowę z konsorcjum z Białegostoku.

– Bywają środowiska, gdzie opiekunki są dla podopiecznego jedynym kontaktem – twierdzi Ciszecki. – Możemy opiekunkom płacić minimalne pieniądze i uznać, że nie są ważne. Ale one nie walczą o coś ekstra, tylko o to, co powinny mieć zagwarantowane.

Do tej pory opiekunki nie walczyły o swoje. Teraz, dzięki związkowi, może wreszcie ta sytuacja się zmieni. Pod koniec maja Związkowa Alternatywa Opiekunek przesłała list do minister rodziny, pracy i polityki społecznej Marleny Maląg. Domaga się w nim zawarcia układu zbiorowego dla wszystkich polskich pracowników i pracownic opieki w kraju i za granicą. Dzięki związkowi opiekunki będą miały w rękach potężny oręż – strajk. Jeśli zaś w jakiejś firmie usługi opiekuńcze przez czas strajku nie będą świadczone, bardzo wysokie kary umowne, które ośrodki pomocy społecznej mogą nałożyć na firmę świadczącą usługi, będą mogły wywrócić nawet najbardziej cwanych graczy na rynku opieki.

Ewa Rogowska

Średnie zarobki opiekunów seniora w DPS w 2019 r. wynosiły 2270 zł brutto (ok. 1650 zł netto), czyli były nieznacznie wyższe od wynagrodzenia minimalnego.

eprasa.pl 91f094e227

Statua sprawiedliwości

Kto ma dziś prawo strącać pomniki z cokołów?

Mateusz Mazzini

Indro Montanelli ma zawodowy życiorys, który każe stawiać go w panteonie gwiazd włoskiego dziennikarstwa. Wieloletni felietonista i korespondent zagraniczny dziennika „Corriere della Sera", później współtwórca sukcesu gazety „Il Giornale", uznawany jest za jedną z najważniejszych postaci w powojennej historii tamtejszych mediów. Zaczynał jeszcze w latach 30., opisując pierwsze zrywy społecznego poparcia dla reżimu Benita Mussoliniego. W czasie wojny podążał za włoskimi oddziałami, m.in. w Albanii i Grecji. Później był świadkiem chociażby wkroczenia wojsk radzieckich do Budapesztu w 1956 r. Przeprowadził też pierwszy w historii wywiad z papieżem dla laickiej gazety – jego rozmowa z Janem XXIII ukazała się w „Corriere della Sera" w 1959 r. W świadomości Włochów długo funkcjonował jako zatwardziały antykomunista i wybitny publicysta. Zmarł w 2001 r., w wieku 92 lat, do ostatnich dni życia pełniąc funkcję szefa działu listów do redakcji właśnie w „Corriere", do którego powrócił w 1995 r.

W Abisynii tak się robi

Montanelli nigdy nie ukrywał młodzieńczej fascynacji faszyzmem. We wspomnieniach przyznawał się, że w latach 30. postrzegał tę ideologię jako dającą nadzieję na stworzenie nowoczesnej włoskiej tożsamości narodowej. Mussolini imponował mu charyzmą i skutecznością, Montanelli widział w nim kogoś w rodzaju proroka niosącego światło w ciemnych latach włoskiego kryzysu i biedy – zapewniającego rozwój polityczny i ekonomiczny. Był też wybitny dziennikarz otwartym rasistą, ślepo wierzącym w zasadność włoskiej interwencji w Abisynii w latach 1935-1937. Okupacja tego kraju była według niego szansą na zaszczepienie zdobyczy cywilizacyjnych dzikusom i barbarzyńcom. Ludzi o ciemnym kolorze skóry nie uznawał za równych sobie, odmawiając im jakichkolwiek praw, na czele z prawem do decydowania o własnym losie. Podczas wojny w Abisynii, na którą zaciągnął się jako ochotnik pełen ideologicznego zapału, kupił 12-letnią dziewczynkę na niewolnicę seksualną. I choć niestety była to praktyka powszechna wśród włoskich żołnierzy w Afryce, a późniejsze relacje kilkakrotnie sugerowały, że dziewczynka była nieco starsza, nic tego czynu nie usprawiedliwia. Zwłaszcza że pytany o doświadczenia z Abisynii Montanelli wielokrotnie opisywał te zwyczaje w sposób obrzydliwy. Opowiadał, jak „bardzo potrzebował wówczas młodej kobiety", w wywiadzie telewizyjnym z 1972 r. nazwał ją „swoim małym, posłusznym zwierzęciem", na oskarżenia o gwałt odpowiadając, że „w Abisynii tak właśnie robi się te rzeczy".

Na pomniku Montanellego w Mediolanie włoscy aktywiści napisali słowa „rasista" i „gwałciciel".

Montanelli już nie żyje, nadal jednak uważa się go za wybitną postać. Międzynarodowy Instytut Prasy umieścił go na liście 50 osób najbardziej zasłużonych dla walki o wolność mediów. Ma też kilka pomników – m.in. w nazwanym jego imieniem miejskim parku w ścisłym centrum Mediolanu.

Jeszcze do niedawna pomnik dziennikarza nie wzbudzał kontrowersji ani nie przykuwał uwagi. Sama statua nie była dziełem sztuki, a Montanelli powoli odchodził w zapomnienie. Jednak dyskusja o rasistowskich kartach jego życiorysu wróciła w ostatnich kilkunastu dniach, kiedy na całym świecie zaczęto burzyć mur milczenia wokół niechlubnych historii wielu zasłużonych białych mężczyzn.

Antyrasistowskie protesty spod znaku #BlackLivesMatter przybrały różne formy, mają też wiele odmiennych konsekwencji. W niektórych miastach Stanów Zjednoczonych doprowadziły do zapowiedzi głębokich reform aparatu policyjnego, zmobilizowały do wyjścia na ulice setki tysięcy dotychczas niezaangażowanych w ten ruch młodych, zwłaszcza białych ludzi. Szybko przeniosły się też do Europy, ale na Starym Kontynencie ta społeczna mobilizacja ma zupełnie inny wydźwięk. W wielu miejscach nie napędzają jej żądania teraźniejszej zmiany czy lepszej, sprawiedliwszej przyszłości.

eprasa.pl 91f094e227

Młodzi europejscy antyrasiści coraz odważniej domagają się rozliczenia z narodową przeszłością – nierzadko przemilczającą setki lat rasowych nierówności, brutalnych prześladowań i ekonomicznego wykorzystywania dawnych kolonii czy społeczności imigranckich.

W 1972 r. Montanelli co najwyżej szokował, nazywając swoją 12-letnią abisyńską niewolnicę zwierzęciem. Dziś zza grobu ryzykuje dużo więcej, bo miejsce we włoskiej historii najnowszej. 14 czerwca na jego mediolańskim pomniku włoscy aktywiści wypisali sprayem słowa „rasista" i „gwałciciel", a figurę oblali czerwoną farbą. Nagranie z tego zdarzenia stało się jednym z najczęściej publikowanych we włoskich mediach społecznościowych. Działacze zaczęli się domagać usunięcia pomnika, przypominając o zaangażowaniu Montanellego w propagowanie faszyzmu i o jego rasizmie, demonstrowanym wiele dekad po wojnie. Rządzący od czterech lat mediolańskim ratuszem centrolewicowy polityk Giuseppe Sala odmówił zabrania pomnika z parku, argumentując, że „życie ludzkie powinno się oceniać w całości, a nie przez pryzmat pojedynczych wydarzeń". Tymi słowami rozwścieczył jeszcze bardziej włoskich aktywistów, którzy zapowiedzieli kolejne ataki na pomnik. Na razie statua została umyta i otoczona specjalnym ochronnym rusztowaniem. Na ulicach Mediolanu pojawiły się za to plakaty przedstawiające pomnik z nałożoną na niego wielką prezerwatywą i podpisem „Ducex", nawiązującym do fascynacji Montanellego Mussolinim.

Syn swojego miasta

Monument upamiętniający włoskiego dziennikarza wciąż stoi – w obronę wzięli go też radykalni prawicowcy, z kierującą ultrakonserwatywną partią Braci Włoskich Giorgią Meloni na czele. Puste miejsce pozostało natomiast po pomniku innej kontrowersyjnej postaci – Edwarda Colstona. Brytyjski kupiec i filantrop, ale także handlarz niewolników i otwarty rasista, miał pomnik w Bristolu, mieście, do którego ekonomicznego rozwoju walnie się przyczynił. Choć Colston żył i działał głównie w XVII w., dziś wzbudza nie mniejsze kontrowersje niż Montanelli.

Zniszczenie pomnika Colstona wywołało sprzeciw władz lokalnych i konserwatywnego rządu w Londynie.

Późniejszą fortunę zbudował na handlu owocami, winem i przyprawami, ale krociowe zyski dało mu uczestnictwo w atlantyckim handlu niewolnikami z Afryki. Wprawdzie w Bristolu spędził głównie lata młodzieńcze, w późniejszym czasie prowadząc biznes niemal wyłącznie z posiadłości w Mortlake na obrzeżach Londynu, lecz o rodzinnym mieście nigdy nie zapomniał. Pożyczał pieniądze miejscowym spółkom, rozkręcał zakład przetwórstwa cukru przywożonego z Karaibów, przekazywał datki na rzecz lokalnych kościołów i inicjatyw charytatywnych – oczywiście dotyczących białych mieszkańców miasta.

Był popularny do tego stopnia, że już nieco ponad sto lat po jego śmierci na trwałe wpisano jego nazwisko w bristolski krajobraz. Jego imieniem nazywano ulice, place, szkoły, aż wreszcie w 1895 r. postawiono mu pomnik. Utrzymany w stylu art nouveau stał w samym centrum Bristolu przez 125 lat, przeżywszy co najwyżej kilka mniejszych aktów wandalizmu.

W ostatnich latach kontrowersje wokół statuy wybuchały nie tylko z powodu coraz szerszej wiedzy na temat roli Colstona w handlu niewolnikami, ale także przez umieszczoną na pomniku tablicę. Napis głosił, że mieszkańcy Bristolu stawiają go „jednemu z najwybitniejszych i pełnych cnót synów swojego miasta". Ani słowem nie wspominano o fortunie zbitej na ludzkiej tragedii czy selektywnej naturze filantropii Colstona. Co ciekawe, jeszcze w 2014 r., kiedy lokalna gazeta „Bristol Post" zapytała w ankiecie czytelników, jaka przyszłość powinna czekać pomnik, aż 60% respondentów opowiedziało się za jego pozostawieniem w obecnym miejscu i formie. Później pojawiły się pomysły zmiany napisu na tablicy, tak aby odzwierciedlał on w pełni życiorys Colstona.

Do zmiany treści jednak nie doszło, bo na wspólny tekst nie zgodziła się rada miejska. Pierwszą propozycję, mocno umiarkowaną i w miarę neutralnie wspominającą o 84 tys. czarnoskórych kobiet i mężczyzn przehandlowanych przez Colstona, oprotestowali lokalni konserwatyści oraz przedstawiciele założonych przez niego i wciąż działających organizacji charytatywnych. Uwzględnienie handlu niewolnikami na pomniku było dla nich przejawem „rewizjonizmu" i „historycznego analfabetyzmu". Wyszli więc z kontrpropozycją, w której na temat niewolnictwa ledwo się zająknięto

FOT. CLAUDIO FURLAN/LAPRESSE/SIPA USA/EAST NEWS, BEN BIRCHALL/PA IMAGES/FORUM

eprasa.pl 91f094e227

w ostatnim zdaniu. Tę z kolei zawetował burmistrz miasta Marvin Rees, doprowadzając do sytuacji patowej.

Konflikt, jak to często bywa w takich sytuacjach, rozwiązał się sam, a raczej za sprawą społecznego zrywu. 7 czerwca w czasie jednego z brytyjskich protestów #BlackLives Matter antyrasistowscy aktywiści strącili posąg Colstona z piedestału, po czym przeturlali go po ulicy i zrzucili z nabrzeża. Ten czyn wywołał falę kontrowersji i sprzeciwu zarówno władz lokalnych, jak i konserwatywnego rządu w Londynie. Szefowa brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Priti Patel nazwała go „aktem czystego wandalizmu", a Marvin Rees stwierdził, że sprawcy obalenia statuy Colstona „nie mieli pojęcia, co robią". Ratusz zapowiedział, że pomnik zostanie wyciągnięty z wody, oczyszczony z napisów i wystawiony w jednym z miejskich muzeów. Policja zaś opublikowała niedawno fotografie 15 osób zaangażowanych w zrzucenie Colstona z cokołu – wszystkie są obecnie poszukiwane, zostaną oskarżone z urzędu o niszczenie własności publicznej o szczególnej wartości historycznej.

Dowód na zmienność postrzegania

Nie przeszkodziło to jednak innym przedstawicielom tego ruchu w podobnych działaniach publicznych, a wręcz ich zachęciło. Napis „rasista" pojawił się chociażby na cokole pomnika Winstona Churchilla w samym centrum Londynu, tuż obok budynku parlamentu. Oczywiście władze zinterpretowały to tak samo jak wydarzenia w Bristolu – jako akt wandalizmu. W obawie przed kolejnymi happeningami zabezpieczyły również inne monumenty w centrum stolicy, z pomnikiem Jerzego Waszyngtona i memoriałem ku czci ofiar I wojny światowej na czele – oba zostały okryte rusztowaniem maskującym.

Nie wszystkim to jednak wystarczyło. Bronić Churchilla i Waszyngtona, jednocześnie broniąc białej, a nawet wybielonej interpretacji brytyjskiej historii, przyszli pod parlament dwa tygodnie temu miejscowi prawicowi ekstremiści. Początkowo chcieli doprowadzić do konfrontacji z antyrasistami, ale kiedy marsz tych drugich został odwołany, zaczęli bić dziennikarzy i ścierać się z policją. Wielu miało na ubraniach neonazistowskie symbole, co w obliczu faktu, że z nazizmem walczył broniony rzekomo przez nich Churchill, pokazuje tylko, jak bardzo instrumentalizowane do osiągnięcia doraźnych celów politycznych mogą być historia i sposoby jej upamiętniania.

Nie wszędzie jednak władze publiczne chowają głowę w piasek, gdy przychodzi do konfrontowania się z przeszłością. W Belgii powstał olbrzymi ruch społeczny domagający się usunięcia wszystkich pomników i publicznych form upamiętnienia króla Leopolda II – petycję w tej sprawie podpisało już 80 tys. osób. Choć nieco zapomniany przez historię, ten brutalny władca zamienił obszar dzisiejszego Konga w prywatną – nawet nie państwową – posiadłość, budując monstrualną fortunę kosztem nawet 10 mln ofiar śmiertelnych nieludzkiego kolonializmu. W Antwerpii jego monument najpierw podpalono, potem oblano czerwoną farbą. To samo stało się ze statuą króla w Gandawie, a na pomniku w Brukseli zatknięto flagę Konga oraz banery z napisami „morderca" i „reparacje". Władze Antwerpii same usunęły pomnik, zanim zrobili to demonstranci. Na razie zostanie przechowany w muzeum, ale na swoje stare miejsce raczej nie wróci.

Głośno mówi się też o zmianie belgijskich programów nauczania i ekspozycji w tamtejszych muzeach, tak aby Leopold II nie był już przedstawiany jako ambasador europejskiej cywilizacji i twórca kolonialnej potęgi, skoro przede wszystkim był brutalnym rasistą i systemowym mordercą.

W Belgii powstał ruch społeczny domagający się usunięcia wszystkich pomników króla Leopolda II.

Przez USA i Europę Zachodnią przetacza się dziś fala żądań nowej interpretacji historii – szerszej, innej niż europocentryczna i stawiająca w glorii dokonania białego człowieka. Wbrew krzykom prawicy nie ma w tym jednak nic rewizjonistycznego. Pomniki czy inne sposoby publicznego upamiętniania przeszłości nie są bowiem niczym innym jak jej zbiorowym wyobrażeniem, jednym z możliwych. Bo przeszłość nie istnieje – przeszłością jest to, co sami z niej uczynimy, pisze Jeffrey Olick, amerykański socjolog i jeden z wiodących przedstawicieli socjologii pamięci. Niszczenie pomników nie zawsze jest tylko czystym aktem wandalizmu. Jest dowodem na zmienność naszego postrzegania historii, co znajduje odbicie w sferze publicznej. A do tworzenia tej ostatniej, również poprzez udział w interpretowaniu przeszłości, równy dostęp powinien mieć każdy człowiek.

Mateusz Mazzini

Przegląd
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
Kto rządzi, ten błądzi?
Czy jesteśmy skazani na rządy psychopatów?
Wpłaty 47 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.
47 zł
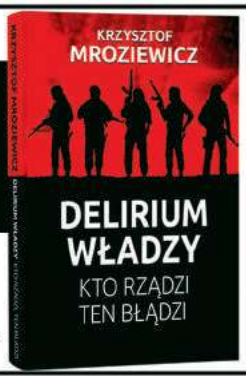

eprasa.pl 91f094e227

Katarzyna Mierzejewska

Ślub dla wszystkich

Gdy w Polsce trwa nagonka na osoby LGBTQ, Szwajcaria legalizuje małżeństwa jednopłciowe

10 czerwca prezydent Andrzej Duda podpisał tzw. Kartę rodziny. Pod płaszczykiem dbania o interesy Polaków zatwierdził jako część swojego programu „ochronę dzieci przed ideologią LGBTQ". Osoby nieheteronormatywne usłyszały, że nie są ludźmi, są ideologią. Niemal w tym samym czasie w Szwajcarii zostały zalegalizowane małżeństwa jednopłciowe.

Najwyższy czas

Szwajcarska Nationalrat (Rada Narodowa), czyli izba niższa parlamentu, zatwierdziła 11 czerwca projekt ustawy legalizującej małżeństwa jednopłciowe. Przegłosowano też regulację, która umożliwi parom lesbijskim korzystanie z banków spermy i w efekcie zajście w ciążę. Nareszcie – mówią aktywiści na rzecz praw człowieka. Komentarze w podobnym tonie publikuje lokalna i zagraniczna prasa. „Decyzja Nationalrat pozwoli Szwajcarii nadrobić zaległości wobec innych państw europejskich, jeśli chodzi o wyrównywanie statusu osób LGBTQ", czytamy na portalu Swiss.info. Decyzja ta jest w Szwajcarii traktowana jak oczywistość, za którą nikt nie będzie przesadnie dziękował. Nie jest to więc propozycja „skrajnie lewicowa i ideologiczna", tylko czysto ludzkie podejście.

Już w 2007 r. Szwajcaria zalegalizowała związki partnerskie. Aktywiści nie zamierzali na tym poprzestać. Kampania na rzecz równości prowadzona była m.in. przez organizację pozarządową Operation Libero, która walczy z populizmem. W mediach społecznościowych używano hashtagów #MarriagePourTous i #EheFürAlle (Małżeństwo dla wszystkich). Przekaz był prosty – pokazanie niesprawiedliwości na konkretnych przykładach. Osoby LGBTQ wypełniają obowiązki obywatelskie: płacą podatki i muszą przestrzegać tych samych reguł co ich współobywatele hetero. Dlaczego mają być pozbawione pewnych praw, skoro nikt nie myśli o zwolnieniu ich z pewnych obowiązków?

Czy będzie referendum?

Prawo zostało przyjęte stosunkiem głosów 132 do 52 przy 13 osobach nieobecnych. Niektórzy działacze na rzecz praw osób LGBTQ uważają jednak, że zwycięstwo zostało otrąbione zbyt wcześnie. Ustawę musi jeszcze przyjąć izba wyższa, Rada Kantonów (Ständerat), a potem niewykluczone, że dojdzie do referendum. Jeżeli przeciwnikom równości uda się w ciągu trzech miesięcy od przyjęcia nowego prawa zebrać 50 tys. podpisów, o prawach osób LGBTQ do zawierania małżeństw zadecyduje głosowanie powszechne. Wydaje się jednak, że z tym nie powinno być problemu. Z sondażu przeprowadzonego przez organizację Pink Cross wynika, że 80% Szwajcarów popiera małżeństwa jednopłciowe. Opowiadają się za nimi nie tylko środowiska liberalne, ale też 67% wyborców konserwatywnej Szwajcarskiej Partii Ludowej (SVP), która od 30 lat stanowi jedną z głównych sił w parlamencie. Zrównanie statusu małżeństw niezależnie od orientacji wspierają także grupy religijne. W zeszłym roku Szwajcarski Kościół Reformowany poparł równość małżeństw, a niektóre Kościoły już udzielają błogosławieństw parom tej samej płci.

80% Szwajcarów popiera małżeństwa jednopłciowe.

Zalegalizowanie małżeństw jednopłciowych jest tematem regularnej debaty od 2013 r. To wtedy posłanka Zielonych Kathrin Bertschy zainicjowała projekt wzywający do zmian w konstytucji. Polityka szwajcarska oparta jest na dochodzeniu do konsensusu. W dyskusji nad ustawami chodzi o to, aby – jeszcze zanim projekt trafi do parlamentu – uwzględnić stanowiska i ewentualne obawy każdej ze stron. Szczególnie powściągliwa w działaniu jest izba wyższa parlamentu, która planuje zająć się tym tematem nie wcześniej niż po wakacjach. Uspokajają wypowiedzi wielu czołowych polityków. W czasie debaty w Nationalrat Karin Keller-Sutter, ministra sprawiedliwości, oświadczyła, że Rada Związkowa (Bundesrat) – odpowiednik rządu, kolegialna głowa państwa – z zadowoleniem przyjęła decyzję, która zakończy nierówne traktowanie obywateli ze względu na ich orientację seksualną. Bundesrat zaleca jednak rozdzielenie kwestii małżeństw i dostępu do dawców nasienia. Karin Keller-Sutter podkreśliła, że powinno to być uregulowane oddzielnie.

Związki partnerskie to za mało

Inicjatywa wyszła od Zielonych. Ich dobry wynik w wyborach parlamentarnych w 2019 r. przesunął scenę polityczną w lewo, choć konserwatywna SVP nadal utrzymuje stabilną pozycję. Decyzji sprzeciwiali się jedynie jej posłowie oraz część posłów Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Chadecja opowiedziała się co prawda za małżeństwami jednopłciowymi, ale była przeciwna korzystaniu z banków nasienia przez pary lesbijskie. Zdaniem Yves'a Nideggera z SVP umożliwienie parom lesbijek dostępu do medycznie wspomaganej prokreacji pozbawiłoby dzieci ważnego doświadczenia, jakim jest kontakt z ojcem. Deputowany partii socjaldemokratycznej SP Angelo Barrile zwrócił jednak uwagę, że co szóste dziecko w kantonie Zurych nie zna swojego pochodzenia, a więc nie ma problemu związanego z rodzicami tej samej płci. Kathrin Bertschy stwierdziła, że gdyby kwestia dotyczyła dostępu do banków nasienia dla par heteroseksualnych, nie byłaby w ogóle przedmiotem dyskusji. „Nie można szukać wymówek prawnych uzasadniających dyskryminację", mówiła podczas debaty.

Kilka lat temu konserwatyści próbowali tylnymi drzwiami rozprawić się z małżeństwami jednopłciowymi. W 2016 r. z inicjatywy chadecji przeprowadzono referendum, które

eprasa.pl 91f094e227

Zalegalizowanie małżeństw jednopłciowych od dawna było postulatem środowisk LGBTQ.

de facto zablokowałoby drogę do nich. Inicjatywa pod hasłem *Für Ehe und Familie – Gegen die Heiratsstrafe* (Dla małżeństwa i rodziny – nie dla „kary małżeństwa") powodowałaby, że pary niemałżeńskie otrzymałyby ulgę podatkową zarezerwowaną obecnie dla małżeństw. Proponowana zmiana w konstytucji obejmowałaby definicję małżeństwa wyłącznie jako związku mężczyzny i kobiety. Obywatele doskonale wiedzieli, jakie zamiary kryją się pod propozycją, i odrzucili ją – co prawda niewielką różnicą głosów – w referendum.

Zdaniem przeciwników ustawy o małżeństwie dla wszystkich związki partnerskie są wystarczającym rozwiązaniem dla par homoseksualnych. Istotnie, umożliwiają one korzystanie z wielu praw, jakimi cieszą się małżeństwa, i nakładają podobne obowiązki. Postawienie znaku równości między małżeństwami a związkami partnerskimi jest jednak dużą przesadą. Pary w związkach zarejestrowanych nie mogą wspólnie adoptować dzieci, nie mogą też korzystać ze sztucznego zapłodnienia. Ponadto jeżeli jedna ze stron jest obcokrajowcem, związek partnerski w przeciwieństwie do małżeństwa nie ułatwia drogi do uzyskania szwajcarskiego obywatelstwa. Ostatecznie wywalczono możliwość adoptowania dzieci partnera z jego poprzedniego związku.

Delegalizacja homofobii

To już druga ważna decyzja wspierająca w tym roku szwajcarską społeczność LGBTQ. W lutym Szwajcarzy opowiedzieli się w ogólnokrajowym referendum za faktyczną kryminalizacją homofobii. W Szwajcarii od 1995 r. nielegalna jest dyskryminacja ze względu na rasę, religię i pochodzenie etniczne. Teraz ten katalog rozszerzono o orientację seksualną. Stosunek głosów wynosił 64 do 36%. Tylko w trzech mocno konserwatywnych kantonach: Appenzell Innerrhoden, Schwyz i Uri większość mieszkańców była przeciwko. W międzyczasie uchwalono też zakaz dyskryminacji ze względu na orientację seksualną, jeśli chodzi o zatrudnienie czy dostarczanie towarów i usług. Taka sprawa jak historia łódzkiego drukarza, który nie chciał wykonać ulotek i plakatów dla fundacji LGBT, tutaj miałaby w sądzie oczywisty finał.

Za nawoływanie do nienawiści grozi do trzech lat więzienia.

Szwajcarski parlament próbował wprowadzić tę regulację już w 2018 r., ale jego przeciwnikom udało się zebrać 70 tys. podpisów, które wymusiły przeprowadzenie referendum. Wyniki nie pozostawiają wątpliwości. Od teraz nielegalna jest nie tylko dyskryminacja, ale także nawoływanie do nienawiści. Za sianie kłamliwej propagandy oczerniającej ludzi ze względu na ich seksualność grozi grzywna, a nawet trzy lata więzienia.

Regulacje są niezbędne, bo ataki homofobiczne w Szwajcarii nadal nie są marginalnymi incydentami. Zdarzają się nawet w Zurychu, mieście wydawałoby się otwartym, lewicowym. Prasa regularnie opisuje historie par – częściej gejowskich niż lesbijskich – które są napadane, niejednokrotnie bite. Do ataków dochodzi często wieczorami, przy klubach i barach. Marko i Simon zostali pobici w centrum miasta. „Chcieliśmy uciec, ale było już za późno. Nazwali nas pedałami i zaczęli bić. Miałem podbite oko i siniaki, a Simon wstrząs mózgu i połamane żebra", opowiada Marko. Atmosfera w Zurychu jest swobodna, w oknach widzi się tęczowe flagi. „Osoby nieheteronormatywne czują więc, że mogą być sobą, że nie muszą się ukrywać. Dlatego są też łatwiejszym celem dla homofobów", mówi znajomy z Zurychu. ■

FOT. ARND WIEGMANN/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 91f094e227

Matki z placu Majowego

Argentyńska junta przemieniła swoich wrogów w desaparecidos – ludzi bez tożsamości, ani żywych, ani martwych, tylko zaginionych, nieistniejących

Co roku 24 marca Matki z placu Majowego demonstrują w rocznicę zamachu stanu dokonanego przez juntę wojskową w 1976 r. Nz. marsz w 2019 r.

Agnieszka Zakrzewicz

Niech pani tam nie idzie, bo tam są terroryści – pamiętam, jak krzyczała za mną dobrze ubrana kobieta, gdy próbowałam przedostać się przez kordon policyjny na plac Majowy w Buenos Aires. Biały obelisk, nazywany Piramidą Majową, na którym wyryto datę wyzwolenia spod dominacji hiszpańskiej: 25 maja 1810 r. (stąd plac bierze nazwę), był zasłonięty przez tysiące zdjęć *desaparecidos* (zniknięnych). Manifestacja odbywała się 10 grudnia 2003 r. – w rocznicę podpisania Deklaracji praw człowieka. Na czele pochodu maszerowały starsze kobiety w białych chustkach na głowie. Przewodziła im Hebe de Bonafini na wózku inwalidzkim. Za Matkami z placu Majowego szły dzieci *desaparecidos* ze stowarzyszenia H.I.J.O.S, ludzie dobrej woli i argentyńska biedota. Przyłączyłam się do maszerujących...

Pierwsze osoby zaczęły znikać w Argentynie już w latach 1974-1975, kiedy po śmierci Juana Dominga Peróna władzę przejęła jego trzecia żona Isabelita. Tajne szwadrony śmierci z Triple A (Argentyńskiego Sojuszu Antykomunistycznego), utworzone przez José Lópeza Regę – sekretarza i ministra rządu Isabel Perón – porywały i mordowały ludzi, siejąc terror i pozostawiając okaleczone zwłoki w miejscach publicznych. Kraj pogrążał się w bratobójczej wojnie między peronistycznymi bojówkami skrajnej prawicy a peronistyczną lewicową partyzantką Montoneros.

W El Olimpo oprawcy podbijali karty jak w fabryce. Pracowali na zmiany.

24 marca 1976 r. doszło do zamachu stanu i władzę przejęło trzech generałów: Jorge Rafael Videla, Emilio Eduardo Massera i Orlando Ramón Agosti, ustanawiając reżim wojskowy. *Desaparecidos* przybywało każdego dnia.

Matki osób, które zaginęły bez śladu, przychodziły na komisariaty, pod siedzibę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pod bramy więzień i do kościołów. Pukały do wielu drzwi, szukając dzieci. Mówiono im, że albo uciekły z domu, albo zostały porwane przez terrorystów z Montoneros. Krewni *desaparecidos* szukali pomocy w Kościele. Wielu księży pomagało im, jednak bardzo wielu współpracowało z reżimem, wyciągając od rodzin informacje. Właśnie w konfesjonałach matki dowiadywały się, że ich dzieci są przetrzymywane i torturowane, bo jedynie spowiednicy mieli wstęp do argentyńskich obozów koncentracyjnych. Kiedy któraś z matek trafiała na księdza zdrajcę, wychodziła szybko z konfesjonału, robiąc znak krzyża i odmawiając „Ojcze Nasz" – był to sygnał, że trzeba opuścić kościół i nigdy tu nie wracać.

Matek *desaparecidos* było coraz więcej. Pewnego razu, gdy spotkały się w kościele Stella Maris, najstarsza – Azucena Villaflor de Vincenti – zaproponowała, aby poszły na plac Majowy. Tam przywódcy reżimu zobaczą je z okien Różowego Domu. Była sobota, 30 kwietnia 1977 r. Wtedy nikt nie myślał, że ich gest przejdzie do historii. Zdecydowały, że będą się spotykać pod obeliskiem w każdy czwartek o godz. 15.30, tak długo, aż nie znajdą swoich dzieci. Stały pod Piramidą Majową i nie robiły nic. Kiedy było ich już 70, policja próbowała je rozgonić jako nielegalną demonstrację. Wtedy kobiety wzięły się pod ręce w parach i zaczęły spacerować. Tak narodziły się marsze Matek z placu Majowego. W Dzień Matki, gdy w kraju zaplanowano wiele manifestacji, jedna z nich wymyśliła, że wszystkie założą na głowę białe chusteczki, przypominające dziecięce pieluszki. Niektóre matki wyhaftowały na nich imiona dzieci i daty zaginięcia. Później zrobiły to wszystkie.

eprasa.pl 91f094e227

Latające siostry

Odwiedziłam też parafię Santa Cruz w dzielnicy San Cristóbal. W kościele Świętego Krzyża spotykały się historyczne założycielki Matek z placu Majowego. Jedną z nich była Taty Almeida. Jej syn Alejandro został uprowadzony 17 czerwca 1975 r. Miał zaledwie 20 lat. Taty opowiedziała mi smutną historię 12 zaginionych z Santa Cruz: – Alfredo Astiz był pięknym młodzieńcem o niebieskich oczach i jasnych włosach. Wszyscy nazywali go Blondynkiem. Pewnego dnia przyszedł do kościoła i przedstawił się jako Gustavo Niño, krewny jednego z zaginionych. Niedługo potem, w nocy z 8 na 9 grudnia 1977 r., zniknęły María Ponce i Esther Ballestrino. Później porwano Azucenę Villaflor. Tego samego dnia zniknęły inne osoby, wśród nich dwie francuskie zakonnice: Alice Domon i Léonie Duquet. Wszelki ślad po nich zaginął. Przez długi czas nikt nie wiedział, że zdradził Astiz. Uważaliśmy go za *desaparecidos* – mówiła Taty.

W rzeczywistości por. Alfredo Astiz należał do tajnej grupy GT332 wyznaczonej do realizacji zadań nielegalnych, takich jak uprowadzenia, tortury, morderstwa. Działała ona przy Wyższej Szkole Mechaników Marynarki Wojennej (ESMA) w centrum Buenos Aires, a dowodził nią Jorge Eduardo Acosta „Tygrys". Szacuje się, że w czasie „brudnej wojny" więziono w ESMA ok. 5 tys. osób, z których przeżyło zaledwie sto.

W raporcie „Nunca más" przygotowanym przez Krajową Komisję ds. Osób Zaginionych (CONADEP) dwóch świadków – Horacio Domingo Maggio i Lisandro Raúl Cubas – zeznało, że spotkało francuskie zakonnice w więzieniu ESMA. Były torturowane w podziemiach kasyna oficerskiego. Oprawcy przywiązali siostrę Alice do łóżka i dotykali całego jej ciała elektryczną pikaną (pikana to urządzenie w formie krótkiej pałki służące do poganiania bydła; argentyńscy oprawcy uczynili z niego wyrafinowane narzędzie tortur, które nosili w metalowej walizeczce). Została też strasznie pobita. Przystawiono jej pistolet do głowy i zmuszono do napisania listu do przełożonej zakonu. W końcu obie zakonnice wraz z innymi więźniami z dwunastki z Santa Cruz 17 lub 18 grudnia 1977 r. odbyły lot śmierci. O zakonnicach mawiano „latające siostry".

– Przed świętami w 1977 r. morze wyrzuciło na plażę ludzkie szczątki. Lekarz sądowy orzekł, że śmierć nastąpiła na skutek obrażeń wywołanych upadkiem z wysokości. Ciała były nierozpoznawalne. Pochowano je w zbiorowej mogile na cmentarzu wojskowym General Lavalle – powiedziała mi Taty Almeida.

Skradziony dom

W latach 1976-1983 w Argentynie istniały 364 nielegalne ośrodki zatrzymania, tortur i eksterminacji, zlokalizowane w 11 prowincjach kraju. Niektóre były prawdziwymi obozami koncentracyjnymi, tak jak Campo de Mayo, ESMA, El Olimpo. Argentyński reżim wojskowy prężył muskuły przeciw wrogom zewnętrznym: Chile i Wielkiej Brytanii, przygotowując naród do heroicznej wojny o Falklandy-Malwiny, i mordował po cichu opozycjonistów. „Brudna wojna" była niezwykle inteligentna. Wrogów narodu przemieniła w *desaparecidos* – ludzi bez tożsamości, ani żywych, ani martwych, tylko zaginionych, nieistniejących.

Maríę Joséfinę Cerutti – argentyńską socjolożkę i dziennikarkę – poznałam w 2005 r., gdy wróciłam do Buenos Aires. Opowiedziała mi swoją smutną historię rodzinną, którą opisała później w książce „Casita robada". Dla niej ESMA to temat szczególnie bolesny. W nielegalnym więzieniu w Wyższej Szkole Mechaników Marynarki Wojennej na Avenida del Libertador więziono jej dziadka. Victorio Cerutti był właścicielem ziemskim i producentem wina w regionie Mendoza. Jego zaginięcie miało podłoże ekonomiczne. W ESMA istniała specjalna komórka zajmująca się wyszukiwaniem osób, którym można było odebrać majątki, porywaniem ich i zastraszaniem rodzin. Nazywano ją „agencją nieruchomości".

– Przyjechali do domu w Mendozie tuż przed świtem. Uzbrojeni napastnicy pobili i związali mojego ojca i babcię. Zanim uprowadzili dziadka, zabrali z domu wszystkie wartościowe rzeczy. Uprowadzili też wuja Omara Maserę Pincoliniego, który był współwłaścicielem terenów. Pozostałą rodzinę zastraszali codziennie, aż wszyscy opuścili Mendozę. Szukaliśmy dziadka i wuja, ale wszelki ślad po nich zaginął. Dopiero po przywróceniu demokracji dowiedzieliśmy się, że dziadek był torturowany w ESMA. Zmuszono go do podpisania dokumentów, w których zrzekał się całego majątku, a potem wyrzucono z samolotu do La Platy. Nie udało nam się odzyskać ziemi – opowiedziała mi María Josefina.

Zapytałam ją, co działo się z kobietami w nielegalnych więzieniach. – Były regularnie gwałcone. To typowy obyczaj wojenny mający na celu wzmocnienie rasy. Kobietom ciężarnym lub tym, które zaszły w ciążę z oprawcami, odbierano dzieci. Oddawano je rodzinom związanym z reżimem. Tak ratowano kraj przed wywrotowcami. W Argentynie zaginęło ok. 500 dzieci *desaparecidos*. Matki z placu Majowego, które od lat szukają również swoich wnuków, odnalazły ponad setkę dzieci skradzionych i nielegalnie adoptowanych. Niektóre ofiary gwałcicieli ulegały syndromowi sztokholmskiemu. Wychodziły ze swoimi oprawcami, którzy udawali narzeczonych, na kolacje czy do dyskoteki, odwiedzały nawet rodziny, a potem wracały do więzień i do sal tortur. Przeprowadziłam kiedyś wywiad z ofiarą Ricarda Cavalla, słynnego oprawcy z ESMA. Pochodziła z bogatej rodziny i miała dom z basenem. Cavallo chodził tam codziennie, pływał w basenie, jadł i pił, rozmawiał z rodziną. Później zabierał dziewczynę z powrotem do miejsca kaźni.

Sztuka polegała na tym, aby ofiarę torturować tak, by wyła i traciła z bólu przytomność, ale nie umarła.

Garaż Olimp

Kiedy odwiedziłam El Olimpo, garaż był jeszcze zamknięty. Obejrzałam metalową bramę z malutką furtką, przez którą w filmie Marca Bechisa „Garaż Olimp" zawodowy oprawca Félix wyprowadził na spacer swoją ofiarę Maríę. Dziś Garaż Olimp, tak jak ESMA, stał się miejscem pamięci i muzeum. Został otwarty w sierpniu 1978 r. i jest jednym z najbardziej odrażających symboli „brudnej wojny". W ciągu sześciu miesięcy

FOT. JUAN MABROMATA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 91f094e227

przez ten obóz przeszło prawie 800 osób. Były torturowane codziennie. W El Olimpo stopień organizacji masowej zbrodni zatrważał. Oprawcy przychodzili do garażu i podbijali karty jak w fabryce. Pracowali na zmiany. Jako bezwzględni kaci zyskali sławę Julio Simón „Turek" i Juan Antonio del Cerro „Kolor". Naga ofiara leżała przywiązana do metalowego łóżka. Sztuka polegała na tym, aby torturować ją tak, by wyła i traciła z bólu przytomność, ale nie umarła. W małych celach, przykuci do ścian, z kajdanami na kostkach i z zasłoniętymi oczami, inni więźniowie czekali na swoją kolej, słuchając nieludzkiego wrzasku.

Fantazja argentyńskich oprawców z marynarki wojennej nie kończyła się na pikanie. Popularny był „okręt podwodny", czyli podtapianie przesłuchiwanych w wiadrze wody, oraz „okręt podwodny suchy" – podduszanie poprzez założenie na głowę plastikowego worka. Więźniów bito, przypalano papierosami, kładziono na rozgrzanym metalowym łóżku, polewano własnymi odchodami i oczywiście gwałcono – zarówno kobiety, jak i mężczyzn homoseksualistów.

Więźniowie mieli zawsze na oczach opaskę, aby nie mogli rozpoznać miejsc i oprawców. Odebrano im tożsamość, zastąpioną numerem. Zakazano rozmów. Przebywali razem, ale w brutalnej i upadlającej izolacji, przywiązani do ścian jeden obok drugiego. Celem tortur było uzyskanie informacji o towarzyszach broni i wyłapanie całej opozycji Montoneros. Później krąg się poszerzał. W sidła wpadali krewni, przyjaciele, znajomi... Bezbronni i niewinni ludzie. Zbrodnia polityczna była bezkarna. Po ofiarach pozostawały buty, ubrania, zegarki, biżuteria, przedmioty osobiste. Naturalnym procederem była kradzież mienia *desaparecidos*. Z ich domów wynoszono telewizory, lodówki, meble, sprzęty. Podstępem, obiecując uwolnienie dzieci, zagarniano nieruchomości i inne dobra.

Loty śmierci

Liczby argentyńskich *desaparecidos* nie da się oszacować. Matki z placu Majowego doliczyły się 30 tys. zaginionych. Według CONADEP było ich 9 tys. Niektórzy badacze „brudnej wojny" mówią o 15 tys. Ale, jak stwierdził lewicowy dziennikarz śledczy i pisarz Horacio Verbitsky, „kilka tysięcy mniej lub więcej nie zmienia jakości zbrodni". Argentyńska „brudna wojna" miała wszelkie znamiona ludobójstwa: zabójstwo członków grupy; spowodowanie poważnego uszkodzenia ciała lub rozstroju zdrowia psychicznego członków grupy; rozmyślne stworzenie warunków życia obliczonych na spowodowanie ich całkowitego lub częściowego wyniszczenia fizycznego; stosowanie środków, które mają na celu wstrzymanie urodzin w obrębie grupy; przymusowe przekazywanie dzieci członków grupy innej grupie.

Dyktatorski triumwirat swoją zbrodniczą, przemyślaną, zaplanowaną i zorganizowaną w każdym szczególe politykę nazwał procesem reorganizacji narodowej. Eksterminację ofiar określano eufemistycznie jako „przeniesienie". W 1995 r. Verbitsky opublikował książkę „El vuelo" (Lot), a w niej zamieścił wyznanie jednego z pilotów, którzy wykonywali loty śmierci. Kpt. Adolfo Scilingo powiedział, że rozkaz został przekazany oficjalnie przez wiceadmirała marynarki wojennej, Luisa Maríę Mendíę, zaledwie kilka dni po wojskowym zamachu stanu. Piloci wykonywali zadanie bez mundurów, w dżinsach, koszulkach i tenisówkach. Jak wyjaśniali zwierzchnicy, aby uniknąć problemów, jakie mieli Franco w Hiszpanii i Pinochet w Chile, wywrotowców nie należało rozstrzeliwać. Hierarchia kościelna uznała „przeniesienie" za humanitarną metodę śmierci. Tłumaczono, że w tej metodzie nie było grzechu, gdyż wywrotowcy byli wyrzucani z samolotów jeszcze żywi.

„Przeniesienie" odbywało się zgodnie z procedurą. Więźniów skazanych na eksterminację sprowadzano do podziemi nielegalnego obozu. Oficer będący na służbie informował ich, że w imię najwyższych władz wojskowych zostaną przeniesieni do legalnych obozów i w związku z tym muszą zostać zaszczepieni. Na ten moment zsuwano im opaskę z oczu. Lekkie ukłucie w ramię wprowadzało do ich organizmu tiopental, wywołujący powolne zapadanie w sen narkotyczny. Ofiary ładowano do ciężarówek, które kierowały się na najbliższe lotnisko wojskowe. Ludzie nie byli świadomi, ale mogli jeszcze chodzić. Przesadzano ich do olbrzymiego transportera, gdzie rozbierano do naga, aby nie pozostał żaden ślad. Kiedy samolot osiągał odpowiednią wysokość, kierując się tam, gdzie La Plata łączy się z Atlantykiem, klapa otwierała się i ludzie we śnie spadali do wody. Czasami jednak ktoś się przebudził i błagał o litość.

Tym, których nękały wyrzuty sumienia, kapelani wojskowi tłumaczyli, że to tylko oddzielanie ziarna od plew...

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 91f094e227

Oko w oko Tomasz Jastrun

I po wyborach

Z małego wzgórza widok na jezioro, pomost i białą łódkę. Pusto i cicho. Są jeszcze takie miejsca. W tym drewnianym domku co chwila odkrywam nowe, niezwykłe szczegóły, każdy element przemyślany, zwykle ręcznie robiony przez dawnego właściciela. To było małżeństwo malarzy. I ten domek jest dziełem sztuki. Oni nie żyją już od wielu lat. Trudno o coś bardziej smutnego niż piękne rzeczy zostawione przez zmarłych, które zapominają swoich właścicieli, w obcych rękach blakną i też umierają. Zdumiewające są koła zakreślane przez zbiegi okoliczności. Obecna właścicielka, nie znałem jej przedtem, kupiła ten domek od spadkobierców malarzy. Dowiedziała się o jego istnieniu z tekstu w miesięczniku „Zwierciadło". Zamarzyła, by mieć taki dom, więc gdy przypadkiem dowiedziała się, że jest na sprzedaż, kupiła go. Nagle uświadamiam sobie, że kupiła go dzięki mnie. To ja mojej znajomej utorowałem drogę do pisania w „Zwierciadle". I napisała o tym domu. Gdyby tak iść dalej ogniwami łańcucha przypadków, stało się to dzięki Iwonce. Ona dawno temu zadzwoniła do „Zwierciadła" z propozycją, by mnie przyjęli do pracy w redakcji. A jakie drogi prowadziły mnie do poznania Iwony? Można by tak iść do początków świata. Warto to wiedzieć, ale nie wolno o tym za wiele myśleć, łatwo można popaść w obłęd.

A więc Podlasie, blisko litewskiej granicy. Na wiejskich zabudowaniach plakaty wyborcze, na szczęście najwięcej Kosiniaka-Kamysza. Trafia się Duda i psuje piękno falującego krajobrazu. Trzaskowskiego widać dopiero w Suwałkach. Pobliskie Sejny – ładne są tu tylko dwie barokowe wieże kościoła, które górują nad miastem. Dwa ronda pod znakiem Dudy, stoi z obu stron na stelażach, jakby władze miasta bezwstydnie go promowały.

•

Czytam dzienniki Máraia, dwa ostatnie tomy, i starzeję się razem z nim. Tym, co najlepsze w tych późnych zapiskach, jest właśnie starość cudza i własna, opisy spektaklu starzenia się. Pisarz nie ma litości dla siebie, dla innych i w końcu nie ma dla mnie, kreśląc dziesięć lat, które mnie czekają do osiemdziesiątki, jeśli dopłynę do tego zmurszałego brzegu. Márai pisze ironicznie: „Zawsze istnieli starzy ludzie. Ale nigdy nie było tłumu starców. A teraz jest. To straszne zjawisko narosło w krótkim czasie, w ciągu ostatnich czterdziestu, pięćdziesięciu lat. W przeszłości szanowano starych ludzi – oczywiście, jeśli na to zasługiwali. Tłumu starców nikt nie szanuje, jesteśmy ciężarem i kłopotem. Młodzi patrzą na nas z niechęcią. Tępienie starców nie jest rzeczą niemożliwą, pewnego dnia społeczeństwo zacznie się bronić przed starymi ludźmi, tak jak się broni przed epidemiami, przed szarańczą".

•

Jeffrey Isaac, amerykański politolog i publicysta polityczny, pisze o podłym narcyzmie Trumpa, mającym już charakter paranoi: „Trump ma zdolność do zmobilizowania wystarczającej liczby gniewnych, rozczarowanych, rasistowskich, cynicznych albo po prostu głupich wyborców, aby uzyskać reelekcję. (…) Przyszłość liberalnej demokracji wisi na włosku. I niczego nie można mieć za pewnik. Amerykańska demokracja wymaga obrony. Trump musi zostać pokonany. A wtedy będzie można wznowić długotrwały i trudny projekt ożywienia demokracji i stworzenia bardziej sprawiedliwego społeczeństwa. Nikt nas nie ocali, jeśli nie ocalimy siebie". Jak ulał pasuje to do nas. Staczamy się.

•

Pani Jola spod Warszawy pomagała nam przed laty, zajmowała się dziećmi, prosta, pełna energii, światła i zdrowego rozsądku. Bardzo ją lubię. Pisze na swojej stronie na Facebooku: „Nie wiem, co mu, kto każe, wiem jedno tylko, Duda, takie jest moje zdanie i nie sądzę, aby mówił w imieniu kogoś lub ktoś by kazał mu to mówić. On ma swoje zdanie, to, co myśli, mówi, i jest szczery, a nie oszukaniec faszysta lub człowiek żerujący na ludziach". Pani Jola uwielbia małe dzieci, a Duda ma głowę okrągłą jak niemowlak, pięknie gaworzy. I te prezenty dla dzieci. Jak go nie kochać. A demokracja, wolne sądy, trójpodział władzy – pani Jola nie zna takich zwierząt.

Rządy Prawa i Sprawiedliwości zmierzają w stronę dyktatury. Czy tam dojdą, zależy od nas.

•

Rządy Prawa i Sprawiedliwości zmierzają w stronę dyktatury. Czy tam dojdą, nie wiem. Zależy to od nas, od polskiej inteligencji, od naszej klasy średniej, ale też od polskiego kretyna. Jeśli Duda wygra te wybory, PiS będzie łatwiej. Najpierw do końca spacyfikują sądy. Potem odbędzie się kastrowanie samorządów. I trzeba zakneblować media prywatne. Tu nawet nie są hipokrytami, wprost o tym mówią. Nasz prezydent miałby instrumenty, by im w tym przeszkadzać. I jakoś byśmy dopełzli do wyborów parlamentarnych. Tak wiele od tego zależy, że boję się mieć nadzieję.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 91f094e227

Polska albo republika radziecka

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej zaczął od odbudowy zniszczonego kraju i zagospodarowania Ziem Odzyskanych

Bohdan Piętka

28 czerwca 1945 r. prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut powołał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej. Był to rząd koalicyjny składający się ze stronnictw, które dotychczas tworzyły Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i Rząd Tymczasowy w Warszawie, oraz polityków skupionych wokół byłego premiera rządu RP na uchodźstwie Stanisława Mikołajczyka. Jego utworzenie wynikało z porozumienia zawartego na konferencji w Moskwie, która odbyła się między 17 a 21 czerwca 1945 r. Wzięli w niej udział przedstawiciele KRN i Rządu Tymczasowego oraz grupa niekomunistycznych polityków krajowych i emigracyjnych ze Stanisławem Mikołajczykiem. Powstanie TRJN było realizacją postanowień Wielkiej Trójki z konferencji w Jałcie (4-11 lutego 1945 r.), przewidujących rekonstrukcję warszawskiego Rządu Tymczasowego „na szerszej podstawie politycznej" poprzez włączenie do niego akceptowanych przez Stalina polskich polityków z Londynu.

Edward Raczyński – ambasador rządu RP na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii – określił TRJN mianem „ciała służalczego narzuconego Polsce z zewnątrz". W przedłożonej przez Raczyńskiego nocie rządu RP na uchodźstwie do rządu brytyjskiego, protestującej przeciw uznaniu TRJN przez Wielką Brytanię, napisano m.in.: „W obecnej sytuacji źródłem władzy rządu z p. Osóbką-Morawskim na czele jest decyzja powzięta nie przez naród polski, lecz przez trzy obce mocarstwa, z których jedno przy pomocy swej armii i policji włada *de facto* całą administracją Polski. Podstawę prawną takiego rządu można jedynie porównać z podstawą prawną tzw. rządów ustanawianych w krajach okupowanych przez Niemcy w czasie wojny".

W takim też duchu patrzy na TRJN współczesna polska, a ściślej – prawicowa, polityka historyczna, podsumowująca okres od 1944 do 1989 r. hasłem „okupacja sowiecka".

Perfidią Stalina – zapewne zamierzoną – było to, że konferencja moskiewska w sprawie powołania TRJN odbyła się w tym samym czasie, kiedy w Moskwie odbywała się parodia procesu sądowego szesnastki czołowych polityków Polski Podziemnej, aresztowanych przez NKWD 27 marca 1945 r. i uprowadzonych do ZSRR. Mało tego – tzw. proces szesnastu toczył się w dniach 18-21 czerwca 1945 r. w Domu Związków u wylotu placu Czerwonego, bardzo blisko Kremla, gdzie w tym czasie odbywała się wspomniana konferencja.

„Szyderczym wyzwaniem rzuconym przez Kreml Polsce i światu – pisał Wojciech Roszkowski – był fakt, iż jednocześnie z rozmowami w sprawie TRJN rozpoczął się w Moskwie proces przywódców Polski Podziemnej. (…) Było rzeczą niezwykle symboliczną dla losów Polski (…), że wyrok w procesie przywódców Polski Podziemnej ogłoszono 21 czerwca, a więc w dniu, gdy opublikowano też komunikat o porozumieniu moskiewskim w sprawie TRJN. Sprawa polska rozstrzygnęła się więc w Moskwie: niezależnych przywódców narodu, zdradziecko aresztowanych, zgromadzono na sali sądowej, by wysłuchali poniżającego wyroku, drugich zaś – marionetkowych zarządców komunistycznych i realistów ratujących resztki niepodległości – na Kremlu, gdzie uzgodnili formę władzy zależną od ZSRR. Na Zachodzie przyjęto rezultaty obu spotkań z ulgą. Ostatecznie polskich przywódców nie skazano na śmierć, a z rządem Arciszewskiego, który protestował, można się było już zupełnie nie liczyć"*.

Realiści ratujący resztki niepodległości

Formułując tak ostrą ocenę, Roszkowski pozwolił sobie jednak ocenić polityków niekomunistycznych uczestniczących w powołaniu TRJN jako „realistów ratujących resztki niepodległości". Należy bowiem zadać sobie pytanie, jaka była alternatywa polityczna dla powołania TRJN. Otóż w realiach geopolitycznych roku 1945 nie istniała alternatywa: Polska niepodległa albo Polska zależna od ZSRR. Alternatywa była zupełnie inna: Polska jako republika radziecka albo Polska formalnie istniejąca jako podmiot prawa międzynarodowego, z własną symboliką narodową, pozostająca w strefie wpływów ZSRR.

Gdyby w Polsce w 1945 r. doszło do wybuchu powstania antyradzieckiego, to jego oczywista klęska położyłaby kres jakiejkolwiek państwowości polskiej.

Do realizacji scenariusza z Polską jako republiką radziecką mogli doprowadzić ci, których dzisiaj określa się patetycznym mianem „żołnierzy wyklętych", dążący do wywołania powstania narodowego przeciw ZSRR, naiwnie wierzący w pomoc Zachodu lub szybki wybuch III wojny światowej. Gdyby ich działalność uzyskała szerokie poparcie narodu, czyli gdyby w Polsce w 1945 r. doszło do wybuchu powstania antyradzieckiego, oczywista klęska tego powstania położyłaby kres jakiejkolwiek państwowości polskiej. Drugi scenariusz, czyli kontynuację państwowości polskiej w realiach zależności politycznej od ZSRR, wybrali nie tylko, wedle Roszkowskiego, „marionetkowi zarządcy komunistyczni" i „realiści ratujący resztki

eprasa.pl 91f094e227

Podpisanie umowy dotyczącej granic Polski i ZSRR. Nz. stoją od lewej: Stanisław Mikołajczyk, Bolesław Bierut, Józef Stalin, Wiaczesław Mołotow i Andriej Wyszyński. Podpisuje Edward Osóbka-Morawski. Moskwa, 16 sierpnia 1945 r.

niepodległości", którzy uzgodnili w Moskwie formułę Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

Sprawa kształtu terytorialnego i geopolitycznego powojennej Polski została przesądzona przez trzy główne mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej na konferencjach w Teheranie i Jałcie. Wielka Trójka podjęła decyzję, że akceptujący porozumienia jałtańskie politycy emigracyjni i niereprezentowani w Rządzie Tymczasowym politycy krajowi popierający Stanisława Mikołajczyka otrzymają 25% tek ministerialnych, odpowiednią liczbę wiceministrów oraz reprezentację w KRN i administracji państwowej. Przyjęte proporcje reprezentacji w rządzie koalicyjnym sił proradzieckich i prozachodnich w stosunku 75% do 25% były identyczne jak w przypadku zawartego w marcu 1945 r. porozumienia Josipa Broza-Tity z premierem emigracyjnego rządu Jugosławii Ivanem Šubašiciem. Wielka Brytania i USA nie zamierzały umierać za Polskę ani rozpoczynać z jej powodu wojny z ZSRR, co dały do zrozumienia polskim politykom emigracyjnym już podczas powstania warszawskiego. Zadowoliły się jedynie zapewnieniem Stalina, że w Polsce odbędą się wolne wybory.

Wykonanie ustaleń jałtańskich przeciągało się na skutek nieustępliwości Stalina, który dopuszczał jedynie rozszerzenie Rządu Tymczasowego o wyznaczonych przez siebie polityków niekomunistycznych, oraz Churchilla, który opowiadał się za fuzją rządu londyńskiego z rządem działającym w Warszawie. Do kompromisu doprowadziła mediacja amerykańska. 26 maja 1945 r. przybył do Moskwy wysłannik prezydenta Trumana Harry Hopkins i wraz z ambasadorem Williamem A. Harrimanem przeprowadzili rozmowy ze Stalinem. W ich rezultacie strona amerykańska przyjęła radziecką interpretację uchwał jałtańskich i nakłoniła do tego Churchilla. Następnie Komisja Trzech z udziałem Wiaczesława Mołotowa, Harrimana i ambasadora brytyjskiego w Moskwie Archibalda Clarka Kerra ustaliła 11 czerwca listę osób, które miały wziąć udział w konferencji moskiewskiej dotyczącej powołania TRJN.

Rozmowy w Moskwie

Na rozmowy do Moskwy zaproszono prezydenta KRN Bolesława Bieruta, premiera Rządu Tymczasowego Edwarda Osóbkę-Morawskiego i wicepremiera tego rządu, sekretarza generalnego KC PPR Władysława Gomułkę. Ze strony krajowych polityków niekomunistycznych zaproszono nestora ruchu ludowego Wincentego Witosa, Zygmunta Żuławskiego (przedwojennego przewodniczącego Rady Naczelnej PPS, który pozostawał w opozycji zarówno do PPS-WRN, jak i do „lubelskiej" PPS i komunistów), prof. Stanisława Kutrzebę (w 1919 r. uczestnika konferencji pokojowej w Paryżu i prac nad traktatem wersalskim), prof. Adama Krzyżanowskiego (przedwojennego posła BBWR, teoretyka polskiego libertarianizmu) i Henryka Kołodziejskiego (działacza spółdzielczego,

Waszyngton sprzyjał utworzeniu TRJN nie mniej niż Moskwa.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 91f094e227

przedwojennego dyrektora Biblioteki Sejmowej). Natomiast ze strony polityków emigracyjnych – Stanisława Mikołajczyka, działacza PPS Jana Stańczyka i Juliana Żakowskiego (architekta, bezpartyjnego wykładowcę z uniwersytetu w Liverpoolu).

Zanim rozpoczęły się rozmowy moskiewskie, zaprotestował przeciw nim rząd RP w Londynie, którego premierem od 29 listopada 1944 r. był socjalista Tomasz Arciszewski. W wydanym 15 czerwca 1945 r. oświadczeniu rząd Arciszewskiego napisał, że „w obliczu tych tragicznych realiów tworzenie legalnego i niezależnego rządu jedności narodowej, opartego na woli ludzi swobodnie wyrażonej, praktycznie jest niemożliwe, jak długo Republika Polska jest okupowana przez sowiecką armię i sowiecką policję polityczną (NKWD) oraz jak długo Polska jest odcięta od swych Zachodnich Sprzymierzeńców i całego cywilizowanego świata". Na zachodnich sprzymierzeńcach nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia.

Dwa dni po wydaniu przez rząd Arciszewskiego tego oświadczenia ambasador Harriman spotkał się w Moskwie z Bierutem i Osóbką-Morawskim. W rozmowie, która toczyła się przy obiedzie, Bierut i Osóbka-Morawski zadeklarowali utrzymanie przez nową Polskę dobrych stosunków z USA i wyrazili życzliwość dla ewentualnego udziału USA w odbudowie życia gospodarczego w Polsce. Przedstawili także swoje stanowisko w sprawie polskiej granicy zachodniej, z którym Harriman ogólnie się zgodził. Ta rozmowa dowodzi, że administracja USA widziała partnera politycznego w proradzieckim obozie władzy w Polsce, a nie wśród polityków rządu Arciszewskiego.

W rozmowach rozpoczętych 17 czerwca w Moskwie wzięli udział wszyscy zaproszeni z wyjątkiem Wincentego Witosa, który nieobecność tłumaczył chorobą (zmarł 31 października 1945 r.) i został zastąpiony przez działacza ruchu ludowego Władysława Kiernika, oraz Żakowskiego, który odmówił i został zastąpiony przez mało znanego Antoniego Kołodzieja – komunistycznego działacza związku marynarzy w Wielkiej Brytanii. Ponadto reprezentacja krajowego obozu władzy została wzmocniona przez Stanisława Szwalbego z prokomunistycznej PPS. Rozmowy moskiewskie były trudne i dramatyczne. W ich najbardziej krytycznym momencie Gomułka oświadczył Mikołajczykowi: „Możecie stać się współgospodarzami Polski, jeśli zrozumiecie wasze błędy. (...) Porozumienia chcemy z całego serca. Lecz nie myślcie, że jest to warunek naszego istnienia. Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy".

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej został uznany przez Francję, Szwecję, Wielką Brytanię, USA, Chiny, Włochy, Kanadę i większość państw ówczesnego świata.

Najwięcej zastrzeżeń i żądań zgłaszał Mikołajczyk. Próbował wtedy mediować ambasador Harriman, co świadczy o tym, że Waszyngton sprzyjał utworzeniu TRJN nie mniej niż Moskwa. Stanom Zjednoczonym zależało wówczas na szybkim przystąpieniu ZSRR do wojny z Japonią, dlatego były gotowe na daleko idące ustępstwa w sprawie polskiej. Harriman spotykał się ze wszystkimi grupami Polaków uczestniczącymi w konferencji moskiewskiej, m.in. 18 czerwca spotkał się na obiedzie z Żuławskim i Kutrzebą. Obaj nie ukrywali niechęci do komunistów i przedstawiali w czarnych barwach sytuację w Polsce, ale według relacji Harrimana uznali, że polityka polska wobec ZSRR powinna być przyjazna i uwzględniać interesy bezpieczeństwa Związku Radzieckiego.

Co ciekawe, Bierut i Mikołajczyk zgodnie zaproponowali usunięcie z nazwy nowego rządu przymiotnika tymczasowy, jako obniżającego jego prestiż. Nie zgodził się na to Harriman, który po konsultacji ze stroną radziecką stwierdził, że takie były ustalenia Wielkiej Trójki w Jałcie.

Podpisane 21 czerwca 1945 r. porozumienie przewidywało powołanie w skład Prezydium KRN jako wiceprzewodniczących Wincentego Witosa i Stanisława Grabskiego – wybitnego polityka endeckiego, negocjatora traktatu ryskiego, przewodniczącego Rady Narodowej w Londynie, zwolennika porozumień jałtańskich, zafascynowanego faktem powrotu powojennej Polski na dawne ziemie piastowskie (co było wysuwanym jeszcze przed I wojną światową postulatem endecji). Natomiast w skład rządu, którego premierem pozostał Edward Osóbka-Morawski, zostali włączeni Stanisław Mikołajczyk jako wicepremier oraz związani z nim politycy: Władysław Kiernik, Jan Stańczyk, Mieczysław Thugutt (odmówił powrotu do kraju i objęcia stanowiska ministra poczt i telegrafów) i Czesław Wycech. Na ogólną liczbę 20 ministrów w nowym rządzie znalazło się sześć nowych osób. Uzgodniono również, że Krajowa Rada Narodowa zostanie rozszerzona, tak aby stała się bardziej reprezentatywna politycznie.

Międzynarodowe uznanie

29 czerwca 1945 r. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej został uznany przez Francję i Szwecję. 5 lipca uznały go Wielka Brytania i USA, wycofując tym samym swoje uznanie dla rządu Arciszewskiego w Londynie. W dalszej kolejności TRJN uznały Chiny, Włochy, Kanada i większość państw ówczesnego świata. Uznania odmówiły jedynie Watykan, frankistowska Hiszpania, Irlandia, Kuba, Liban, Portugalia i Salwador.

8 września 1945 r. ujawniło się około 45 tys. żołnierzy podziemia poakowskiego.

Uznanie TRJN za jedyny legalny rząd polski przez USA i Wielką Brytanię miało ogromne znaczenie w sytuacji, gdy wkrótce miała się rozpocząć konferencja Wielkiej Trójki w Poczdamie (17 lipca-2 sierpnia 1945 r.), na której decydować miał się kształt polskiej granicy zachodniej. Na konferencji tej delegacja TRJN twardo obstawała przy wytyczeniu granicy zachodniej na Odrze i Nysie Łużyckiej i jej stanowisko – dzięki poparciu ZSRR – zostało przyjęte przez USA i Wielką Brytanię.

eprasa.pl 91f094e227

16 sierpnia 1945 r. TRJN zawarł umowę z ZSRR w sprawie wytyczenia wschodniej granicy Polski według nieznacznie zmodyfikowanej linii Curzona, na podstawie porozumienia zawartego w tej sprawie 27 lipca 1944 r. przez PKWN i rząd ZSRR. 16 października 1945 r. TRJN podpisał Kartę Narodów Zjednoczonych, przez co Polska stała się członkiem założycielem ONZ.

Powstanie TRJN umożliwiło przede wszystkim funkcjonowanie w latach 1945-1947 legalnej opozycji politycznej, jaką stały się powołane 22 sierpnia 1945 r. mikołajczykowskie Polskie Stronnictwo Ludowe i działające legalnie do 18 lipca 1946 r. chadeckie Stronnictwo Pracy. Warto jednak przypomnieć, że w istniejącym od 27 listopada 1945 do 11 stycznia 1949 r. Ministerstwie

Utworzenie TRJN i wycofanie przez mocarstwa zachodnie poparcia dla rządu londyńskiego podważyło sens dalszej walki podziemia zbrojnego w kraju.

Utworzenie TRJN i wycofanie przez mocarstwa zachodnie poparcia dla rządu londyńskiego podważyło sens dalszej walki podziemia zbrojnego w kraju. Zrozumiał to płk Jan Rzepecki, który 6 sierpnia 1945 r. rozwiązał Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj. Po ogłoszeniu przez KRN 2 sierpnia dekretu o amnestii i apelu płk. Jana Mazurkiewicza z 8 września ujawniło się ok. 45 tys. żołnierzy podziemia poakowskiego. Walkę zbrojną z nową rzeczywistością polityczną kontynuowały NSZ, Narodowe Zjednoczenie Wojskowe i mniejsze organizacje.

Ziem Odzyskanych, kierowanym przez Władysława Gomułkę, kluczowe stanowiska zajęli ludzie politycznie związani z endecją, a podczas okupacji niemieckiej z Biurem Zachodnim Delegatury Rządu na Kraj, popierający ideę powrotu Polski na dawne ziemie piastowskie nad Odrą i Bałtykiem (Władysław Czajkowski, Leopold Gluck, Józef Guranowski, Juliusz Kolipiński, Edmund Męclewski, Edward Quirini i inni). Nie byli oni jedynymi Polakami odległymi od komunizmu i lewicy w ogóle, którzy po powołaniu TRJN odrzucili postawę romantyczną na rzecz pozytywistycznej, czyli pracy nad odbudową i rozwojem kraju takiego, jaki zaistniał w warunkach geopolitycznych powstałych w tej części Europy w rezultacie II wojny światowej. A inne państwo polskie w tych warunkach geopolitycznych zaistnieć wtedy nie mogło.

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej działał do 6 lutego 1947 r., kiedy ustąpił po sfałszowanych przez komunistów wyborach do Sejmu Ustawodawczego z 19 stycznia 1947 r. Rząd ten nie przyniósł powojennej Polsce wolności i demokracji – nie mógł jej przynieść w sytuacji, gdy władzę na Kremlu sprawował Józef Stalin. Zapoczątkował jednak to, czego pragnęła w 1945 r. ogromna większość narodu polskiego – odbudowę zniszczonego przez wojnę kraju i zagospodarowanie Ziem Odzyskanych. Kontynuował popieraną również przez większość społeczeństwa reformę rolną i rozpoczął nacjonalizację przemysłu. Na pokojową walkę o wolność i demokrację przyszedł czas po 1956 r., a zwłaszcza po roku 1980.

Bohdan Piętka

* Andrzej Albert (Wojciech Roszkowski), *Najnowsza historia Polski 1914-1993*, t. II, Warszawa 1995, s. 15, 19.

NAD POLAKAMI CIĄŻY DZIŚ NAJBARDZIEJ NIE TA HISTORIA, KTÓRA BYŁA, LECZ TA, KTÓREJ NIE BYŁO.

Bronisław Łagowski

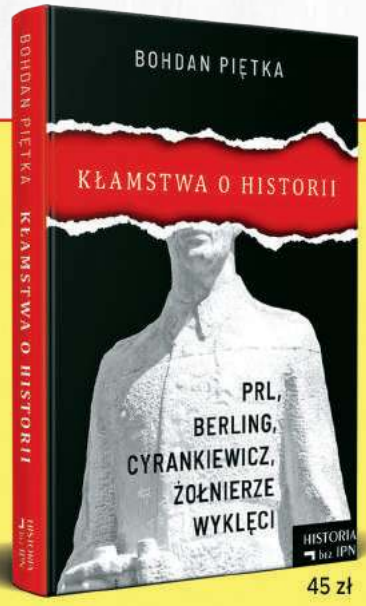

NIESZCZĘŚCIEM POLSKI JEST TO, ŻE JEJ HISTORIA JEST ZAKŁAMANA JAK NIGDZIE W ŚWIECIE.

Jerzy Giedroyc

E-BOOK
19,90 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 91f094e227

Wirus kapitalizmu

Pandemia jest okazją do postępowej zmiany społecznej na wielką skalę

Przemysław Wielgosz

Prawda o nieludzkim i antydemokratycznym charakterze kapitalizmu rzadko bywa tak dobrze widoczna jak podczas pandemii, której jesteśmy świadkami. Zarazem jest ona okazją do postępowej zmiany społecznej na wielką skalę. Czy zatem to prawda, że jak mawiał Mao Zedong, skoro na świecie zapanował chaos, sytuacja jest znakomita?

W kryzysie pandemicznym zbiegają się i wyostrzają niemal wszystkie negatywne tendencje ostatnich dekad. Zagrażają nam dziś prawdziwy wirus i realny kapitalizm. Biorąc pod uwagę związek epidemii z nienasyconym przemysłem wydobywczym i rolno-hodowlanym oraz różnymi formami eksploatacji natury – przede wszystkim wylesianiem – które skracają dystans między światem zwierząt i ludzi, możemy mówić o jednym wirusie. Jest nim wirus kapitalizmu. To przede wszystkim on dziś zabija. I to nie tylko dlatego, że tworzy warunki międzygatunkowej transmisji chorób na nieznaną wcześniej skalę. Wystarczy spojrzeć na statystyki ofiar pandemii we Włoszech i Hiszpanii oraz w Niemczech i Korei, żeby się o tym przekonać. Najważniejsze, czego się dowiadujemy z tego porównania, to to, że nawet zachorowalność na poziomie kilkudziesięciu tysięcy osób nie musi oznaczać katastrofalnego żniwa śmierci. Wirus nie jest aż tak zjadliwy, jak wynikałoby to ze statystyk zgonów w Lombardii i Nowym Jorku. Nie jest przypadkiem, że do obecnej katastrofy doszło w krajach, których gospodarki zostały „uzdrowione" neoliberalnym „zaciskaniem pasa" oraz kuracjami austerity z czasów kryzysu lat 2007-2015. Niska śmiertelność przy wysokiej liczbie wykrytych zachorowań w Niemczech i Korei – krajach, które nie odchudziły swojej służby zdrowia i innych usług publicznych – pokazuje, że tym, co zabija, jest przede wszystkim neoliberalna ortodoksja.

Także w Polsce, której klasa polityczna w większości wciąż nie obudziła się z neoliberalnej drzemki i najwyraźniej chce zamienić życie Polaków w koszmar na jawie. Poprawianie statystyk za pomocą niedoboru testów w imię stawki politycznej, jaką są wybory prezydenckie, uświadamia nam, że politycy PiS z góry uznali, że dla pozostania u władzy warto poświęcić ludzkie życie.

Epidemiczni maltuzjanie

Ten kryzys ujawnia jednak znacznie więcej niż tylko bankructwo doktryny neoliberalnej. Ujawnia najgorsze cechy kultury kapitalizmu. W czasach stabilizacji tkwią one głęboko ukryte pod fasadą poprawności politycznej i ignorancji. Kryzys pozwala dojść do głosu personom takim jak Boris Johnson, zachwalający uroki wymierania słabszych i starszych[1]. Maltuzjański dyskurs premiera Wielkiej Brytanii był tylko epizodem, ale przełoży się na dziesiątki tysięcy zachorowań i wiele śmierci. Nie był to jednak indywidualny wybryk. Na powierzchnię wypłynęła stara kolonialna wizja świata brytyjskich konserwatystów, która kierowała polityką imperium, nad którym nie zachodziło słońce. W istocie Johnson zaprezentował logikę, którą w połowie XIX w. kierował się wicekról Indii Robert Bulwer-Lytton, gdy na powtarzające się klęski suszy na subkontynencie zareagował liberalną polityką populacyjnego dostosowania – zlikwidował system spichlerzy zapewniający żywność ludności na terenach dotkniętych klęską żywiołową i zdał się na niewidzialną rękę rynku, gdy ta klęska nadeszła[2]. Są oczywiście niebagatelne różnice – Lytton odpowiadał za śmierć jakichś 10 mln Hindusów, Johnson chciał przejść do historii jako ten, który pozwoli umrzeć 500 tys. Brytyjczyków. Poza tym jednak reprezentują tę samą tradycję cywilizowanego barbarzyństwa. Tego samego, które zaprezentował epidemiczny negacjonista Donald Trump, wysyłający gwardię narodową na protestujących.

Pandemia przyśpieszyła koniec ery taniej natury, którą można bezkarnie grabić i zatruwać.

Modelem dla obecnej polityki polskiego rządu mógłby być szef Amazona Jeff Bezos, zmuszający setki tysięcy pracowników do narażania zdrowia, byle tylko generować jego zyski, a jednocześnie ogłaszający akcję charytatywną na ich rzecz. W dobie powszechnego odmrażania gospodarki wszyscy znaleźliśmy się w magazynie Amazona.

Co gorsza, Polska stała się jednym z pierwszych krajów wykorzystujących pandemię do narzucenia społeczeństwu kolejnej doktryny szoku, o której pisała Naomi Klein.

eprasa.pl 91f094e227

Miks ultraliberalizmu ekonomicznego i stanu wyjątkowego nie miałby szans w normalnych warunkach. Konsekwencje dzisiejszego zamachu na demokrację społeczną spadną na nas, gdy wirus ustąpi. I nie chodzi o to, że u władzy znajdzie się jakiś dyktator, ale o to, że raz zawieszony Kodeks pracy realnie wyzuje nas ze wszystkich formalnych praw obywatelskich w stopniu równym pauperyzacji, której doświadczy większość społeczeństwa.

Raz zawieszony Kodeks pracy realnie wyzuje nas ze wszystkich formalnych praw obywatelskich.

Czy oznacza to, że zwolennicy przykręcania śruby – ekonomicznej i politycznej – zafundują nam swój maltuzjański kapitalizm? A co, jeśli pandemia, ujawniając prawdę o kapitalizmie, napędzi jego kontestację?

Pandemia zmienia świat?

Historia dostarcza przykładów zmian na lepsze, które były konsekwencją zarazy. Klasyczny przykład to czarna śmierć z XIV w., która zbiegła się z wielką falą rebelii chłopskich, w konsekwencji czego historycy stawiają ją wśród wydarzeń tworzących kontekst dla uwolnienia chłopów z zależności feudalnych. Niektórzy historycy łączą skutki epidemii grypy hiszpanki w latach 1917-1920 z podnoszącą się wtedy falą rewolucyjną w Europie i Azji. Podobnie można odczytać trwającą rewoltę Afroamerykanów. Protesty po policyjnym mordzie na George'u Floydzie po raz pierwszy od wielu lat objęły także białą biedotę i część klasy średniej w Stanach, a przy okazji rozlały się po całym świecie. Pandemia okazała się katalizatorem zarówno policyjnej przemocy, jak i społecznej rebelii przeciw niej, która dziś stała się czymś znacznie większym – wielkim, postępowym ruchem antysystemowym wymierzonym nie tylko w rasizm i Trumpa, ale też w neoliberalny kapitalizm.

Warunki wydają się temu ruchowi sprzyjać. Na poziomie ekonomicznym pandemia obnażyła kruchość globalnego reżimu akumulacji opartego na delokalizacji produkcji do Chin oraz na globalnych łańcuchach wartości i dostaw. To, co jeszcze niedawno wydawało się źródłem gigantycznej przewagi kapitału nad pracownikami i uwięzioną w granicach państw narodowych demokracją, okazało się najsłabszym ogniwem systemu.

Na tym nie koniec. Przerywając globalny krwiobieg ekonomiczny, pandemia przyśpieszyła kilka procesów, które od dawna już zwiastowały wyczerpywanie się dotychczasowego modelu ekonomicznego. Dotyczy to przede wszystkim końca ery taniej natury, którą można bezkarnie grabić i zatruwać. Związek między tym procederem, który odpowiada za gwałtowne i radykalne zmniejszanie się bioróżnorodności, a szerzeniem się nowych wirusów jest zbyt oczywisty, aby go zignorować. Jego koszty stały się dramatycznie widoczne, także w kategoriach ekonomicznych.

Wszystko to nie oznacza jednak automatycznych zmian na lepsze. Bądź co bądź rządy prą do „powrotu do normalności", czyli sytuacji, która wepchnęła nas w kryzys. Dlatego potrzeba im dziś prawdziwej alternatywy. Czy jest nią „bazowy komunizm", o którym pisze antropolog David Graeber?[3] Z pewnością oddolna solidarność i pomoc wzajemna okazują się dziś warunkiem koniecznym funkcjonowania społeczeństwa. Ale nie wystarczą akcje oddolne – szycie maseczek, widzialna ręka i koncerty na balkonach. Tak jak zajmowanie skłotów nie zastąpi ogólnokrajowej polityki mieszkaniowej.

Pojawiła się okazja, żeby nie zmarnować pieniędzy i przeznaczyć je na cel, do którego i tak powinniśmy zmierzać. Jest nim transformacja energetyczna i Nowy Zielony Ład.

Wzrost, jaki wzrost?

W głównym nurcie polskiej debaty słychać dziś wielkie wołanie o podtrzymanie produkcji i wzrostu. Ale czyż nie dowiedzieliśmy się właśnie, że wzrost sam w sobie nie jest żadną wartością? Czy aby to nie ten sam wzrost, który w minionych dekadach rósł wraz z prekaryzacją, degradacją sfery publicznej, pauperyzacją i zadłużeniem na konsumpcję? Neoliberalny kapitalizm już dawno zerwał związek między dynamiką wzrostu PKB a rozwojem społecznym, który działał przez cztery dekady po 1945 r. Obecnie wzrost nie unosi wszystkich łodzi, od dawna już podtapia te mniejsze.

Zapytajmy zatem, czy w ogóle potrzebujemy wzrostu, a jeśli tak, to jakiego. Jakiego potrzeba nam systemu finansowego – dostarczającego płynności gospodarce czy przeciwnie – ściągającego z niej płynność za pomocą prezentów fiskalnych, prywatyzacji systemów emerytalnych czy polityki stóp procentowych powodujących inflację aktywów i zachęcających do pompowania zysków w rynki finansowe. A wreszcie, czy stać nas w dalszym ciągu na politykę oszczędności, skoro wiemy, że jedynym skutecznym sposobem na rozruszanie gospodarki i zmniejszanie zadłużenia są inwestycje publiczne?

Dziś pojawiła się okazja, żeby, inaczej niż w latach 2008-2009, nie zmarnować pieniędzy i przeznaczyć je na cel, do którego i tak już dawno powinniśmy zmierzać. Tym celem jest transformacja energetyczna i Nowy Zielony Ład. Przedsięwzięcie kosztowne, wymagające innowacji technologicznych, kapitało- i pracochłonne, obliczone na lata… czyli w sam raz nadające się do roli lokomotywy rozwoju społecznego zrywającego z kapitalistycznymi bożkami niskich kosztów i krótkoterminowej rentowności. Nowy konsensus ekonomiczny powinien uprzywilejować hodowanie deficytu zamiast zaciskania pasa, inwestycje publiczne zamiast konsolidacji rynków, regulację demokratyczną zamiast korporacyjnej, kooperację w ramach UE, a docelowo na skalę globalną, zamiast hołdowania zasadzie konkurencyjności, dobra wspólne zamiast prywatyzacji, ochronę płac i miejsc pracy zamiast premiowania zysków, zakończenie ery prekaryzacji przez wzięcie wszystkich pracujących

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 91f094e227

pod parasol umów kodeksowych, a wreszcie ustanowienie realnej progresji podatkowej (obejmującej także majątki)[4].

Określając na nowo priorytety, musimy dziś zapytać, na co naprawdę nas nie stać. Czyja praca jest nam naprawdę potrzebna z punktu widzenia wartości społecznej, którą generuje? Epidemia brutalnie weryfikuje piramidę ważności zawodów. W sytuacji, którą stworzyła, trzeba zapytać, kto powinien być bardziej doceniony – sprzątaczka, salowa w szpitalu i kurier czy dyrektor działu marketingu i kierownik HR? Ratownik medyczny i pakowaczka w centrum logistycznym czy menedżer w prywatnym centrum zdrowia i szefowa *public relations* korporacji? Rysując na nowo tabele płac i prestiżu, musimy też pamiętać o wartości, którą jest przetrwanie.

Współzależność albo eksterminizm

Kryzys prowokuje także pytania polityczne, bo nawet szybkie opracowanie szczepionki i opanowanie pandemii nie zmieni faktu, że nie wrócimy już do starego reżimu. Może być tylko znacznie gorzej lub wreszcie lepiej. Wiele wskazuje na to, że stoimy u progu zapowiadanej przez Petera Frase'a ery eksterminizmu, czyli świata nowych hierarchii i niedoborów[5].

Będzie on przypominał rzeczywistość ukazaną w „Elizjum" Neilla Blomkampa – połączy skutki pandemii, neoliberalnej ortodoksji z globalnymi nierównościami, nacjonalizmem i kryzysem klimatycznym. Niemniej jednak stawka, jaką jest świat egalitarny i dostatni, a do tego ekologiczny, nie utraciła nic ze swojej wagi. Przeciwnie, okazuje się racją bytu naszych społeczeństw i projektów takich jak Unia Europejska. Dziś widać to lepiej niż kiedykolwiek. Zawieszanie praw i zamykanie granic działają na krótką metę, opóźniają pandemię, ale jej nie powstrzymują i nie powstrzymają żadnej innej. Zrobić to może tylko więcej demokracji, sektora publicznego i egalitaryzmu. To ich brak okazał się przecież największym zagrożeniem.

Pandemia wcale nie zrehabilitowała państwa narodowego. Przeciwnie, wyostrzyła wszystkie jego ograniczenia. Brak zaufania do statystyk, kompetencji ministrów i zapewnień władz o kontroli nad sytuacją jest w Polsce powszechny. Podobnie dzieje się w USA, Brazylii, Indiach czy Rosji. Jak zauważyli Pierre Dardot i Christian Laval, potrzebujemy nie więcej suwerennej władzy państw, ale więcej służb i usług publicznych[6]. Nie należy ich ze sobą utożsamiać. Sytuacja pandemii dostarcza mocnych dowodów na potwierdzenie tej tezy. Historycznie usługi publiczne nie były podarunkami od państw, ale zdobyczą wyrwaną rządom i wspieranemu przez nie kapitałowi przez klasy podporządkowane.

W sytuacji, w której państwa sobie nie radzą, symptomatyczne jest, że prawdziwym źródłem sprawdzonej wiedzy i wsparcia okazała się Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) – instytucja od lat niedofinansowana i kontestowana przez obecny rząd w Waszyngtonie, który na początku 2020 r. postanowił zredukować swoją składkę na jej utrzymanie o 53%[7]. Światu potrzeba dziś o wiele więcej takich struktur jak WHO. Innymi słowy, potrzeba demokratyzacji form globalnych współzależności. Tak, by przestały nad nimi ciążyć logiki akumulacji kapitału i geopolityki, bo te jedynie pogłębiają polaryzację w skali światowej. Tylko w ten sposób wyrównamy szanse na przetrwanie i uczynimy współzależność źródłem zrównoważonego rozwoju. Trudno sobie wyobrazić skalę katastrofy, która czeka kraje globalnego Południa bez solidarności ze strony krajów Północy i Chin. Na lokalnym podwórku europejskim ten program oznaczałby urzeczywistnienie takich pomysłów jak europejska polityka zdrowotna, środowiskowa czy europejska płaca minimalna. Jeżeli globalizacja neoliberalna jest współodpowiedzialna za pandemię, to szczepionką na nią będzie nie wznoszenie murów, ale globalizacja standardów społecznych, zdrowotnych, ekologicznych i dotyczących zatrudnienia.

Staliśmy się globalnymi współobywatelami pandemii i potrzebujemy instytucji, które to współobywatelstwo odzwierciedlą. Dlatego, skoro na przedwiośniu 2020 r. znaleźliśmy się w jeszcze cięższych czasach, nie możemy się zatrzymywać na krytyce posunięć rządzących, nie stać nas na umiarkowanie i zachowawczość. Jeśli chcemy ocalić społeczne zdobycze walk minionych pokoleń i najzwyczajniej przetrwać, nie możemy jedynie patrzeć wstecz. Musimy pójść znacznie dalej, niż dotychczas wydawało się możliwe.

Przemysław Wielgosz

Czy stać nas na politykę oszczędności, skoro wiemy, że jedynym sposobem na rozruszanie gospodarki i zmniejszanie zadłużenia są inwestycje publiczne?

[1] J. Olender, *Brytyjczycy idą na czołówkę z koronawirusem*, „Krytyka Polityczna", 17 marca 2020, krytykapolityczna.pl/swiat/koronawirus-wielka-brytania/.

[2] M. Davis, *Late Victorian Holocausts: El Niño, Famines and The Making of the Third World*, Verso, London-New York 2001.

[3] D. Graeber, *Dług, pierwsze pięć tysięcy lat*, tłum. B. Kuźniarz, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014, s.136-143.

[4] Więcej na temat transformacji ekonomicznej: *Regeneracja zamiast tarczy! Manifest środowiska naukowego badań nad gospodarką*, regeneracjamanifest.wordpress.com.

[5] P. Frase, *Cztery przyszłości*, tłum. M. Szlinder, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2018.

[6] P. Dardot, Ch. Laval, *L'épreuve politique de la pandémie*, „Mediapart", 19 marca 2020, blogs.mediapart.fr/les-invites-de-mediapart/blog/190320/l-epreuve-politique-de-la-pandemie.

[7] S. Shah, *Dlaczego pandemie są coraz częstsze?*, „Le Monde Diplomatique – Edycja Polska", marzec-kwiecień 2020.

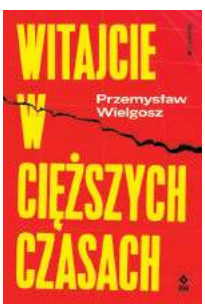

Fragment książki Przemysława Wielgosza *Witajcie w cięższych czasach. Polski kapitalizm, globalny kryzys i wizje lepszego świata*, Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25, rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

eprasa.pl 91f094e227

Zmienić podejście do węgla

Narasta niezadowolenie społeczne związane z sytuacją epidemiologiczną i ekonomiczną oraz brakiem wiedzy co do przyszłości miejsc pracy w kopalniach

Dariusz Potyrała

Na całym świecie, również w Polsce, społeczeństwa oczekują na poprawę stanu środowiska naturalnego. To zarówno oczywiste i niezaprzeczalne prawo, jak też konieczność zapewnienia przyszłości naszej planety. Ale czy to musi oznaczać rezygnację z wydobycia węgla? Może warto wypracować złoty środek, by uwzględnić interesy gospodarki i ograniczyć jej wpływ na środowisko? Może wystarczy zmienić podejście do wykorzystania węgla? Odejść od prostego spalania i uczynić go substratem służącym wielu celom, łącznie z bezpośrednim i pośrednim uzyskiwaniem energii. Kolejnym krokiem powinna stać się produkcja węgla niskoemisyjnego, popularnie zwanego bezdymnym. Jest to produkt opałowy, który w procesie technologicznym został poddany kontrolowanemu odgazowaniu, a przez to oczyszczony z zanieczyszczeń stałych. Jedną z technologii przetwarzania węgla kamiennego, z którymi wiązane są największe nadzieje, jest zgazowanie węgla. Proces ten opiera się na gazyfikacji, w trakcie której paliwo stałe, składające się w dużej mierze z węgla, jest przetwarzane na gaz. Z kolei czysty węgiel wykorzystywany jest m.in. w nanotechnologii, np. w wytwarzaniu nanorurek węglowych, i może się przyczynić do rozwoju metod stosowanych w analizie chemicznej. Nie do przyjęcia jest narracja, że za emisję dwutlenku węgla odpowiada tylko ten sektor gospodarki. Nie można zapominać, że polska energetyka dokonała wielu istotnych zmian technologicznych, zdecydowanie ograniczając emisję. Takie działania powinny być promowane i rozwijane z korzyścią dla środowiska, ale też w celu utrzymania miejsc pracy.

Czy jednak dzisiejsze górnictwo jest zdolne samodzielnie dokonać tych zmian? Czy nadal będzie gwarantem bezpieczeństwa energetycznego Polski? W jakiej kondycji znajduje się branża wydobywcza? Kierownictwo Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych odbyło w ostatnim czasie cykl spotkań z przewodniczącymi organizacji związkowych z branży górniczej i energetycznej. Prezentowana przez nich sytuacja wskazuje na konieczność podjęcia stanowczych działań. Sytuacja w tych najważniejszych sektorach gospodarki jest niedopuszczalna. Obserwujemy nieskoordynowane działania zarówno w zakresie wydobycia węgla, jak i w produkcji energii. Z jednej strony, ograniczamy wydobycie węgla w Polsce, z drugiej zaś od 2015 r. zakupy węgla za granicą wzrosły trzykrotnie. Nie podzielamy argumentów, że importowany węgiel jest tańszy. To polityka fiskalna państwa nakładająca ponad 20 różnych danin, opłat i podatków powoduje wzrost ceny polskiego węgla. Tylko podatek VAT w tonie to 116 zł, akcyza – dodatkowe 31-33 zł. Warto podkreślić, że importowany surowiec nie jest w krajach swojego pochodzenia obciążany opłatami podobnymi do tych, które stosuje się w UE w ramach polityki klimatycznej. Przez to opodatkowanie Polska nie może konkurować na światowych rynkach. Dlatego kolejny raz apelujemy do polskiego rządu o pilne podjęcie działań na rzecz ograniczenia nadmiernego fiskalizmu stosowanego wobec polskich producentów węgla.

Musimy też pamiętać o budowaniu bezpieczeństwa energetycznego Polski. Skala alternatywnych źródeł energii elektrycznej nie daje gwarancji zaspokojenia potrzeb obywateli i gospodarki. Odbiorcy energii nie mogą ponosić kosztów źle prowadzonej polityki w tym obszarze! Jednocześnie, nawet zakładając scenariusz dynamicznej modernizacji sektora energetycznego w kierunku odnawialnych źródeł energii, jeszcze przez kilka dekad węgiel kamienny pozostanie gwarantem bezpieczeństwa energetycznego Polski oraz podstawą krajowego bilansu energetycznego. Obecnie węglowi kamiennemu i brunatnemu zawdzięczamy prawie 75% energii elektrycznej w naszych gniazdkach. Odnawialne źródła energii, choć nowoczesne i coraz popularniejsze, nie zapewniają bezpieczeństwa ani stabilności systemu energetycznego. Muszą one współpracować z elektrowniami konwencjonalnymi lub atomowymi. Mając na uwadze stale rosnące zapotrzebowanie na energię elektryczną w kraju i zapewnienie podstawowego bezpieczeństwa energetycznego państwa (w rozumieniu uniezależnienia się od importu energii elektrycznej z zagranicy), trzeba opracować kompleksową i wieloletnią strategię.

To polityka fiskalna państwa nakładająca ponad 20 różnych danin, opłat i podatków powoduje wzrost ceny polskiego węgla.

OPZZ, domagając się stabilizacji w górnictwie i energetyce, wystąpiło z wnioskiem o podjęcie tematu przez Zespół Problemowy Rady Dialogu Społecznego ds. Polityki Gospodarczej i Rynku Pracy, aby na tej podstawie opracować kompleksowy i spójny program dla branży górniczej. Skierowaliśmy pismo do premiera Mateusza Morawieckiego i wciąż oczekujemy na reakcję strony rządzącej. Pod tym wnioskiem podpisało się 26 organizacji związkowych OPZZ z sektora górnictwa i energetyki. OPZZ wraz z górniczymi organizacjami związkowymi żąda podjęcia działań prowadzących do określenia roli i perspektyw dla branży. Narasta bowiem niezadowolenie społeczne związane z sytuacją epidemiologiczną i ekonomiczną oraz brakiem wiedzy co do przyszłości miejsc pracy w kopalniach.

Na Śląsku wszyscy pamiętają, że w ostatnich kilkunastu latach z zawodu odeszło prawie ćwierć miliona górników. Wiele ekip rządowych obiecywało stworzenie alternatywnych miejsc pracy poza górnictwem. Mówi się, że pod koniec czerwca ma być przedstawiony przez wicepremiera Jacka Sasina kolejny program restrukturyzacji górnictwa. Czy ustabilizuje on sytuację w górnictwie i wyprowadzi je na prostą, czy stanie się przyczyną kolejnego konfliktu na Śląsku? Już niebawem się dowiemy.

Dariusz Potyrała jest przewodniczącym Związku Zawodowego Górników w Polsce i przewodniczącym Branży OPZZ Górnictwo i Energetyka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 91f094e227

Helena Leman

Jak zużyte klocki

Sądy w Elblągu i Gdańsku uznały, że ciągnięcie palet o wadze 260-960 kg jest pracą średniociężką dla kobiety. A właściciel Biedronki jest w porządku wobec pracowników

KRAJ

BIEDRONKA NIGDY NAS NIE PRZEPROSIŁA

Byłe pracownice Jeronimo Martins Polska przegrały proces o zadośćuczynienie za pracę w warunkach urągających godności

Helena Leman

Od początku naszej sprawy sądy zachowywały się tak, jakby nigdy to się nie zdarzyło. Jakby tej całej walki, potwierdzonej kontrolami Państwowej Inspekcji Pracy, zarzutami prokuratorskimi, wyrokami sądów wcale nie było. W pierwszej instancji w Elblągu sądziła nas ta sama sędzia, która kilkanaście lat temu prowadziła sprawę Bożeny Łopackiej o nadgodziny. Wtedy przyznała jej rację, a teraz jakby nic nie pamiętała – mówi 67-letnia Bogusława Taurogińska, była pracowniczka Biedronki.

Pozew przeciw firmie Jeronimo Martins Polska SA dwa lata temu złożyło ośmioro byłych pracowników tej sieci, sześć kobiet i dwóch mężczyzn z Elbląga i Pasłęka. Domagają się przeprosin na stronie internetowej Biedronki lub w „Gazecie Elbląskiej" i zadośćuczynienia za naruszenie ich dóbr osobistych: godności jako pracowników i prawa do bezpiecznych i higienicznych warunków pracy. Łączna wysokość zadośćuczynienia, o które walczą, wynosi ok. 145 tys. zł.

WRACAMY DO TEMATU

Przegrali już w dwóch instancjach. 15 stycznia 2019 r. w elbląskim sądzie pracy i 29 października 2019 r. w gdańskim sądzie apelacyjnym. Dlatego w grudniu ub.r. kancelaria Lecha Obary, reprezentująca ich *pro bono*, zwróciła się do Rzecznika Praw Obywatelskich o wniesienie skargi kasacyjnej od wyroku Sądu Apelacyjnego w Gdańsku. Rzecznik nie widzi możliwości wniesienia takiej skargi, ale zaproponował inne działania. „Akta sądowe sprawy będą badane pod kątem możliwości podważenia tego prawomocnego orzeczenia przez RPO skargą nadzwyczajną", napisał 15 czerwca br. Lesław Nawacki, dyrektor zespołu prawa pracy i zabezpieczenia społecznego w biurze RPO.

Instytucja skargi nadzwyczajnej została wprowadzona nową ustawą o Sądzie Najwyższym, która weszła w życie 3 kwietnia 2018 r. Przewiduje ona możliwość składania do Sądu Najwyższego skarg na prawomocne wyroki polskich sądów z ostatnich 20 lat. Rzecznik Praw Obywatelskich do końca marca 2020 r. złożył osiem takich skarg. Do jego biura w tym okresie wpłynęło 6 tys. wniosków.

Kierowniczka do wszystkiego

Choć młyny sprawiedliwości mielą powoli, pojawiła się nadzieja.

– Może wreszcie ktoś nas usłyszy – mówi Bogusława Taurogińska. – W pozwie domagamy się 300 zł za każdy miesiąc pracy w trudnych warunkach. Tyle wywalczyła Katarzyna Wiktorzak w 2009 r. W moim przypadku to ok. 22 tys. zł. Czeka mnie niebezpieczna operacja kręgosłupa, nie ukrywam, że te pieniądze by się przydały, bo moja emerytura po ostatniej rewaloryzacji to 1340 zł za 30 lat pracy w handlu.

Kobieta była już po czterdziestce, gdy zaczęła pracę w Biedronce. Pracowała jako kasjerka, ale pomagała też przy rozładunku.

– Był telefon wieczorem, że jest dostawa i się biegło, ładowało tonę wody czy cukru na paleciaka i ciągnęło, a tu górka, tu dół, wszystko strzelało w stawach rąk, w kręgosłupie, kolanach – opowiada. – I tak przez prawie sześć lat. Oprócz rozładunku były także remanenty, które trwały całe noce. Leciało się do domu na godzinkę, dwie, a o szóstej rano wracało, żeby przyjąć pieczywo. W lutym 2004 r. odeszłam, a dwa miesiące później pojawił się w naszym sklepie pierwszy wózek elektryczny.

Podczas jednej z rozpraw Bogusława Taurogińska tak opisywała pracę w tzw. warzywniaku: – Najciężej było, gdy musiałam rzucać wysoko kosz z kapustą lub burakami. Rozkładanie towaru po ośmiu godzinach na kasie było ponad moje siły, w sumie pracowałam po 12, 13 godzin.

Alicja Traczewska, była kierowniczka Biedronki w Pasłęku, w firmie od końca lat 90., mówi, że do pracy przychodziła przez kilka lat w specjalnym pasie chroniącym kręgosłup. Oprócz wypełniania obowiązków związanych z kierowniczym stanowiskiem, z powodu małej obsady ramię w ramię ze swoimi pracownicami rozwoziła towar na paleciaku i układała na półkach, myła sanitariaty, siadała przy kasie. Pewnego razu tak niefortunnie dźwignęła karton z garnkami, że dopadła ją rwa kulszowa, z którą walczy do dziś. Jednak najgorsza była dla niej przemoc psychiczna.

– Choć od 2004 r., po tym, jak Bożena Łopacka zaczęła się procesować z Biedronką, wiele się zmieniło, pojawiły się elektroniczna ewidencja czasu pracy i wózki elektryczne,

Remanenty trwały całe noce. Leciało się do domu na godzinkę, dwie, a o szóstej rano wracało, żeby przyjąć pieczywo.

eprasa.pl 91f094e227

wymuszone przez kontrole PIP, pomiatanie pracownikami wcale się nie skończyło. W 2009 r. przed Wigilią przeoczyłam promocję na mandarynki i zamówiłam 100 kg zamiast tony. Choć mandarynki i tak się skończyły w magazynach, dostałam naganę. Od tego czasu kierowniczka rejonowa zaczęła mnie niszczyć. Słyszałam wciąż: „Wyciągnąć pieczątkę? Drugą naganę chcesz?". Trzęsłam się cała, gdy miała przyjechać zwierzchniczka. Czułam, że planują mnie zwolnić, co się stało w 2011 r.

Alicja Traczewska do emerytury ma jeszcze pięć lat. Do zeszłego roku pracowała u kaletnika, ale zamknął zakład. Obecnie jest bez dochodów, utrzymuje się z niewielkiej emerytury matki, z którą mieszka. Planuje wrócić do pracy w handlu.

Nagana za papierek

– Jak był cukier, to jedna ciągnęła, a druga pchała, cukru sama nie dawałam rady ciągnąć, wodę tak – mówiła na rozprawie w marcu 2018 r. inna pracownica Biedronki. – Gdy przyjeżdżał kierownik regionalny i powiedziało się mu, że jest ciężko, to mówił, że jak nam się nie podoba, to mamy się zwolnić – zeznawała w sądzie Anna Żukowska. Ale wówczas w Pasłęku było trudno o pracę, więc nikt nie protestował.

– Byłem klockiem, który budował pewną strukturę. Klocek, który wypadał, był zastępowany przez następny – opisywał inny były pracownik.

Ewa (imię zmienione) mówi, że przystąpiła do pozwu nawet nie dlatego, żeby dostać zadośćuczynienie, ale żeby poczuć satysfakcję. – Oddałam tej firmie 10 najlepszych lat życia, we wszystkie dni wolne byłam w pracy, mimo że jestem samotną matką. Wyciśnięto mnie jak cytrynę, wykorzystano moją energię, a potem wyrzucono jak śmiecia. Wie pani, za co dostałam naganę? Za papierek na podłodze. Nigdy nie wypłacono mi zaległych nadgodzin. Jak się zaczęła afera z Bożeną (Łopacką – przyp. aut.), rzucono nam ochłap za ostatnie miesiące, żeby kontrolerzy się nie czepiali.

Dwie z byłych pracownic są na emeryturze, dwie inne bez pracy, jedna pracuje za granicą, jedna prowadzi firmę. Wszystkie leczą się na choroby kręgosłupa, do tego dochodzą inne schorzenia – choroba wrzodowa, depresje itp., co potwierdza dołączona do pozwu dokumentacja medyczna.

Ludzie biedują, Biedronka kwitnie

Mimo to sądy w Elblągu i Gdańsku nie uznały, że pracownicy świadczyli pracę w warunkach naruszających ich godność osobistą, bo wózki elektryczne nie były powszechnie używane w sklepach, a firma Jeronimo Martins jako jeden z pierwszych podmiotów w Polsce wprowadziła je do użytku. Sąd ocenił też, że praca mieściła się w granicach „średniociężkiej dla kobiet", a gdyby nawet przyjąć, że w pewnych sytuacjach była ciężka, nie uwłaczało to ani godności kobiety, ani godności pracownika. Zdaniem sądu szeroki zakres obowiązków też nie jest naruszeniem dobra osobistego. Poza tym sąd nie dopatrzył się popełnienia przestępstwa, bo pracownice nie wskazały konkretnej osoby, która miała je popełnić.

Każdy ze skarżących Jeronimo Martins pracowników ma zapłacić firmie 5 tys. zł kosztów sądowych.

– Rozporządzenie z 1996 r. – mówi Lech Obara – a więc wydane rok po tym, jak portugalska firma weszła do Polski, określało, że kobietom nie wolno było przewozić na wózkach ciężarów większych niż 80 kg. Tymczasem stosowane przez sieć wózki ręczne same ważyły 64 kg, a pusta paleta 20 kg. Absurdem jest twierdzenie, że ciągnięcie palet o ciężarze 260-960 kg jest pracą średniociężką dla kobiety. Brak wózków widłowych i pracę w godzinach nadliczbowych jako powszechną praktykę potwierdził w wyrokach Sąd Najwyższy. Wyroki sądu poprzedziło ogólnopolskie śledztwo prowadzone pod nadzorem Prokuratury Krajowej, zarzuty postawiono 302 osobom zarządzającym siecią, do sądów skierowano 32 akty oskarżenia przeciwko 63 osobom. W toku śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Okręgową w Gliwicach zarzuty karne usłyszało 26 osób.

Sąd Okręgowy w Elblągu Wydział IV Pracy i Ubezpieczeń Społecznych zasądził od każdej z sześciu kobiet na rzecz pozwanej firmy JMP 2700 zł jako zwrot kosztów procesu, a Sąd Apelacyjny w Gdańsku 2265 zł. Gdy pytam Alicję Traczewską, czy już uregulowała koszty procesu apelacyjnego, tłumaczy, że na razie nie ma z czego, podobnie odpowiada Bogusława Taurogińska.

W lutym br. byli pracownicy Biedronki złożyli zażalenie na to rozstrzygnięcie. Sprawa trafiła też do stowarzyszenia Obserwatorium Strasburskie, które zainteresowało się tym, dlaczego sądy, zgodnie z art. 102 k.p.c., odmówiły skorzystania z możliwości zasądzenia od strony przegrywającej tylko części kosztów albo w ogóle nieobciążania jej kosztami.

W skierowanej do Sądu Apelacyjnego w Gdańsku opinii Obserwatorium Strasburskiego czytam, że byłoby to uzasadnione, gdyż w gronie powodów są bezrobotni, emeryci, ludzie w trudnej sytuacji zdrowotnej, dla których koszty procesu stanowią znaczne obciążenie. Według stowarzyszenia rozstrzygnięcia sądów dotyczące kosztów procesu naruszają Konwencję o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności, szczególnie art. 6 konwencji. A byli pracownicy Biedronki dochodzili swoich roszczeń w przeświadczeniu o ich słuszności, ponieważ Sąd Najwyższy już w 2009 r. potwierdził, że praca w sklepach tej sieci w spornym okresie naruszała godność osobistą pracowników.

Gdy pod koniec kwietnia pytam o zażalenie, Joanna Organiak z biura prasowego Sądu Apelacyjnego w Gdańsku informuje, że powodu przekazania akt sprawy Rzecznikowi Praw Obywatelskich nie zostało ono rozpoznane. Będzie rozpatrzone po zwróceniu akt.

Lech Obara mówi mi, że przy rozpatrywaniu spraw z zakresu prawa pracy stosuje się nieformalną zasadę, że przegrywający pracownik nie jest obciążany kosztami. – Tak jest w większości przypadków – zaznacza.

Ewa nie kryje zdenerwowania: – Nie dość, że pracowaliśmy ponad siły, że oszukano nas na nadgodzinach, to jeszcze teraz mamy się zadłużać, żeby im zapłacić koszty procesu. Moja firma pada przez epidemię, a Biedronka kwitnie! Biorę kredyt, żeby wypłacić pensje pracownikom. Gdzie tu jest sprawiedliwość? ■

eprasa.pl 91f094e227

Zdalna nauka bez wychowania

Emocje dzieci odciętych od rówieśników i od swoich przyzwyczajeń to najważniejszy aspekt nauki zdalnej

Rozmawia Beata Igielska

DR JOANNA RABIEGA-WIŚNIEWSKA
– adiunkt w Instytucie Badań Edukacyjnych. Wykłada na Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej oraz w Collegium Verum w Warszawie.

Jak pani jako lingwista informatyczny ocenia zdalną edukację z ostatnich miesięcy?

– Nie tyle jako lingwista, ile jako edukator. W pracy badawczej obserwuję kilka ścieżek: jak dotrzeć z technologiami do nauczyciela, jak do dzieci, jak nauczyciel współpracuje z dzieckiem. Z powodu pandemii na wszystkich zdalne nauczanie spadło nagle, a zwykle do tak radykalnych zmian przygotowujemy się latami. Określenie nauczanie zdalne może oznaczać również nauczanie korespondencyjne. To nauczanie udało się wdrożyć, ale jak zawsze w takiej sytuacji pojawiają się problemy: część nauczycieli nie ma w domu internetu albo sprzętu, do tej pory korzystali z niego w szkole. Także część uczniów nie ma dostępu do technologii.

Zdaniem Centrum Cyfrowego 16%.

– To dużo. Niemniej jednak samo wprowadzenie e-learningu udało się od strony technicznej. Nikt nie powiedział: nie da się. Wszyscy włożyli mnóstwo pracy w to, żeby się dało.

Przeprowadziła pani badanie w szkole wyższej. Co panią zainteresowało w tej nowej sytuacji edukacyjnej?

– Na studentów e-learning spadł gwałtowniej niż na uczniów. Zainteresowało mnie, jak oni w tej sytuacji się czują, bo zdecydowanie za mało interesujemy się aspektem psychologicznym. Badanie pokazało, że zajęcia przez internet podobają się studentom, akademicy odpowiadają na mejle, odsyłają prace. Ale zapytałam też, czy nauczanie zdalne budzi niepokój, czy radość. Stawiałam na to drugie, bo skoro w mojej grupie studenckiej tylko jedna trzecia to warszawiacy, a reszta pochodzi z małych miast i wsi i poświęca mnóstwo czasu, żeby dojechać na zajęcia, to oczekiwałam entuzjazmu. Okazało się, że studentom brakuje bezpośredniego kontaktu z rówieśnikami, z wykładowcą oraz uniwersyteckiej atmosfery. Obawiali się, czy ich praca na odległość zostanie doceniona, czy będą mieli zaliczone zajęcia, czy nie będą musieli powtarzać semestru. Wyrażali niepewność, co dalej, czy są bezpieczni – nieliczni podnosili sprawę zdrowia, większość martwiła się o naukę, czy sobie poradzi bez omówienia materiału, bez możliwości dyskusji. Zastanawiali się, czy to jest prawdziwe uczenie się. Na pytanie, czy odczuwali radość, połowa odpowiedziała, że nic pozytywnego nie czuła. Na wykresach widać tyle samo niepokoju co obojętności, a mało radości.

A samopoczucie nauczycieli?

– Na Edunews.pl pod koniec kwietnia został opublikowany list nauczycielki Izabeli Bartol. Opisała, jak wygląda jej życie na co dzień, nie tylko techniczne aspekty nauczania na odległość. Matka nastoletniej córki i czteroletniego syna poświęcała wiele godzin lekcjom, a przecież powinna pomagać też swoim dzieciom w nauce zdalnej. To pokazuje spiętrzenie pracy dla wszystkich. Jeżeli ktoś jest rodzicem i nauczycielem, wszystko robi się bardzo trudne. Drugi tekst, na który zwróciłam uwagę, bo szedł w kierunku moich badań, też pochodzi z Edunews.pl. Stanisław Czachorowski napisał: zdalna edukacja pokazała, jak ważne są kontakty bezpośrednie.

Trudno się nie zgodzić z tą diagnozą. Edukacja to żywa relacja.

– Jeszcze nie wiemy, jak zdalne nauczanie wpłynęło na relacje. Są nauczyciele, którzy dbali o nie, starali się mieć czas indywidualnie dla każdego. Z badań przeprowadzonych przez ZNP wynika, że poświęcali oni 40-60 godzin tygodniowo na pracę. Gdyby zadbali jeszcze bardziej o relacje, byłoby tych godzin znacznie więcej. Prowadzenie lekcji, sprawdzanie wszystkich prac – jeśli ktoś ma pięć klas po 25 osób, to te liczby rosną absurdalnie. Rozmawiałam z nauczycielami i trudno mi było uwierzyć, gdy opowiadali, jak wiele robią. Równolegle do pracy dydaktycznej

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 91f094e227

wypełniali mnóstwo papierów. Jestem bardzo ciekawa, jak poradzili sobie nauczyciele, którzy do tej pory nawet nie odbierali poczty elektronicznej, bo nie było takiej potrzeby lub możliwości.

Takich, którzy nie mieli wcześniej kontaktu z nauką zdalną, jest 85%. Z kolei raport „Kształcenie na odległość w Polsce w czasie pandemii COVID-19" Sylwii Jaskulskiej i Barbary Jankowiak z UAM, zrobiony na podstawie ankiet od 760 osób, zwraca uwagę, że realizowanie funkcji wychowawczej i opiekuńczej szkoły jest przy nauce zdalnej niemożliwe. Aż 60% badanych nauczycieli podnosiło kwestię pogłębienia różnic między uczniami.

– Nie ma całościowych badań na temat edukacji zdalnej. Różnice między uczniami będą wynikały nie tylko z dostępu do technologii lub jego braku, ale też z różnic społecznych i tego, czy dana grupa dzieci już wcześniej była zaznajomiona z technologią cyfrową. Technicznie być może lepiej poradziły sobie dzieci, które wcześniej grały na komputerze, niż te, które np. chodziły na tańce. W szkołach wcześniej nie za bardzo pokazywano edukacyjny aspekt technologii i teraz dziecko, które z tym się styka, traktuje to jak prezent, zaczyna eksperymentować, bo wcześniej nie miało do tego dostępu. Jeśli chce pani coś zapisać, sięga pani po cokolwiek – nieważne, ołówek czy długopis, liczy się to, co chce pani wyrazić. To tzw. fenomen ołówka – narzędzia, które staje się niewidoczne w świetle celu. Tak samo jest z używaniem technologii w edukacji: najważniejsze, żeby temat przebił nowinki techniczne. Tego powinny uczyć się dzieci – wykorzystywania swojej kreatywności. Podsumowując, to, czego dzieci nauczyły się w czasie nauki zdalnej, może zależeć od podejścia dziecka, jego wieku, zainteresowań, od tego, czy w ogóle lubi się uczyć. Moi studenci mieli wszelki potrzebny sprzęt. Zapytałam ich, czy lubią uczyć się w domu. Ponad jedna trzecia odpowiedziała: nie, dom jest przestrzenią innego rodzaju, coś innego w nim robię, a nie tylko na okrągło uczę się. Wielu uczniów słucha w szkole nauczyciela i to im wystarcza. Jeśli taki słuchowiec jest zmuszony do pracy w domu, jego sytuacja nie jest komfortowa psychologicznie. Na razie nawet nie wiem, jak to zbadać.

Tego pewnie w tej chwili nikt nie wie. Trzeba by ponadto zbadać skalę przemocy rówieśniczej, która w wielu przypadkach zniknęła, bo miała charakter fizycznego nękania, ale w bardzo wielu innych wskoczyła w sieci na wyższy poziom.

– Z moich obserwacji wynika, że w czasie nauczania zdalnego przemoc rówieśnicza była mniej więcej taka sama jak w szkole. Ci, którzy przeszkadzali w czasie lekcji, robili to nadal. Nauczyciele w badaniu Centrum Cyfrowego mówili, że pracując na platformach, musieli szybko się nauczyć wygłuszania i karania w jakiś sposób uczniów; złe relacje z klas gładko przeszły do internetu. Ciągle nas się straszy: gry są złe, dziecko w internecie zamienia się w potwora. Tak jakby dzieci spadły tam z nieba. Uproszczę: jeśli ktoś jest zły w realu, bije młodszego kolegę, tak samo zachowuje się w sieci, to jest przedłużenie rzeczywistości. Ta przemoc boli tak samo jak pobicie, bo internet jest częścią naszego świata. My, starsi, oddzielamy świat rzeczywisty i świat wirtualny. Dla nich to ten sam świat. Jeśli ktoś im robi przykrość w świecie realnym, a potem wirtualnym, jest to ta sama przykrość. Ze względu na brak kontaktu nauczycielom trudniej było znaleźć rozwiązania. Nie mogli porozmawiać bezpośrednio w cztery oczy, ten ktoś po drugiej stronie w każdej chwili mógł się rozłączyć.

Nie wiemy więc jeszcze, jacy wyjdą z tej edukacji nauczyciele i uczniowie. Zaprzyjaźniona dyrektorka twierdzi, że muszą się znaleźć pieniądze na psychologiczne wprowadzenie dzieci w nowy rok szkolny, bo będzie kłopot.

– Pojawiły się wytyczne organizacji międzynarodowych, opasłe tomy dotyczące tego, na co powinno się zwracać uwagę w czasie edukacji zdalnej, co robić, jak robić. Nie wiem, czy u nas ktoś do tego zajrzał. Ale czy to coś by pomogło? Nowoczesną edukację wprowadza się stopniowo, latami. Przydałyby się znowu olimpiady cyfrowe oraz wprowadzenie przedmiotu rozwijającego umiejętności cyfrowe, medialne. Uczniowie z nauczycielami nie robią filmów, audycji, zdjęć.

Tylko 30% nauczycieli nagrywa samodzielnie lekcje. A to jest forma, która do uczniów najbardziej przemawia.

– Ale oglądanie filmów jest bierne, nie można na bieżąco sprawdzić, czy dobrze coś rozumiemy, zapytać nauczyciela. Dla mnie nie jest wadą, że nauczyciele nie nagrywali filmików, choć... studenci również mówili, że chcieliby oglądać swojego nauczyciela. Badanie Centrum Cyfrowego pokazało natomiast, że to uczniowie ich nagrywali, a potem wrzucali dla żartu do sieci. Dopóki więc nie popróbujemy różnorodnych technik, nie wiemy, czy to dobrze wyjdzie. Daleka byłabym od krytyki różnych sposobów pracy. Bo najłatwiej powiedzieć, że coś jest nudne albo beznadziejne. U nas za mało się próbuje.

Wielu nauczycieli uważa, że materiał trzeba będzie powtórzyć.

– Znam to badanie i trochę mnie wystraszyło, ponieważ mam poczucie, że dużo pracy włożyliśmy w uczenie zdalne: nauczyciele, rodzice, dzieci. Wracamy do tego, że nie wszystkie dzieci miały komfort pomocy ze strony dorosłych. Owszem, materiał wymaga powtórek. Nie wiemy przecież, jakie formy nauczania zdalnego zostały zastosowane w przypadku 16% dzieci wykluczonych cyfrowo.

Podobno dostawały karty pracy do domu.

– Miały dostawać, ale czy dostawały i jakiej jakości? Nie mam wśród znajomych dziecka potrzebującego papierowych materiałów do nauki. Mam nadzieję, że znajdą się pieniądze na zajęcia powtórkowe dla dzieci, które faktycznie mają zaległości. Jeśli natomiast obejmą one wszystkich uczniów, nie będzie dobrze. Dziecko, które starało się, systematycznie uczyło, odbierze to jako karę, następnym razem nie będzie

Zdalna edukacja pokazała, jak ważne są kontakty bezpośrednie.

Złe relacje z klas gładko przeszły do internetu.

eprasa.pl 91f094e227

Stanisław Sagan

Dyktatury zakamuflowane Wiwisekcja współczesnej autokracji

Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego Rzeszów 2019

„Celem niniejszego opracowania jest wiwisekcja współczesnych dyktatur zakamuflowanych. Jak zawłaszczają one władzę państwową, jakimi metodami ją sprawują i w jaki sposób opanowują kolejne segmenty aparatu państwowego. W końcu jak długo taka forma rządzenia może trwać i jakie skutki przynosi społeczeństwu oraz jakie ma ograniczenia. Analizie poddano dyktatury państw, które zeszły z drogi demokracji bądź nigdy nią nie szły. Władzę zdobyły legalnie, stosując hasła populizmu. A ich celem jest »uszczęśliwianie ludu« i zapewnienie mu dobrobytu możliwie szybko", pisze we wstępie prof. Stanisław Sagan, kierownik katedry prawa konstytucyjnego na Wydziale Administracji Uniwersytetu Rzeszowskiego. Autor specjalizuje się we współczesnych ustrojach politycznych, szczególnie bada systemy konstytucyjne państw nordyckich.

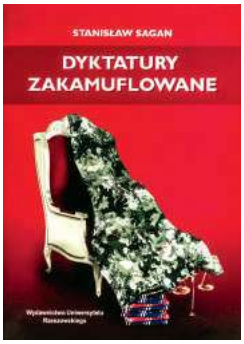

Janusz Jano Mielczarek

Sposób na życie Wybór opowiadań

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza Warszawa 2019

Janusz Jano Mielczarek debiutował w roku 1986, potem przez 25 lat milczał literacko, ale wznowił działalność pisarską w 2011 r. Ceni prozę gęstą, emocjonalną, niepozbawioną dramatyzmu i erotyki, przeplataną humorem. Wciąż próbuje się sprawdzać w ważnych konkursach literackich i zdobywa nagrody W latach 2018 i 2019 jego opowiadania drukowało Pismo Artystyczne „Format". „Sposób na życie" jest osobistym wyborem autora, dokonanym z około 50 tekstów. „Proza Janusza Mielczarka jest znakomita", pisze we wprowadzeniu Aleksander Żakowicz, profesor Uniwersytetu Śląskiego.

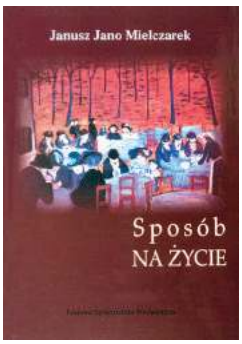

się przykładać, bo to nieopłacalne i niedoceniane. Mówię tu głównie o nastolatkach. To nauczyciele najlepiej znają swoich uczniów i wiedzą, kto potrzebuje pomocy. Takich uczniów potrzebujących wsparcia wcale nie musi być w klasie dużo – jedna osoba, może dwie. Ich nie wolno tak zostawić samych sobie.

Z badania 646 dyrektorów wynika, że poczuli się zostawieni sami sobie, że nagła decentralizacja ich zaskoczyła; zwracali uwagę, że nie popisały się instytucje centralne, a pomagały samorządy, i że bardzo im i nauczycielom brakuje szkoleń.

– Jeśli chodzi o szkolenia, to co roku jest o nich rozmowa, bo są bardzo potrzebne. Owszem, wielu w tej sytuacji narzeka na administrację centralną. Z drugiej strony zawsze podnoszony był postulat: więcej zaufania do nauczycieli. To oni i dyrektorzy powinni podejmować decyzje, bo to oni są ekspertami od nauczania.

Ale badanym dyrektorom chodziło o to, że nikt im nie pomógł. Powieszono jakieś niesprawdzone linki na stronach MEN, nic się nie otwierało, a 60% nauczycieli pracuje na własnym sprzęcie.

– Nauczyciele cały czas tak pracują. Jeśli w szkole do dyspozycji 50 nauczycieli jest pięć komputerów, to muszą mieć własny sprzęt. Nie bagatelizuję tego problemu, zwracam tylko uwagę, że nie pojawił się on wraz z nauczaniem zdalnym. Uderzyły w nas sprawy niezałatwione w przeszłości, nie da się ich załatwić ani jednym rozporządzeniem, ani jednym budżetem. Trzeba to zaplanować w perspektywie czasowej.

Dla co piątego nauczyciela kształcenie na odległość jest szalenie trudne.

– Nauczyciele nie są grupą homogeniczną, a tak ich traktujemy. Jest różnica między pracą zdalną nauczyciela historii a nauczyciela WF czy plastyki. Zabrakło mi w tych badaniach pytania, które wyjaśniłoby, jakie grupy nauczycieli miały kłopoty. Wuefiści robili cuda, żeby prowadzić zajęcia zdalne. Dziewczynka z mojego podwórka raz miała zajęcia z plecaczkiem, raz miała ciężarki z pluszaków. Czy macie piłkę w domu? Nie mamy. A czy macie krągłego misia? Nauczyciele wykazali się większą kreatywnością niż zazwyczaj. Ich problemy wcale nie musiały wynikać z braku umiejętności albo z tego, że nie chcą obsługiwać internetu.

Nie zapominajmy o szkołach zawodowych czy specjalnych.

– Nauczyciel stolarz lub nauczyciel tokarz jest w istocie wysokiej klasy specjalistą, doskonale obeznanym z nowoczesnymi technologiami, potrzebnymi obecnie na rynku pracy. Maszyny, które trzeba umieć dziś obsługiwać, to nie wyłącznie piła i dłuto, tylko techniczne kombajny, programowalne, z cyfrowym menu i innymi gadżetami. To, że taki nauczyciel nie ma biegłości w obsłudze laptopa i Worda, nic nie mówi o jego kompetencjach cyfrowych – te bowiem ma wysokie, tylko w innej dziedzinie. Dzisiaj taki nauczyciel wpadnie do szufladki „ma kłopoty z obsługą komputera i rzutnika". Ale czy to jest cała prawda? I czy on musi umieć ustawić rzutnik? To pokazuje, jak wąsko rozumiemy teraz kompetencje cyfrowe czy technologiczne.

> W zdalnej edukacji najważniejsze jest, żeby temat przebił nowinki techniczne.

Potencjałem, który nie został wykorzystany, były lekcje TVP.

– Ale czy program telewizyjny w tradycyjnej formule mógł być pomocny? Jeśli w TVP była np. lekcja historii dla klasy piątej o godz. 9.40, to o tej porze większość dzieci klas piątych siedziała przy komputerach i miała inne zajęcia. Przygotowanie programów edukacyjnych choćby w technologii VOD lepiej by dotarło do zainteresowanych. Nauczyciele mogliby wplatać w prowadzone lekcje online krótkie programy, „pigułki wiedzy", w każdym dogodnym momencie.

Podsumujmy zatem tę zdalną edukację: technicznie poszła, mentalnie i psychologicznie jeszcze nie jest zbadana.

– Temu, jak się odbiła na psychice uczniów i nauczycieli, trzeba się przyjrzeć w nowym roku szkolnym. Emocje dzieci odciętych od rówieśników i od swoich przyzwyczajeń to bodaj najważniejszy i najbardziej interesujący aspekt nauki zdalnej. Zazwyczaj ten, kto w taki sposób się uczy, sam sobie wybiera temat kursu, zakres nauki i jej czas. Tu nie było wyboru. To zawsze obciąża psychicznie.

Beata Igielska

eprasa.pl 91f094e227

Czy dla prezesa KGHM Polska Miedź 2,5 tys. zł stanowiłoby bardzo dużą pomoc?

Kiedy dowiaduję się o zarobkach prezesów spółek skarbu państwa, w tym prezesa KGHM – a wynoszą one 1,213 mln zł rocznie – wracam myślą do twórcy Polskiej Miedzi dr. Tadeusza Zastawnika i sytuacji, jaka miała miejsce w 1997 r. w związku z jego honorarium za recenzję do albumu „Kronika Polskiej Miedzi". Przytaczam to wydarzenie, aby pokazać przepaść, jaka powstała w pozycji materialnej znaczących dla gospodarki postaci z okresu budowy podstaw Polskiej Miedzi i niektórych dzisiejszych zarządców.

Dr Tadeusz Zastawnik był dyrektorem generalnym ówczesnego Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie w latach 1963-1975 i to jemu zawdzięczamy stworzenie przedsiębiorstwa, które każdy urzędujący premier nazywa perłą w koronie. W dowód swoich zasług w 1975 r. dr Zastawnik został przesunięty do Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego na nic nieznaczące stanowisko, bez możliwości działania, a nawet wyjazdu do Lubina.

W 1997 r. pod moją redakcją został wydany album „Kronika Polskiej Miedzi". Inicjatywa wyszła z Zakładu Geologii Stosowanej w CBiPM Cuprum we Wrocławiu i została zaakceptowana przez ówczesnego prezesa KGHM dr. Stanisława Siewierskiego. Rok później ukazało się wydanie angielskie. Była to praca przeznaczona na użytek wewnętrzny, bo w tym czasie Polska Miedź budziła duże zainteresowanie i niezręcznie było prezentować gościom, głównie z zagranicy, osiągnięcia tak dużej firmy za pomocą pożółkłych tomów dokumentacji. „Kronika" była pierwszą, wszechstronną publikacją ukazującą drogę, jaką przebył przemysł miedziowy od chwili odtopienia i uruchomienia poniemieckich kopalń rud miedzi w rejonie Bolesławca i Złotoryi do zakończonych sukcesem poszukiwań nowych złóż przez dr. Jana Wyrzykowskiego i budowy nowego zagłębia miedziowego.

Po ukazaniu się tej publikacji zwróciłem się do dr. Tadeusza Zastawnika z prośbą o jego zdanie na ten temat i recenzję „Kroniki", oferując ze środków Cuprum honorarium w wysokości 2,5 tys. zł. W odpowiedzi otrzymałem list, w którym dziękuje mi on za przesłane pieniądze – podkreślam, chodzi o 2,5 tys. zł. Dr Zastawnik pisze w nim: „Chcę Panu podziękować za zlecenie, które z Cuprum otrzymałem. Była to dla mnie bardzo duża pomoc. Należność otrzymałem z Cuprum Banku".

Do tej pory zastanawiam się, jak to możliwe, że dla człowieka, który w 1951 r. odtapiał kopalnię Konrad, a potem przez 12 lat kierował budową od podstaw kopalń Lubin, Polkowice i Rudna, kładąc podwaliny znanego w świecie koncernu górniczego, ważna była w budżecie kwota 2,5 tys. zł. Zaznaczam, że dr Zastawnik był w latach 1986-1990 dyrektorem CBiPM Cuprum, a jego zatrudnienie związane było m.in. z wydłużeniem mu stażu pracy i podniesieniem emerytury. W tej sprawie wielka była zasługa dyrektora generalnego KGHM Mirosława Pawlaka, który powołał dr. Zastawnika na to stanowisko. Dzisiejsi prezesi moszczą się w wygodnych fotelach, z wysokimi gratyfikacjami, i nie sądzę, aby dla obecnego prezesa KGHM 2,5 tys. zł miało jakiekolwiek znaczenie i by jeszcze trudził się rozliczaniem PIT, jak to skrupulatnie stara się wykonać dr Zastawnik. A jeśli prezesi są odwoływani, otrzymują wysokie odprawy.

Piotr Kijewski, Mokronos Dolny

Totalitaryzm partyjny

Waldemar Kuczyński pięknie zobrazował wyłanianie się państwa autorytarnego w Polsce za rządów PiS, ale z jednym nie mogę się zgodzić. Ten autorytaryzm wyłania się nie tylko z PiS, trzeba to rozszerzyć na PO-PiS. Pan Kuczyński mówi: „Piąty rok zanika Rzeczpospolita, czyli republika. Bo republika to państwo, którego najwyższą władzą, prawem jest konstytucja". Już wcześniej rządzący ignorowali konstytucję, tyle że nie tak ordynarnie. Art. 4 konstytucji stanowi: „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu. Naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio". Ja to rozumiem tak, że to naród powinien decydować, co powierzyć przedstawicielom, a o czym ma decydować samodzielnie. Niestety, totalitaryzm partyjny przeszedł przez transformację ustrojową i zagnieździł się w III RP. To nie naród decydował o najistotniejszych sprawach, decydowały o nich ścisłe kierownictwa partii, które wciskały do Sejmu swoich przedstawicieli. To jest właśnie istota totalitaryzmu: w Sejmie są przedstawiciele nie narodu, ale szefostwa partii, które wpisały ich na listy wyborcze. Społeczeństwo nie może w okręgu zgłaszać kandydatów na listę lokalną. Konstytucja co prawda w art. 104 stanowi, że „posłowie są przedstawicielami narodu", ale zaraz w tym samym ustępie dodaje, że „nie wiążą ich instrukcje wyborców". Jeśli mandatariusz nie musi słuchać wyborców w okręgu, z którego ma mandat, i nie jest od nich uzależniony, to nie jest przedstawicielem tych wyborców.

Jarosław Kaczyński to maniak władzy, który niszczy Polskę

Józef Brzozowski

Na wieki wieków w IPN

Sytuacja pana Adama z tekstu „Na wieki wieków w IPN" (PRZEGLĄD nr 25) przypomina mi trochę paradoksalną sytuację bohatera „Paragrafu 22" – Yossariana. Paragraf ten pozwalał odsunąć żołnierza od służby (lotów bojowych) ze względu na jego szaleństwo, lecz aby skorzystać z tego przepisu, żołnierz musiał napisać wniosek. A skoro występował o uznanie go za niezrównoważonego psychicznie i zwolnienie z paragrafu 22, to oznaczało, że myśli logicznie, potrafi o siebie zadbać i chory psychicznie nie jest. Pan Adam został uznany przez IPN za funkcjonariusza SB, ponieważ został wpisany do katalogu IPN przez IPN. Pomimo że funkcjonariuszem SB nie był (co zresztą orzekły sądy), nie może zostać przez IPN usunięty z katalogu IPN, gdyż zgodnie z katalogiem IPN jest on funkcjonariuszem SB. Straszne jest to, że człowiek w zetknięciu z opresyjnym państwem pozostaje bezradny.

Marzena Kaczmarek

eprasa.pl 91f094e227

Rozmawia Aleksandra Rybka

Czytam w kółko to samo

Nie bylibyśmy razem, gdybyśmy tak nie rozmawiali, a nie rozmawialibyśmy tak, gdybyśmy nie przeczytali tego wszystkiego

LUCYNA KIRWIL – doktor psychologii, współautorka wraz z mężem książki „Pokochawszy".

JERZY BRALCZYK – językoznawca, profesor nauk humanistycznych, specjalista w zakresie języka mediów, reklamy i polityki. Autor wielu publikacji z dziedziny językoznawstwa.

(…) Pana biblioteka słynie ze wspaniałych zbiorów wielu egzemplarzy „Pana Tadeusza". Jakie ma pan najcenniejsze egzemplarze? Gdzie pan je wyszukuje?

JERZY BRALCZYK: – Ta pasja zaczęła się wiele lat temu. Najpierw zbierałem ilustrowane wydania, czasem, jeśli nie mogłem kupić samego „Pana Tadeusza", kupowałem cały komplet dzieł i takich kompletów mam trzy czy cztery, ale generalnie cała reszta to jedna książka. Udało mi się zebrać bardzo oryginalne wydania, łącznie np. z miniaturami, w sumie ok. 300 egzemplarzy. Wydaje mi się, że mam je wszystkie, oprócz tych najnowszych, które powielają wcześniejsze edycje. Wyszukuję je głównie w antykwariatach, ale oczywiście jeśli dowiem się o jakimś wydaniu, to szukam w internecie. Czasem w tych poszukiwaniach pomaga mi syn, czasem przyjaciele spotkają się z jakimś wydaniem „Pana Tadeusza" i od razu sprawdzają, czy je mam. Dostaję je również od nieznajomych, którzy wiedzą o mojej pasji i przysyłają egzemplarze albo piszą o konkretnym wydaniu. Jest to dla mnie szczególnie cenne, bo świadczy o pewnej życzliwości i dobrym postrzeganiu mojej osoby. Posiadam również wiele nagrań, łącznie z płytami winylowymi, filmy, a nawet scenariusz od Andrzeja Wajdy. Generalnie staram się mieć wszystko, co wiąże się z „Panem Tadeuszem".

Poza tym ciągle jeszcze kupuję ciekawsze wydania mów, przemówień, kazań i instrukcji dotyczących przemawiania. To taka moja druga pasja, trzecią zaś są słowniki. Większość mam, może oprócz XVI-wiecznego słownika Jana Mączyńskiego, bo on jest niedostępny. Zbieram oryginały, choć nie mogę powiedzieć, żebym o nie szczególnie dbał. Często już się rozpadają, ale wciąż z nich korzystam. Tutaj jest jeden z moich ulubionych z końca XIX w., mało znany słownik synonimów bp. Krasińskiego. W podobnym stanie są inne moje ulubione książki, gdyż cały czas je czytam. (…)

Dzisiaj czyta pan gazety?

– Z tygodników „Przegląd" i „Politykę". Okazjonalnie „Newsweek", „Tygodnik Powszechny". Co tydzień „Plus Minus", dodatek do „Rzeczpospolitej", a codziennie „Gazetę Wyborczą". Mam wykupiony abonament internetowy.

Księgozbiór pana i żony stanowią dwa zupełnie osobne zbiory?

– Tak, żona jest psychologiem i rzadko korzystam z jej zbioru. Ona z mojego jeszcze rzadziej. Również dla przyjemności czytamy zupełnie inne rzeczy. Żona nie lubi wracać do znanych już książek, woli nowości. Często jest to literatura współczesna. Ja nie trzymam ręki na pulsie, robi to moja żona. Ja, jak już mówiłem, czytam w kółko to samo, bo przecież nikt lepiej od Tołstoja czy Flauberta nie będzie pisał. Czasem sięgam po książki w oryginale.

W jakich językach pan czyta?

– Najczęściej po rosyjsku. Czasem mi się zdarzy po szwedzku, kiedyś tam mieszkałem. Po niemiecku czytałem poezję. Niestety, już nie sięgam po literaturę piękną po angielsku, w przeciwieństwie do naukowej, po którą sięgnąć musiałem. Nie znajduję smaku w tym języku. W oryginale czytałem „Przygody dobrego wojaka Szwejka", jedną z moich ulubionych lektur. Dobrze jest go przeczytać po czesku, gdy się zna na pamięć po polsku.

Czy ma pan białe kruki, kurioza?

– Kuriozalne są niektóre wydania „Pana Tadeusza", np. ręcznie pisane, czy libretta do opery „Pan Tadeusz". To są dosyć osobliwe egzemplarze. Dużo osobliwości jest w starych pozycjach dotyczących języka polskiego. Autor jednej z takich książek twierdzi, że język polski jest prajęzykiem wszystkich pozostałych, i udowadnia, że język angielski zapożycza wszystko z polskiego. Bzdura oczywiście, ale interesująca. Mam książki wydane w bardzo specyficzny sposób, trochę dziwactw, w tym słownikowych. Zbieram wszystkie słowniki i dlatego też czasem takie są. Wśród takich dziwactw znajduje się choćby portret Adama Mickiewicza, ale napisany „Panem Tadeuszem", czyli składa się z samych cytatów. (…)

eprasa.pl 91f094e227

Czy „Lalka" jest dla pana szczególną książką?

– „Lalkę" czytałem wielokrotnie i ogromne fragmenty znam na pamięć. Ostatnio miałem okazję bardzo dużo rozmawiać na temat „Lalki" z moim najlepszym przyjacielem, który zajmuje się literaturą pozytywistyczną. Jego syn wystawiał tę powieść w Krakowie, on pisał przedmowę i rozmawialiśmy o jej drobnych szczegółach. Bardzo to sobie cenię. Tak jak z synem rozmawiam o „Trylogii", tak z przyjacielem o „Lalce". Ta książka jest dla mnie absolutną klasyką, chociaż nie znam wszystkich utworów Prusa, jak choćby „Dzieci". Prus to jest „Lalka" i długo nic. Czytałem dużo Stefana Żeromskiego, ale go nie lubię ze względu na język – jest dla mnie nie do zaakceptowania.

Są też pisarze starzy, do których wciąż zaglądam. Mam kilka wydań Ignacego Krasickiego – świetnego, również językowo, a także często przeze mnie czytanego Jana Kochanowskiego. Bardzo to stare, a niebywale współczesne. Dziś nie doceniamy, że dawno temu mieliśmy tych dwóch pisarzy. Oczywiście inni też byli dobrzy, jak Stanisław Trembecki. Juliuszem Słowackim zachwycałem się jako dziecko. Kiedyś chorowałem i leżąc trzy miesiące w łóżku, przeczytałem całego Słowackiego. (…)

Co pan czyta obecnie?

– Teraz przy jedzeniu kończę akurat „Potop". W toalecie czytam „Martwe dusze", ale już jest bal, więc zaraz kończę. Niedawno przeczytałem książkę o Lwowie Grzegorza Gaudena („Lwów – kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918"). To bardzo rzetelna pozycja. Tutaj leży zaczęta nowa powieść Jacka Dehnela „Ale z naszymi umarłymi". W Warszawie czytam kupiony niedawno piąty tom zbiorowego wydania Juliana Tuwima „Pisma prozą". Tam są m.in. szkice dotyczące tłumaczeń, ale nie tylko, również rzeczy, które nie były potem drukowane, bo uważano je za mniej interesujące. Czytam też „Antologię polskiej poezji". Zdarza mi się sięgać po polskich współczesnych pisarzy, których cenię, i to jest wspomniany Dehnel, ale też Krzysztof Varga, Szczepan Twardoch i Olga Tokarczuk. Lubię też książki Tomasza Piątka i jego powieści *fantasy*. Przeczytałem parę pozycji Krajewskiego i jednego Czubaja, ale już nie czytuję współczesnych kryminałów, co nie znaczy, że ich nie lubię. Ciągle wracam do Agathy Christie. I jest jeszcze moja ulubiona pisarka, Patricia Highsmith. Przeczytałem wszystko, co ukazało się po polsku, tak jak Stephena Kinga. To jest obowiązek. Czytam właściwie pierwszego dnia po polskiej premierze. Nie są te nowe już tak dobre jak „Lśnienie" czy „Smętarz dla zwierzaków", ale czytam. (…)

•

Mąż wspominał, że pani również ma bogaty i wspaniały zbiór książek.

LUCYNA KIRWIL: – Tak, ale mój księgozbiór jest zawodowy. Tam są głównie pozycje z zakresu psychologii. Na początku naszego małżeństwa miałam bardzo dużo albumów ze sztuką, ale gdzieś się rozproszyły. (…)

Takich książek, które chciałam przeczytać, ale one już nie wróciły, jest wiele. Już nawet nie pamiętam tytułów, bo tyle lat minęło. Od jakiegoś czasu czytam literaturę kobiecą, to znaczy napisaną przez kobiety. Wcześniej nie sądziłam, że mnie zainteresuje, ale okazuje się, że ta percepcja świata, która jest w literaturze kobiecej, bardziej mi odpowiada niż ta drapieżna, którą widzę w literaturze klasycznej i w literaturze *unisex*, jeśli można tak powiedzieć. Po latach, ze względu na koleżeńskie układy, przyjaźnie, czytam różne rzeczy znajomych. (…)

W związku z moim zawodem, jeśli chciałam publikować, musiałam czytać literaturę obcojęzyczną. Czytanie po angielsku książek z zakresu psychologii, pełnych nowej terminologii, która po polsku nie istniała, a potem zastanawianie się i nadawanie temu znaczenia, a także czytanie prac studenckich na różnym poziomie zmiotło moje preferencje czytelnicze. Jak coś mi wpadło w ręce, to czytałam. Lubiłam opowiadania, bo było szybciej i nie traciłam wątku. Czytam jedną książkę, nie kilka jednocześnie. Niektórzy czytają tę dla rozrywki, tę na zaśnięcie, tę do śniadania, tę z miłości, np. do pani Bovary albo Anny Kareniny. (…)

Myślę sobie, że cała moja trwająca blisko 30 lat przygoda z literaturą fachową teraz ma inne przełożenie, bo wiele z tych książek już przetłumaczono, wiele terminów dostało polskie znaczenie. Teraz czytanie tego nie stanowi już tak wielkiego wysiłku, nie trzeba się przedzierać przez nieznane, a kiedyś poprzez lekturę wnikało się w całkowicie inny świat. Moja praca powodowała, że czytałam dużo mniej beletrystyki – byłam po prostu zmęczona. Robiłam również badania w projektach Komisji Europejskiej, dla mass mediów oraz Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, co wiązało się z czytaniem raportów po 200, 300 stron. Czasem musiałam przejrzeć cały, żeby znaleźć potrzebną mi stronę. W tamtym okresie stać mnie więc było jedynie na czytanie czasopism. Teraz mam więcej czasu i z przyjemnością czytam literaturę pisaną przez kobiety. Odkrywam w niej prawdziwy świat, w którym autorki widzą więcej. Przypomina mi ona wielką literaturę romantyczną, gdzie mężczyźni autorzy widzieli świat bardziej poetycko. (…)

Czytam po rosyjsku, czasem po szwedzku, po niemiecku czytałem poezję. W oryginale też „Przygody dobrego wojaka Szwejka".

Nie wyobrażam sobie, że bez doświadczenia czytania i wyobrażania sobie, co w tych słowach i w książkach jest, człowiek może być do końca uspołeczniony. Ćwiczenie funkcji wyobraźni i myślenie o tym, jak wyglądają relacje między ludźmi, a to daje nam właśnie książka, powoduje, że nie zamykamy się na widzenie tylko tego, co jest na ekranie czy obrazku. Książka pokazuje nam więcej możliwości.

Oczywiście to zależy od wielu czynników i od własnych doświadczeń, w tym zasobu słownictwa. Trzeba sobie, Jurku, uczciwie powiedzieć, że nie bylibyśmy razem, gdybyśmy nie rozmawiali tak, jak rozmawiamy, a nie rozmawialibyśmy tak, gdybyśmy nie przeczytali tego wszystkiego, co przeczytaliśmy.

J.B.: – Ładny wniosek. (…)

Fragmenty rozmowy z książki Aleksandry Rybki *Pokaż mi swoją bibliotekę*, Znak, Kraków 2020

FOT. FORUM

eprasa.pl 91f094e227

FESTIWAL

26. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

Letnie soboty na warszawskiej Starówce bez jazzu? Nie ma mowy, chociaż ta edycja – wiadomo – będzie się różnić od poprzednich. Przede wszystkim pomyślana została jako wyraz solidarności z rodzimą sceną jazzową i wsparcia dla niej w trudnym czasie ograniczenia życia kulturalnego. Dlatego tym razem wystąpią sami polscy wykonawcy. POLISH EDITION rozpocznie 4 lipca kwartet trębacza Piotra Schmidta hołdem dla

Tomasza Stańki. Potem Krzysztof Herdzin otworzy przed nami „Księgę Sekretów", Paweł Kaczmarczyk i Adam Bałdych interpretować będą muzykę legendarnego zespołu Weather Report, Krzysztof Ścierański zagra bardzo na temat – projekt „Pandemia", z Piotrem Baronem wspominać będziemy Zbigniewa Wodeckiego, a grupa EABS przywoła duchy słowiańszczyzny. Sierpień to również Michał Urbaniak, Marcin Wasilewski Trio & Adam Pierończyk, a na finał Leszek Możdżer.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 4 LIPCA-29 SIERPNIA, GODZ. 19

(ap)

NA DVD

PREMIUM COLLECTION: „PRZEMYTNIK", „SULLY", „15:17 DO PARYŻA", reż. Clint Eastwood, prod. USA

Clint Eastwood właśnie skończył 90 lat. Ale zamiast świętować, stanął na planie kolejnego filmu. Ostatnio kręci jeden za drugim, z różnym skutkiem. Jednak nawet słabszym obrazom nie można odmówić autorskiego sznytu, wciągającej historii i zaangażowania społecznego. Do sklepów trafił box, który powinien stanąć na półce każdego fana żywotnego staruszka. Składają się na niego „15:17 do Paryża" o udaremnionym ataku na francuski pociąg, „Sully" o pilocie, którego najpierw okrzyknięto bohaterem, gdy posadził uszkodzony samolot na wodzie, ratując życie 155 pasażerów, a potem obwiniono o awarię, i „Przemytnik" o 80-latku przewożącym narkotyki dla meksykańskiego kartelu. W każdym z nich dostajemy pełen goryczy obraz bohaterstwa, które obraca się przeciwko bohaterowi, co pokazuje ewolucję światopoglądu reżysera. Eastwood zaczynał przecież od grania nieskazitelnych moralnie kowbojów, których portretów nie kalała żadna rysa, a teraz przekonuje, że podział na herosów i złych to bujda. O tym m.in. mówi w dołączonych do filmów świetnych dokumentach z planu. *Artur Zaborski*

MIĘDZY OKŁADKAMI

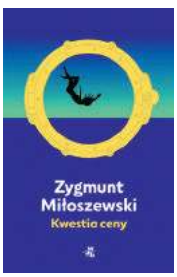

Zygmunt Miłoszewski

Kwestia ceny

W.A.B., Warszawa 2020

Ponad 500 stron, a jak człowiek zacznie, to nie ma siły przestać. Przygodowo-awanturnicza powieść geograficznie ciąga nas po całym świecie, a historycznie zahacza o czasy zsyłek na Syberię – i to tam wszystko się zaczyna. Na początku mamy mnóstwo czasu i okazji, żeby spokojnie przyjrzeć się bohaterom, polubić ich i podzielić na dobrych, złych i dziwnych. Potem następuje gwałtowne przyśpieszenie i przewrót w osądach. Wnioski są takie, że pandemia niejedno ma imię, Polacy zaś są wszędzie, a nawet jak ich nie ma, to i na środku oceanu znajdzie się ktoś, z kim można się dogadać, bo coś tam z polskiego liznął. Ta powieść nie udaje, że jest czymś innym niż pełnokrwistą rozrywką, więc bierzemy wszystko w wielki nawias, by doświadczyć emocji jak kiedyś przy lekturze „Dzieci kapitana Granta" albo „Tomków" (tak, tytuły zdradzają wiek czytającego). I podobnie jak w przypadku „Bezcennego" to bardzo filmowa książka – na szczęście przy naszych możliwościach nie do zekranizowania, więc nikt jej nie zepsuje.

Agata Gogołkiewicz

Salman Rushdie

Quichotte

Rebis, Poznań 2020

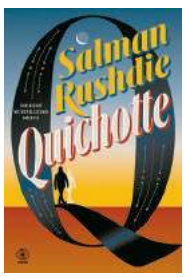

Długo wyczekiwana powieść autora „Szatańskich wersetów" to piekielnie interesująca lektura. Rushdie w swoim stylu – jak na stylistę przystało – żongluje cytatami i kontekstami, miesza wysokie z niskim. To wariacja na temat słynnej powieści Cervantesa. Tym razem błędnym, czy raczej obłędnym, rycerzem jest starzejący się komiwojażer hinduskiego pochodzenia. Zamiast na rumaku porusza się wiekowym dieslem, ukochaną Dulcyneą jest gwiazda TV, a towarzyszem wagabundy, miast Sancho Pansy, wyimaginowany syn z… przyszłego małżeństwa. Jakby tego było mało, historia hinduskiego Quichotte'a na amerykańskiej ziemi jest wymysłem kolejnej postaci. Szkatułkowa powieść Rushdiego to sprawnie napisana satyra na amerykański sen, niezmąconą wiarę w indywidualizm i czary masowych mediów. Ta postmodernistyczna sklejka literacka karmi zarówno serce, jak i intelekt.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 91f094e227

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pojedynek na memy

Najpewniej, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, a ściślej – jeśli wierzyć kompetencjom badaczy opinii publicznej – dzisiejszego ranka obudziliśmy się między turami. Dwa tury pozostały na placu boju i będą musiały się trykać, dym z nozdrzy, kurz spod kopyt, bluzgi z trybun – skończyły się mizdrzostwa Polski (każdy się mizdrzył do „wszystkich Polaków"; ile wymizdrzył, to jego), teraz wkraczamy w etap brudnej kampanii. Nie wystarczy już przekonywać, że się uwielbia pierogi tudzież roladę (broń boże owoce obcych mórz). Nadszedł czas wujków z Wehrmachtu, choć po kilkunastu latach spodziewałbym się raczej zwielokrotnienia podłości – Jacek Kurski w ostatnich latach tak wywindował poziom czarnego PR, że aby osiągnąć piorunujący efekt, musiałby wyciągnąć z kapelusza coś doprawdy wstrząsającego. Andrzej Duda może się okazać cudem wydobytym i przedwcześnie dojrzałym dzieckiem ciężarnej zakonnicy, potrąconej tuż przed rozwiązaniem na pasach przez Rafała Trzaskowskiego.

Żeby nie zostać pomówionym o symetryzm, uściślę: dla mnie wybór jest jasny, to nawet nie tyle walka dobra ze złem, ile kwestia smaku. Polska najeżonego bęcwała staje naprzeciw tej, którą chce otoczyć opieką spolegliwy inteligent. Problem polega na tym, że w drugiej turze nie wystarczy sztuka uników – ale jak podjąć walkę na błotnistym gruncie i zarazem się nie utytłać? Wierzę, że mój kandydat zmyślnie z tego wybrnie. Być może znowu o wyborze głowy państwa zadecyduje nie patriotyczna napinka, ale pojedynek na miny? Przepraszam, na memy.

Na dziś w memokratycznej konkurencji Duda zbiera baty – jako że oblicze ma czerstwe i nad kodem mimicznym nijak zapanować nie potrafi, jest żarliwym dostarczycielem tzw. lolkontentu. Duda zatroskany o powodzian miał zrobić minę frasobliwą, a wygląda jak sfrustrowany grzybiarz, wypatrujący – no właśnie, czego? Dziurki w uszczelce? Winy Tuska? Kamienia filozoficznego? Duda lansujący się u boku Trumpa miał suflowane: „Andrzej, więcej godności na obliczu", ale i tak nie dał rady powstrzymać uśmiechu nierozgarniętego sztubaka pochwalonego na forum klasy przez wychowawczynię. Duda się sroży – wygląda niepoważnie, Duda opowiada kawały – nikt ich nie rozumie, Duda wykrzykuje groźby – sam sprawia wrażenie głównego zagrożenia, Duda uspokaja – wszyscy się trwożą. Jedynie kiedy się modli na kolanach, wygląda naturalnie – i oby w tej pozycji zastygł na dobre także po 12 lipca. Skoro ani prezydent USA, ani prezes RP nie wystrzelili słupków poparcia, pozostaje zwycięstwo wymodlić. (Skądinąd ciekaw jestem, co takiego rozmodlony Duda może Bogu obiecywać w zamian za pomoc w kampanii. Nie chcę nawet sobie tego wyobrażać, mój zdeprawowany umysł ateusza jest na to za ciasny).

Kaczyński pośpieszył na pomoc w swoim stylu, to jest w ogóle fenomen gramatyczny – on właściwie nigdy nie używa liczby pojedynczej w pierwszej osobie. Rozumiem, że bliźniaki jednojajowe mogą mieć tę przypadłość, ale tu wietrzę coś więcej niż piętno biologii. „Musimy wygrać, jesteśmy silni, zreformowaliśmy kraj" – rozumiem, że to wiecowa retoryka wodza, który socjotechnicznie tworzy za sobą widmowy tłum, nawet jeśli wyraża najbardziej odosobnioną ideę. Nie mogę jednak się oprzeć wrażeniu, że nawet po spożyciu swojego ulubionego bigosu z kiełbasą wyborczą Kaczyński klepie się po brzuszku, mówiąc: „Ale się najedliśmy…".

Wybory prezydenckie teoretycznie powinny być plebiscytem na najlepszy program, ale w praktyce ostatnich lat przybrały charakter rankingu mister Polonia.

Wybory prezydenckie powinny być plebiscytem na najlepszy program, w praktyce przybrały charakter rankingu mister Polonia.

Komorowski zaczął pikować, kiedy po Tej ziemi rozsiał się z werwą dmuchawca fakt społeczny o przystojności Andrzeja Dudy. Teraz nie będzie tak łatwo. Rafałowi Trzaskowskiemu trudno odmówić co najmniej przyjemnej dla oka powierzchowności, w dodatku przyprawia ją dwiema cechami, które często stanowią języczek u wagi na rynku płci: inteligencją i poczuciem humoru. O tym, że „oni" nie mają poczucia humoru, przekonuje nas każda pisowska próba satyryczna, każda karykatura Krauzego, każdy kuplecik Wolskiego, każde ziemniakiewiczowskie ćwierknięcie na Twitterze. Nie masz poczucia humoru, nie jesteś *sexy*, więc wypad, Polska zasługuje na seksownego prezydenta.

Cóż zatem pozostaje kaczystom, żeby reelekcję swojej marionetki wywalczyć w ramach wyznaczonych przez demokratyczne zasady? Może właśnie już nic ponad ogłoszenie dekretu, że nie czas na żarty. Ani na demokrację.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 91f094e227

Szwecja nie zawsze była rajem na ziemi

Szwedzi powinni się uczyć od imigrantów. Czego? Życia! Oni nie żyją naprawdę!

Wiktoria Michałkiewicz

Jęzory fal były czarne i wysokie na 6 m. Kuter rybacki unosił się na spienionych grzbietach, żeby za chwilę runąć w ruchomą przepaść. (…) Przy każdym uderzeniu o taflę wody powracała jedna myśl: „Umrzemy".

Łódź miała dwa pokłady – na jednym wszyscy uchodźcy przesuwali się bez przerwy to na dziób, to na rufę, starając się równoważyć nachylenie kutra. Na drugim były koje tak małe, że siła uderzeń fal wbijała je w ściany.

– Myśleliśmy, że jeżeli zostaniemy na pokładzie z innymi, nasze ciała wypłyną na powierzchnię i znajdzie je policja. Zidentyfikują nas, powiedzą rodzicom. Więc postanowiliśmy zostać w kajucie – dzięki temu, gdy statek zatonie, morze pochłonie ciała i nikt się o tym nie dowie. Po co sprawiać rodzinie jeszcze więcej przykrości?

Strasznie głupio byłoby umrzeć teraz, kiedy już tyle przeżyli.

•

Arman: – Mieszkałem w Iranie z całą rodziną. Rodzynek wśród samych sióstr. Nasze życie było zwyczajne. Nie byliśmy ani bogaci, ani biedni, niczego nam nie brakowało, ale też nie potrzebowaliśmy zbyt wiele. Chodziłem do szkoły, ale głównie pomagałem ojcu w warsztacie samochodowym.

Miałem marzenie: przyjechać do Europy, zacząć naprawdę żyć! Część rodziny wyjechała z Iranu na początku lat 80., tuż po rewolucji. Miałem rodzinę nie tylko tu, w Szwecji, ale też w Szwajcarii, Austrii, w Niemczech. Bracia wysyłali nam filmy, wiedziałem, że tam, w Europie, jest wolność, muzyka, dyskoteki! Byłem 24-letnim chłopakiem, który chciał korzystać z życia.

„Wyślij mnie do Europy!", powiedziałem pewnego razu do ojca i na wszelki wypadek powtórzyłem to jeszcze trzy razy.

W końcu się zgodził. Wtedy dopiero zaczęła się zabawa. Młodemu, nieżonatemu chłopakowi ciężko dostać wizę. Chyba że ma się kontakty i pieniądze. Tak właśnie rozpoczęła się moja podróż, 19 stycznia 2001 r. Wyjazd do Szwecji kosztował 15 tys. dol. Ojciec załatwił wszystkie papiery, miałem w paszporcie wizę na Ukrainę i nowy zawód – inżynier. Mieliśmy z kolegą udawać, że jedziemy na targi w Kijowie. Cóż z tego, że był fryzjerem? I to całkiem niezłym, trzeba przyznać. Ja byłem mechanikiem, też dobrym w swoim fachu.

Kiedy wylądowaliśmy, szedłem za nim w kolejce do okienka paszportowego. Serce biło jak oszalałe.

„Cel przyjazdu?", pytają go po angielsku.

„Barber", odpowiedział tamten, bo „fryzjer" to jedyne angielskie słowo, które znał.

„Dlaczego w takim razie w dokumentach jest napisane – inżynier?", zdziwił się celnik, zapraszając go na stronę.

„Arman, Arman!", zdążył jeszcze zawołać, a celnik uśmiechnął się od ucha do ucha, zgarniając też mnie.

Nic nie rozumieliśmy, dopóki tłumacz nie przekazał nam decyzji: nie wjedziemy na Ukrainę, wracamy do Iranu. To chyba żarty?! Pożegnaliśmy już wszystkich znajomych. „Jedziemy do Europy!", tak im mówiliśmy. (…)

Byliśmy na lotnisku trzy doby, dostaliśmy tam pokój. Skontaktowaliśmy się z ojcem, który przekazał, że mamy polecieć do Istambułu, tam nie trzeba wizy. Wylądowaliśmy wieczorem, o godz. 11, wzięliśmy taksówkę do hotelu – okazało się, że kierowca zabrał nas do pałacu, za 120 dol. za osobę za noc. Musieliśmy dumnie wyglądać po tych dniach na ukraińskim lotnisku. Dzwonię do ojca: „Strasznie tu drogo!". Każe iść do innego hotelu, gdzie pokój kosztował 15 dol. I tak mieszkaliśmy miesiąc w Istambule, aż do spotkania z przemytnikami. „Macie pieniądze?", pyta przemytnik, bo bez pieniędzy nie znaczymy nic. Zapłaciliśmy.

Jedziemy! Nareszcie, do Włoch! Wsiądziemy na jeden z tych wielkich statków z widokiem na ocean, tak myśleliśmy. Wjedziemy do portu jak królowie! Tego dnia zebrało się mnóstwo ludzi. Mieliśmy jechać z Istambułu do Izmiru, ale za pierwszym razem zawrócił nas patrol policji. W końcu zapakowali nas do sześciu autobusów. Jechaliśmy kolumną, jeden za drugim, z wyłączonymi światłami. W Izmirze czekały na nas ciężarówki. Zapakowali nas tam, mieliśmy leżeć pod kocami. Kiedy się zatrzymaliśmy, słychać było tylko krzyki: „Biegnij, biegnij!". I szum fal.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem celników z bronią automatyczną. Gdyby nie byli przekupieni, pewnie by nas wszystkich pozabijali. A ludzi było jak mrówek: z Iraku, Pakistanu, Syrii, Afganistanu. Wszyscy czekali na statek, ale morze było czarne jak smoła. W końcu ktoś krzyknął: „Statek nadpływa!".

Jaki statek? – pomyślałem, kiedy z mroku wyłonił się warkoczący kuter rybacki. Jak mamy tam wszyscy się zmieścić? (…) Z nami płaczące dzieci, kobieta w ciąży, którą jakoś wciągamy na pokład. Jakimś cudem wszyscy się wgramolili. Ściskamy się jak szczury na pokładzie, grzejąc ciało przy ciele.

Rasa, ideologia, kolor skóry – jeżeli tak na to spojrzeć, to w Iranie jesteśmy największymi rasistami.

eprasa.pl 91f094e227

Szwedzi są przerażeni, nawet sobą nawzajem. Każdy siedzi sam, nikt nie patrzy na drugą osobę.

Na falach buja niemiłosiernie. Nie mija 15 minut i wszyscy zaczynają wymiotować. Puszczają pawie dalej, niż widzą, jeden na drugiego. I tak płyniemy pięć dni, we własnych wymiocinach i stęchłym pocie. Większość czasu nie możemy wyjść z kabiny, bo nikt nie może nas zobaczyć. Ale i tak nie ma na co patrzeć – obraz nędzy i rozpaczy. Wszyscy biali jak papier, na skórze z każdym dniem przybywa nowa zastygająca w skorupę warstewka soli. Moja skórzana kurtka, którą brat przysłał ze Szwecji, jest jak posypana świeżym śniegiem.

Kiedy raz na jakiś czas wyjdziemy spod pokładu, widok jest ten sam – morze. Przestrzeń nigdy się nie kończy, lądu ani śladu. W końcu jakieś światła, chyba statek: „Pomocy!", wyrywa się z gardła. „Cisza!", bezgłośnie wrzeszczy kapitan.

W takich warunkach dopłynęliśmy na Sycylię.

Na nasze powitanie wyjechał chyba cały garnizon: helikoptery, łodzie, policyjne motorówki. Skąd oni wszyscy się wzięli? – zastanawialiśmy się. Przywitanie było tak huczne, bo byliśmy pierwszą łodzią z uchodźcami, która dopłynęła do Włoch od sześciu miesięcy. Wcześniej jedna łódź zatonęła, zginęło jakieś 300-400 osób. Nikt nie wie dokładnie, ilu ich było, i nikt się nie dowie – anonimowa masa, której zachciało się szukać szczęścia za morzem.

Ludzie zaczęli rzucać się do wody i płynąć w stronę brzegu. Ja zostałem na pokładzie. Wokół nas skakały delfiny. To było jak dobry omen. Przysięgam, że to prawda!

Udało się! Jesteśmy w Europie! Żyjemy!

•

„Muszę jechać do Szwecji!", odpowiadałem każdemu, kto pytał o dalsze plany. Byłem w obozie dla uchodźców w Crotone, gdzie spędziłem następne pół miesiąca. Mówiłem to też Brunelli, Włoszce, którą tam poznałem. Chciała, żebym został.

„Możesz pracować jako tłumacz, nauczysz się włoskiego", mówiła.

Znałem trzy języki: perski, arabski i kurdyjski. Miałem kontakty w całym obozie. Byli tam ludzie z różnych krajów, a ja tłumaczyłem ich rozmowy. I trenowałem taekwondo – wyjeżdżając z Iranu, byłem w świetnej formie. Pewnego dnia wybuchła kłótnia między pakistańskimi uchodźcami a policjantami. Rozdzieliłem ich. W trakcie szamotaniny na ziemię spadł złoty łańcuszek, który jeden z policjantów miał na szyi – podniosłem go i podałem mu. Ucieszył się tak bardzo, że w zamian kupił nam chipsy, colę i czekoladę. (…)

A w końcu musiałem jechać dalej, do Szwecji, bo tam mieszkał mój brat.

Z Crotone wyjechałem pociągiem do Rzymu. Byliśmy tam kilka dni z kolegami, których poznałem w obozie. Z trzema z nich pojechałem dalej do Mediolanu. Spaliśmy po parkach. To była przygoda. We Włoszech zobaczyłem po raz pierwszy czarnoskórego człowieka. (…) W Iranie ciemna skóra kojarzyła się z niższą warstwą społeczną, z niewolnikami. To była moja pierwsza lekcja nowej rzeczywistości.

Następnym przystankiem był Turyn w północnych Włoszech. Na dworcu czekała na nas taksówka. Miałem walizkę z ubraniami, które dostaliśmy w obozie. Przemytnicy, którzy mieli nas przepchnąć dalej do Monachium, powiedzieli, żebyśmy wszystko zostawili. Kazali nam kupić ładne ubrania w europejskim stylu. Okazało się, że w Niemczech metoda wypatrywania uchodźców polega na kodzie ubrania: jeżeli policjanci zauważą kogoś w zagranicznych ubraniach, z torbą, łapią natychmiast. Kupiłem jeansy, koszulę, buty i bluzę z GAP. Zostawiłem sobie tylko skórzaną kurtkę, którą brat przysłał mi ze Szwecji. Nic więcej.

Do pociągu wsiedli z nami dwaj mężczyźni, których nie znaliśmy. Nie posłuchali rady przemytników. Na dworcu w Monachium zobaczyliśmy ich w radiowozie.

Kolejne kilka dni spędziliśmy w obozie dla uchodźców w Monachium. Nie od razu biorą odciski palców, na początku tylko robią zdjęcie – a to nie problem. Spotkanie na wywiad i zebranie odcisków jest dopiero po kilku dniach. W kolejny czwartek, kiedy miałem mieć spotkanie, wyszliśmy stamtąd wcześnie rano. Znajomy kupił bilet do Hamburga, tam czekały

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 91f094e227

na nas dwie osoby. Kiedy jechaliśmy główną ulicą tuż przy dworcu, zobaczyliśmy kolorowe neony. Spędziliśmy kilka kolejnych dni w hotelu. W końcu podjechała po nas ciężarówka, a w niej dwóch mężczyzn. Kazali nam położyć się jeden przy drugim, jak sardynki – głowa jednego w nogach drugiego. Między nami koce, a na całość – przykrycie z kartonu. Tak dojechaliśmy do Odense.

W Danii czekał mój brat. Ależ się ucieszyłem na jego widok! Pojechaliśmy dalej do Kopenhagi, stamtąd do Malmö – i tak znalazłem się w Szwecji. To był kwiecień – podróż zajęła jakieś dwa miesiące.

Z Malmö ruszyłem do Sztokholmu, zgłosiłem się do Urzędu Migracyjnego i po 11 miesiącach dostałem pozwolenie na pobyt w Szwecji.

O Szwecji nie wiedziałem nic. A o Europie tylko jedno – że są tu dyskoteki. Kiedy mieszkałem w Iranie, uwielbiałem blondynki. Oglądałem filmy z błękitnookimi aktorkami. Ale kiedy już tu przyjechałem, nie związałem się z żadną z nich. Może na jedną noc, przynajmniej przekonałem się, jakie są zimne. Zimne jak lód! Żadnych emocji. To było na samym początku, kiedy znajomy powiedział do mnie: „Arman, musisz nauczyć się języka! Zacznij spotykać się z dziewczynami. Zaproś którąś na kolację albo na papierosa".

No i spróbowałem. Raz i wystarczy.

Ale w jednym mieli rację – język jest najważniejszą barierą. Moi kuzyni nie mieli tego problemu, mieli może 14-15 lat. Po prostu weszli w system. Mówili, że w Szwecji jest w porządku, może trochę zimno. Kiedy człowiek jest młody, nie myśli tyle. Nie ma strachu.

Ja z kolei zrealizowałem marzenie i chodziłem na dyskoteki. Ale nie podobały mi się wcale blondynki, tylko Iranki. Chodziłem na randki, imprezowałem, zacząłem trenować taekwondo w Tensta na przedmieściach Sztokholmu, gdzie mieszkałem. Znałem sąsiadów: część przyjechała tak jak my, z Iranu, inni z Syrii. „Hej, Arman!", wołali do mnie na ulicy. Zacząłem pracować w sklepie z warzywami i owocami w okolicy, nie chciałem siedzieć bezczynnie w domu. Życie było piękne!

Powiem ci prawdę – w pierwszym momencie nie myśli się o kraju, do którego się przyjechało. Niby w innym miejscu, ale nadal żyje się w kraju pochodzenia. Szuka się kontaktu z rodakami. Szwecja jest wtedy miejscem bez większego znaczenia, człowiek wita się z sąsiadami. To może zająć nawet kilka lat, zanim to się zmienia. Kiedy czas mija, wtedy i myśli o miejscu, z którego się pochodzi, w końcu zaczynają wyparowywać.

Dla mnie Szwecja zaczęła się, kiedy zacząłem pracować ze Szwedami. Byłem ochroniarzem w szkole. Nie znałem języka bardzo dobrze, ale byłem

Mówi się, że ludzie w Skandynawii są najszczęśliwsi na świecie, a jest wprost przeciwnie.

eprasa.pl 91f094e227

w stanie się porozumieć. Poznawałem społeczeństwo. Nadal byłem nieco nieśmiały – tak już jest, jeżeli nie jesteś w stanie powiedzieć wszystkiego, co przychodzi na myśl – ale dawałem radę. Może miałem szczęście: cały personel był dla mnie miły, dzieci przesłodkie, a rektor nazywał mnie najlepszym ochroniarzem na świecie. Wreszcie współpracownicy zaczęli mnie zapraszać na wspólne świętowanie, np. Boże Narodzenie – to trwa, ale w końcu wiadomo, że jest się częścią grupy. Na początku człowiek ma dużo wątpliwości i myśli nie tylko o sobie, ale też o rodzinie. Co będzie, jeśli popełnię błąd?

Wstyd jest najgorszy. Wpłynie nie tylko na mnie, ale na całą moją rodzinę, nie tylko tu w Szwecji, ale tych, którzy zostali w Iranie. Myślisz, że ktoś z mojej rodziny wie, że moją pierwszą pracą w Szwecji było sprzątanie? Nigdy im nie powiedziałem i nigdy nie powiem. „Wysłaliśmy cię do Europy po to, żebyś coś osiągnął, żebyś był kimś!", tak myślą. Ale kiedy jesteś już w tym obcym kraju i musisz zacząć wszystko od nowa, zmienia się perspektywa. Robisz rzeczy, o których wcześniej ci się nie śniło. (…)

Szwecja zmieniła mnie na lepsze. Nie patrzę na ludzi z góry. I nie spotkało mnie nigdy nic złego ze strony Szwedów. Nie doświadczyłem niczego, o czym ludzie opowiadają, chociaż wiem, że to się dzieje. Nikt nie nazwał mnie czarnuchem ani nie oblał mnie wodą – jak niektórych, którzy proszą na ulicy o pieniądze. Ale spodziewam się, że kiedyś może się to stać.

Czasami zastanawiam się, jak wyglądają rasiści. Czy można ich jakoś odróżnić? Może chodzi o to, że krzywo patrzą – ale jeśli nawet tak by było, nie czuję strachu.

Rasa, ideologia, kolor skóry – jeżeli tak na to spojrzeć, to w Iranie jesteśmy największymi rasistami. Duma ze swojej rasy – to na niej buduje się dumę narodową. Do mnie to nie przemawia, nie powinno się na nikogo patrzeć z góry, chociaż jestem dumny, że jestem Irańczykiem. Nie jestem i nigdy nie będę Szwedem. Mam szwedzki paszport, kocham Szwecję, ale to w Iranie żyło siedem pokoleń moich przodków. Ta historia jest we mnie i uważam, że każdy, kto przenosi się do innego kraju, powinien ją znać. Bez tego człowiek czuje się wykorzeniony. (…)

Spotkałem wielu Szwedów, którzy nie są dumni ze swojego kraju. Nie są zadowoleni właściwie z niczego, zaczynając od pogody. Nie mają cierpliwości. Rozwód? Proszę bardzo. Myśli się tylko o sobie: mieszkanie samemu, swoje zajęcia, plany. Podzielić się czymś? A skąd!

Mówi się, że ludzie w Skandynawii są najszczęśliwsi na świecie, ale gwarantuję ci, że jest wprost przeciwnie! Nie są szczęśliwi. A to wpływa na cały kraj, na politykę. Stosuje się metodę kija i marchewki: trochę wolności, żeby się ucieszyli, a poza tym praca i praca. Gdzie radość życia? Dlatego nikt nie zmusi mnie do mieszkania w dzielnicy, gdzie żyją sami Szwedzi. Nie chcę żyć tam, gdzie wszędzie jest biało, ale patrzeć na innych ludzi, na inne kultury! Na przykład w Kista, gdzie mogę pójść do irańskiego sklepu, porozmawiać po persku z sąsiadem. Mieć chociaż ciekawą rozmowę i parę wspomnień, a nie żyć i umrzeć samemu.

I może właśnie dlatego tak spodobali im się nacjonaliści? Kiedy jest się jednym z nich, można w końcu poczuć się z czegoś dumnym. Tylko pytanie, co to ma być? Szwedzi mówią, że są dumni z tego, że nie brali udziału w wojnie od 100 lat. Ale pytanie – dlaczego nie brali? Bo sprzedali swój kraj Niemcom! Powiedzieli im: „Nie zabijajcie nas, proszę bardzo – jedźcie dalej". To nie moje słowa, czytałem książki!

Czasami Szwedzcy Demokraci mówią, że chcą wrócić do czasów, kiedy w Szwecji było tak wspaniale. Ale pytam: kiedy to było? 50 lat temu? 100 lat temu? Wtedy, kiedy w Szwecji panował głód i milion osób wyemigrowało do Ameryki? Szwecja nie zawsze była rajem na ziemi.

Mimo to uważam, że w pewien sposób Szwedzcy Demokraci myślą o swoim kraju, ale są tchórzami. Nie wiedzą, czego chcą. Jeżeli chcesz być skurwysynem – bądź. Ale bądź nim naprawdę! A oni tylko gadają. To jest część politycznej gry, w której nie ma już zbyt wiele ideologii. Ale mimo to sporo ludzi, również z Iranu, głosuje na nich.

Dlaczego? Po pierwsze, wielu Irańczyków nadal ma zakorzenione poglądy o nierówności ludzi, o różnych rasach. Nie lubią Arabów, którzy emigrują z Syrii. Mówią: „Pracujemy, a oni tylko wyciągają pieniądze z zasiłków". Odpowiadam im: „Przecież ty też na początku robiłeś dokładnie to samo!".

Ale co z tego? I tak myślą swoje.

Jeśli mam być szczery, powiedziałbym, że to Szwedzi powinni się uczyć od imigrantów. Czego? Życia! Oni nie żyją naprawdę! To pierwsza sprawa. Jedno wyjście w piątek – co to za życie? Albo mieszkanie w samotności na starość, w domu opieki społecznej – to rodzina powinna się zająć starszymi ludźmi. Nikt nie urodził się, by żyć w samotności.

Mogliby też nauczyć się dzielić tym, co mają, ot tak, bezinteresownie, od człowieka dla człowieka. Nawet nie wiedzą, ile to sprawia przyjemności, bo mało kto próbuje! Co to za zwyczaje, że para idzie do restauracji i każde płaci osobno? Oczywiście zdarzają się wyjątki, jak wszędzie.

Myśli się tylko o sobie: mieszkanie samemu, swoje zajęcia, plany. Podzielić się czymś? A skąd!

Brakuje im też cierpliwości – jeśli pojawiają się konflikty, oni po prostu uciekają. Tak samo jest i w życiu, i w polityce. A dobrze by im zrobiło skonfrontowanie się z innymi poglądami, wypróbowanie innego życia. Ale się boją, są przerażeni, nawet sobą nawzajem. W wagonie każdy siedzi sam, nikt nie patrzy na drugą osobę. I tak mijają tygodnie. Aż do wakacji – i dopiero wtedy się zaczyna. I bardzo dobrze! Wtedy mają okazję posmakować innego życia, otworzyć się! I potem lepiej tolerują to u siebie: sushi, falafel – smakuje lepiej niż ziemniaki, prawda?

Jeżeli miałbym dać Szwedom jedną radę, powiedziałbym im – odwagi! Przestańcie gapić się w ekran, spotykajcie ludzi, rozmawiajcie! Patrzcie ludziom w oczy!

I tyle.

Boże, co za kraj!

(Zmieniłam imiona bohaterów).

Fragment książki Wiktorii Michałkiewicz *Kraj nie dla wszystkich. O szwedzkim nacjonalizmie*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020

eprasa.pl 91f094e227

Nie wiedzą, co biorą

Główny Inspektorat Sanitarny nie jest w stanie zapanować nad rynkiem suplementów

Rozmawia Barbara Jagas

PROF. ANDRZEJ ZIEMBA
– dyrektor ds. naukowych Instytutu Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN

Czy suplementy są nam potrzebne do życia?

– Uważam, że jest tu wiele nieprawidłowości i nieprawdziwych informacji.

Przekazywanych przez producentów?

– Tak. Zresztą wcale się nie dziwię, rynek suplementów w ubiegłym roku osiągnął 4,7 mld zł, to spory wzrost w stosunku do roku 2015, kiedy wartość sprzedaży wynosiła 3,5 mld zł. Jest to wspaniały biznes, obok handlu narkotykami, bronią i alkoholem.

O jakich suplementach mówimy?

– Mówimy o witaminach, mikro- i makroelementach, wyciągach roślinnych i suplementach białkowych dla sportowców.

Nie dodają sił?

– Na tym rzecz polega, że nie za bardzo. Dobrze zrównoważona pod względem energetycznym dieta, nawet jeśli jest niskokaloryczna, może być tak skomponowana, aby zapewniać wszystkie niezbędne składniki pokarmowe. W związku z tym dodawanie czegoś więcej do tego, co jemy, doprowadza do sytuacji, w której organizm otrzymuje nadmiar składników i wtedy mogą się pojawić kłopoty.

Czy przykładem może być przedawkowanie witaminy D, którą wszyscy teraz zalecają i większość z nas bierze?

– Witamina D to wyjątek, została dobrze przebadana, ma bogate piśmiennictwo i nie powinna zaszkodzić. Ale czy jest pani przekonana, że jej pani brakuje? Potrzeba jej zażywania istnieje tylko w sytuacji niedoboru. Natomiast już witamina C jest przez wiele osób nadużywana. Co prawda, ma wpływ na odporność, ale jeśli ktoś dobrze się odżywia, to jej dostarcza, więc nie potrzeba brać jej dodatkowo.

A co złego może się stać, jeśli niepotrzebnie ją bierzemy?

– To kwas, więc mogą się utworzyć kamienie nerkowe. Jej nadmiar może też zmienić profil oznaczeń biochemicznych krwi. Jest również mitem, że pomaga na przeziębienie.

A więc wyniki badań morfologii będą zakłamane?

– No tak. Witamina C jest przereklamowana, pojawiło się wiele mitów na jej temat. A wszystko zaczęło się od Linusa Paulinga, dwukrotnego laureata Nagrody Nobla, który jako pierwszy zaczął zażywać codziennie witaminę C w ilości 1 mg i chociaż miał raka, zmarł w wieku 93 lat. I niektóre firmy na to się powołują.

Pisaliśmy o tym dwa lata temu.

– Proszę pani, ja nie twierdzę, że suplementy są nieprzydatne, ale to dotyczy tylko osób, które mają jakieś niedobory.

Zresztą na przyjmowanie pewnych witamin czy innych suplementów są mody, prawda? Tak jak teraz na witaminę D.

– Na szczęście trudno ją przedawkować. Ale podam inny przykład: otóż w latach 50. XX w. grupa amerykańskich lekarzy opublikowała raport, który nazwano witaminowym lamentem. Jedni lekarze krytykowali drugich za nadmierne przepisywanie pewnej witaminy na przeziębienie. O jaką chodziło?

Przychodzi mi do głowy witamina C, ale pewnie ma pan na myśli inną.

– Wtedy przepisywano witaminę A. Opowiedziałem to dlatego, by potwierdzić pani tezę, z którą się zgadzam. Pojawiają się mody na pewne witaminy, ale są one kreowane przez firmy farmaceutyczne, przez producentów.

A jaka jest prawda o magnezie? Wzmacnia, jest dobry na serce, trzeba go brać w starszym wieku?

– Przede wszystkim są problemy z wchłanianiem się magnezu. To zależy, na jakim jest nośniku, i wtedy jest to też sprawa indywidualna.

A jeśli każdy jego rodzaj dobrze by się wchłaniał, to czy mamy go brać profilaktycznie?

– Jeżeli ktoś ma niedobór magnezu, a więc znajduje się w grupie ryzyka, to tak. Natomiast nie ma sensu, aby pozostałe osoby go suplementowały.

Ustalmy więc, jakie grupy ludzi są narażone na niedobory witamin, minerałów czy innych suplementów.

– Należą do nich osoby bardzo aktywne, prowadzące nieregularny tryb życia i nieprawidłowo się odży-

Rynek suplementów w ubiegłym roku osiągnął 4,7 mld zł. Od 2015 r. wzrósł o 1,2 mld zł.

Tylko jeden producent napisał w ulotce, że preparatów kurkumy nie powinny stosować osoby, które biorą leki przeciwkrzepliwe.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 91f094e227

wiające, dorastająca młodzież, która zajmuje się sportem, sportowcy, wegetarianie i kobiety, które potrzebują zwłaszcza więcej żelaza. Poza tym osoby z zaburzeniami łaknienia – te, które nadmiernie się odchudzają, pozostają na dietach bardzo niskokalorycznych, anorektyczki, bulimiczki. Ale i osoby w podeszłym wieku – ze względu na zaburzenia funkcji smaku i powonienia, co powoduje, że same ograniczają sobie dietę, wybierając określone produkty, a unikając innych, np. część starszych osób cierpi na niedobory białka, które jest materiałem budulcowym. Oddzielną grupą są palacze, narkomani i alkoholicy. Tam jest sporo niedoborów, które jednak najpierw trzeba określić, a potem uzupełniać.

Pana zdaniem zachwalanie suplementów, że są dobre na wszystko, to bardziej biznes firm je produkujących niż prawda o potrzebach naszego organizmu?

– Tak, świat producentów suplementów, konsumentów i świat nauki zupełnie się rozmijają.

Nie mają punktów wspólnych?

– Przenikają się tylko światy producentów suplementów i twórców reklam, wywierających bardzo duży wpływ na konsumentów. Tak jest w przypadku preparatu z borówki amerykańskiej.

Jest przereklamowana?

– To bardzo dobry preparat o właściwościach antyoksydacyjnych, ale nie dla każdego. Jego składniki wchodzą bowiem w reakcję z lekami zmniejszającymi krzepliwość krwi. A jednak producenci o tym nie informują.

Teraz mówimy o uczciwości producentów. A właściwie o jej braku.

– To samo z lekiem na stawy na bazie kurkumy. Tylko jeden producent napisał w ulotce, że preparatów kurkumy nie powinny stosować osoby, które przyjmują leki przeciwkrzepliwe. Pozostali producenci o tym nie wspominają. Innym przykładem braku uczciwości jest niewymienianie wszystkich składników danego suplementu diety. Nie robią tego bardzo często producenci preparatów białkowych, które zawierają sterydy anaboliczne. Są przecież znane historie sportowców, którzy wzięli preparaty białkowe, nie wiedząc, że zawierają one sterydy. Wykryto je potem w ich organizmach i zostali zdyskwalifikowani.

Poruszył pan jeszcze inny temat – sterydy nie są obojętne dla organizmu.

– Są groźne! Przy długotrwałym zażywaniu mogą prowadzić do chorób serca, miażdżycy, impotencji. Nie mówiąc już o tym, że są niedozwolone.

I człowiek chodzi na siłownię, zażywa preparaty białkowe, a nie wie, że są tam sterydy, które mu szkodzą.

– Na to zwracał uwagę ostatni raport NIK, w którym wskazano, że to, co deklarują producenci, nie odpowiada temu, co jest w składzie preparatów. Do suplementów należą także kultury bakteryjne, które wzbogacają naszą florę bakteryjną, ale okazuje się, że sprzedaje się bakterie nieżywe.

Chodzi o jogurty?

– Nie, są takie tabletki polecane w związku z zażywaniem antybiotyku. Jeśli te tabletki zawierają nieżywe bakterie, jest to oszustwo, ponieważ one nie działają. Czy ktoś to kontroluje? Nie mamy odpowiedniej ustawy kontrolującej rynek suplementów, czekamy na nią. Komitet Rehabilitacji, Kultury Fizycznej i Integracji Społecznej PAN domaga się wprowadzenia uregulowań prawnych w tym zakresie, zwracając uwagę na poważne zagrożenia zdrowia obywateli związane z ich brakiem. Bo ustawa nakładałaby obowiązek dokładnego sprawdzania, co zawierają suplementy, a od reklamodawców wymagałaby rzetelności w przekazywaniu informacji na ich temat.

Witamina C jest kwasem, więc jej nadmiar może sprzyjać tworzeniu się kamieni nerkowych.

Chyba nie jesteśmy nagminnie oszukiwani?

– Są producenci, którym można ufać, należą do nich filie niektórych firm amerykańskich, które dbają o jakość swoich preparatów i mają niezbędne certyfikaty. Nie chcę więc generalizować i atakować wszystkich, ale problem jest. Zawodzi kontrola produkcji suplementów, właśnie tam, gdzie trafi się nieuczciwa firma. W tej chwili Główny Inspektorat Sanitarny nie jest w stanie tego ogarnąć, bo do produkcji zostaje zgłoszonych tak dużo preparatów, że po prostu nie da się tego wszystkiego przebadać. ■

eprasa.pl 91f094e227

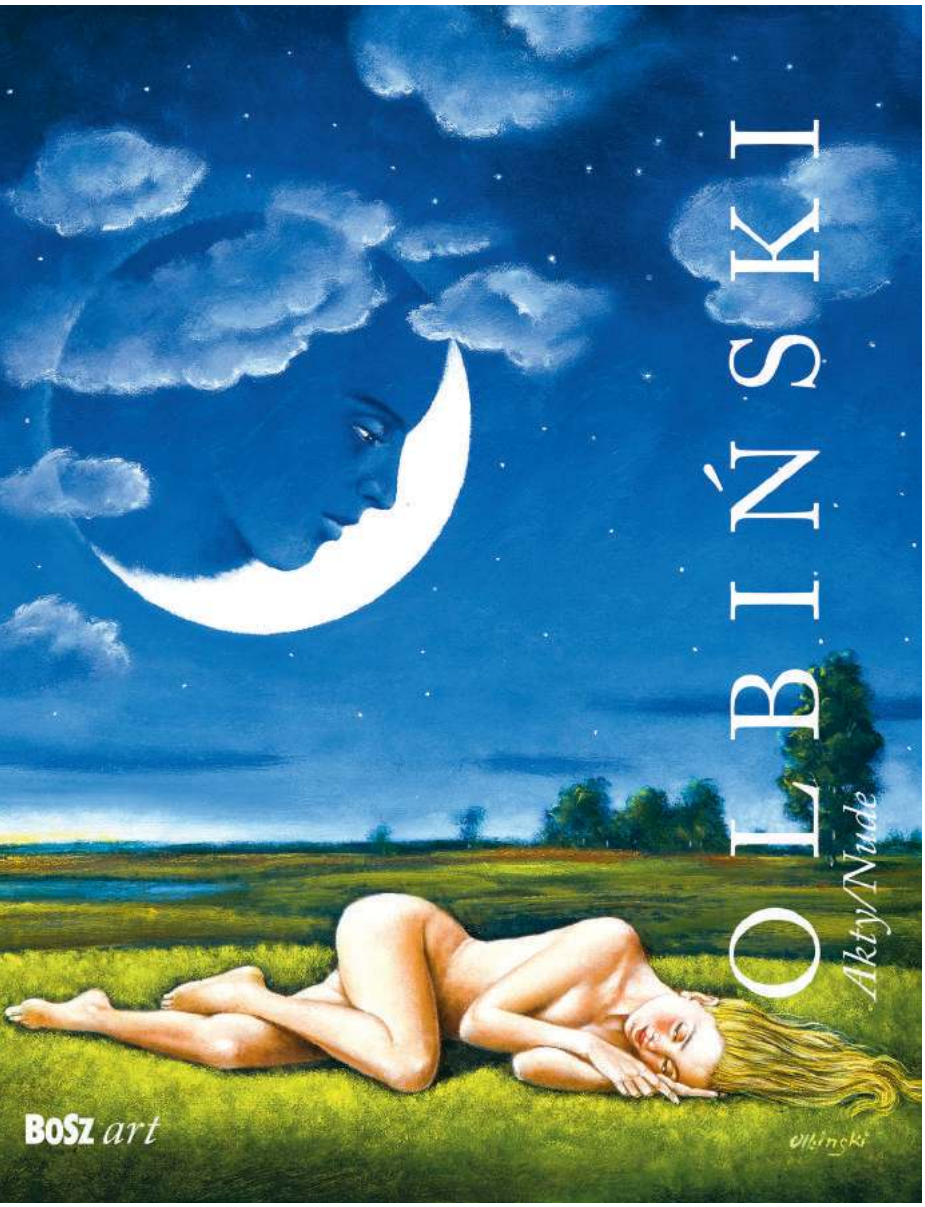

Bali

Ikonografia krajobrazu

Olbiński – akty

Rafał Olbiński to jeden z najbardziej rozpoznawalnych malarzy surrealistycznych. Ukochał sobie piękno kobiecego ciała, a kobiety na jego obrazach są zmysłowe i tajemnicze. Najnowszy album, który ukazał się nakładem Wydawnictwa BOSZ, zawiera reprodukcje prawie stu obrazów, w których można odnaleźć odniesienia do mitologii greckiej i historii sztuki.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 91f094e227

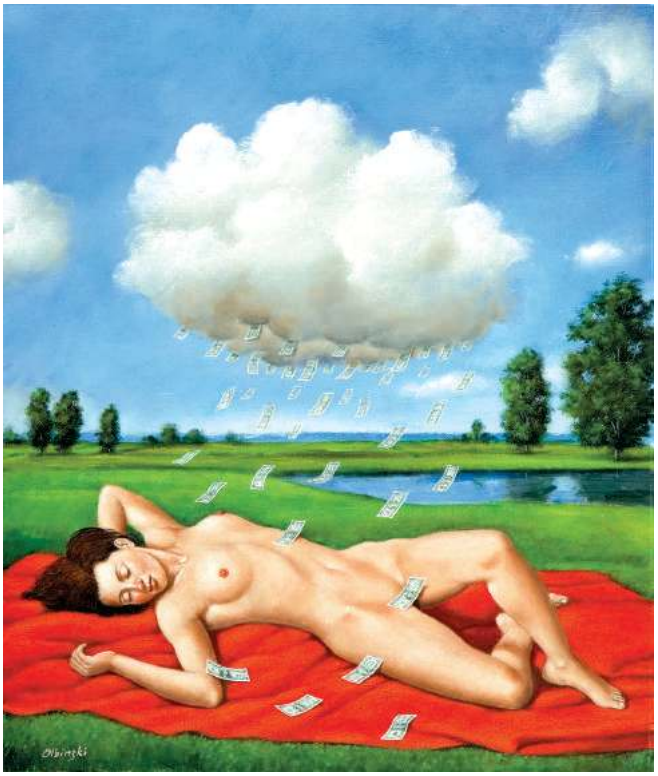

Danae

Córka dr. Jeckylla

Chantecler II

Dziewczyna z Washington Square

eprasa.pl 91f094e227

Odpoczynek na przekór przeciwnościom

Horyzontalna przerwa

Siw Aduvill

Wszystko w życiu staje się automatycznie ciekawsze, jeśli wiąże się z tym jakaś tajemnica. Organizacja The Secret Nap Society (Tajne Towarzystwo Drzemki) podjęła się utworzenia spisu wszystkich miejsc na Uniwersytecie Brighama Younga w Stanach Zjednoczonych, gdzie można się zdrzemnąć. Aby się zalogować na ich stronie, trzeba posiadać tajny kryptonim. Daje on możliwość dodawania do listy budynków i różnych innych miejsc na terenie kampusu, w których znajdują się nasze ulubione miejsca do ucinania sobie drzemki. Zdaniem studentów mała dawka snu potrafi wpłynąć na poprawę pamięci i zdolności przyswajania wiedzy. Na stronie tajemniczego klubu można przeczytać, że drzemka chroni mózg przed przeciążeniem, czyniąc nas wydajniejszymi i mądrzejszymi. Stowarzyszenie zrobiło ze zwykłej drzemki coś buntowniczego, co stanowi pozytywną przeciwwagę dla panującej na kampusie kultury stresu przesyconej wysokimi wymaganiami. Założyciele klubu odwołują się do najnowszych badań na temat zalet drzemki, wśród których wymienić można obniżenie poziomu hormonów w ciele, zwiększenie wydajności i poprawę nastroju.

Głęboki sen nocny jest decydujący dla procesów życiowych człowieka. Ale również krótka popołudniowa drzemka, na którą pozwalamy sobie w ciągu dnia, nie jest pozbawiona wartości. Niektórzy nazywają to kimaniem. (...) Większość z nas sypia jeden raz w ciągu doby, wykorzystując wszystkie godziny przeznaczone na sen za jednym zamachem. Ale, jak wiemy, zwierzęta mają w ciągu doby liczne fazy snu, podobnie jak większość dzieci, które mają kilka krótkich cyklów spania.

Amerykańska badaczka snu Sara C. Mednick w książce „Cudowna moc drzemki" zachwala tzw. sen polifazowy, który polega na podzieleniu czasu spania na kilka mniejszych jednostek, zamiast odhaczania wszystkich godzin snu za jednym zamachem. Przyczyn tego, że ludzkość przeszła na sen monofazowy, Mednick dopatruje się w rewolucji przemysłowej. Wielkie zmiany w życiu zawodowym wymogły na ludziach dostosowanie się do obowiązujących wymogów produkcyjnych i przeorganizowanie całego cyklu dobowego. (...) Ale wiele wskazuje na to, że nie wystarczy kilka pokoleń, żeby zmienić nasze głęboko zakorzenione biologiczne potrzeby. Mednick opisuje eksperyment, podczas którego ochotnicy zamieszkali na dłuższy czas w pozbawionych okien bunkrach w celu zbadania, jaki wpływ ma na nas biologiczny rytm dobowy. W trakcie eksperymentu obserwowano dokładnie ich ciśnienie krwi, temperaturę ciała oraz inne wskaźniki. Po krótkim okresie dezorientacji wśród uczestników eksperymentu wyklarowała się ogólna tendencja do spania przez 6 do 7 godzin w nocy (co wydaje się szczególnie ciekawe, gdy się wie, że uczestnicy nie mieli świadomości pory dnia). Jakieś 12 godzin później poziom ich energii spadał i większość udawała się na krótką drzemkę. Można to interpretować jako instynktowne zapotrzebowanie naszego ciała na spoczynek, zapewniające dobre funkcjonowanie przez resztę doby.

Rytm dobowy i sjesta

Wszelkie żywe organizmy, nawet te jednokomórkowe, żyją według rytmu dobowego. Starożytni Rzymianie dzielili dni na okresy przeznaczone na ustalone czynności, takie jak jedzenie, odpoczynek, modlitwa

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 91f094e227

i praca. Udawali się na drzemkę w szóstej godzinie, którą nazywali *sexta* i od której wywodzi się hiszpański termin sjesta. We Włoszech zjawisko odpoczywania w ciągu dnia określane jest jako *riposo*. Dziś od mniej więcej południa do godziny trzeciej lub czwartej większość muzeów, kościołów, sklepów i innych lokali jest zamknięta. Zasłania się okna, place budowy pustoszeją. (…)

Sjesta idzie z duchem czasu i także wkracza w przestrzeń cyfrową. W Hiszpanii grupa technologów opracowała aplikację, która pomaga użytkownikom w poszukiwaniach idealnego miejsca na południową drzemkę. Poza tym aplikacja posiada funkcję budzenia w odpowiedniej fazie snu, tak aby być przez resztę dnia bardziej wypoczętym. W ten sposób nie musisz próbować wybudzić się z głębokiej fazy snu, jak twierdzą sjestowi innowatorzy. Aplikacja kontroluje ruchy i oddech użytkownika, żeby móc obudzić go, kiedy znajduje się w fazie kulminacyjnej snu. Możliwe jest idealne dopasowanie aplikacji do własnych potrzeb. To dobry przykład tego, jak technologia przychodzi nam z pomocą i oferuje rozwiązania problemów, za których powstanie częściowo sama odpowiada.

Zjawisko sjesty występuje zwłaszcza w krajach, w których w południe jest najgoręcej, a zatem w krajach śródziemnomorskich i Ameryce Łacińskiej. Ale dawniej swego rodzaju sjesta była również powszechna w Rosji, a nawet w norweskich wsiach. W tamtych czasach chłopi wstawali wraz z pianiem koguta, po małym posiłku w południe kładli się na krótką drzemkę, po czym resztę dnia spędzali na polu.

Obecnie korzystanie z przerwy w środku dnia spotyka się z krytyką z wielu stron. Jako że tylko nieliczne kraje europejskie mają zatwierdzoną urzędowo przerwę na sjestę, państwa takie jak np. Portugalia musiały dostosować swój dzień pracy do reszty kontynentu. W efekcie wiele osób czuje się przymuszanych do funkcjonowania w hiperaktywnym modelu społeczeństwa, który grozi wypaleniem i pogorszeniem stanu zdrowia. Wpłynęło to na powstanie ruchów składających się ze sjestowych aktywistów na obszarach geograficznych, które są historycznie silnie związane z tradycją masowego wypoczynku w południe. Grupa złożona z portugalskich artystów, polityków i autorów utworzyła stowarzyszenie Przyjaciele Sjesty, aby zwrócić uwagę na dumne tradycje Portugalii jako „narodu drzemkującego". Ich celem jest rozpowszechnienie i promocja przerwy w środku dnia, która ich zdaniem nadaje dobie bardziej harmonijny biologicznie rytm, zapobiega problemom zdrowotnym wynikającym ze stresu i wpływa na poprawę jakości życia. Stowarzyszenie twierdzi wręcz, że tradycja sjesty powinna znaleźć się na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

W naszym ciele nie ma narządu, którego działania nie poprawiałby sen.

Lecz to, co dla jednych jest tylko chwilą na odpoczynek, dla drugich może okazać się logistycznym koszmarem. Sjesta zdecydowanie bardziej nadaje się dla osób żyjących i pracujących na wsi niż dla tych, którzy muszą przebyć długą drogę z domu do miejsca pracy. Wielu rodziców w Hiszpanii twierdzi, że sjesta odbiera im czas, który mogliby poświęcić dzieciom, i dlatego są za zniesieniem sjesty w jej obecnej formie. (…)

Choć istnienie ogólnie obowiązujących zasad dotyczących wolnego od pracy dnia w tygodniu zapewne nie każdemu odpowiada, należałoby umożliwić wszystkim wypoczynek poprzez tworzenie zasad dopasowanych do różnych potrzeb. W ten sposób w świadomości ludzi relaks może stać się priorytetem. Struktury wsparcia są do tego celu niezbędne, bo wielu z nas jest sfrustrowanych tym, że coś tak pozornie prostego jak odpoczynek może być tak trudne do osiągnięcia.

„Ten, kto zaśnie, jest cieniasem", powiedział do swoich kolegów siedzący za mną w pociągu mężczyzna. Jego towarzysze roześmiali się głośno. Żartował, lecz w jego słowach pobrzmiewał lekceważący stosunek do odpoczynku jako objawu słabości. W ogóle należy powiedzieć, że z odpoczywaniem wiąże się zbyt wiele negatywnych skojarzeń. (…)

Duża część poczucia własnej wartości opiera się na tym, jak wiele jesteśmy w stanie zrobić. W taki sposób funkcjonujemy w świecie. Kiedy robię dużo, otrzymuję wiele pochwał. Jeśli jednak robię mniej, zaczyna mi brakować zewnętrznego potwierdzenia. Nietrudno zinterpretować takie sygnały jako „aktywność + pracowitość = wartość". Wiele wskazuje na to, że ten staromodny, uproszczony schemat myślenia jest tak głęboko zakorzeniony w naszym kulturowym DNA, że wciąż odbija się na tym, jaki mamy stosunek do świata. Nietrudno zacząć oceniać siebie surowo, kiedy nieustannie słyszy się, że bycie wyczerpanym i zmęczonym jest czymś negatywnym, a aktywność czymś niezwykle pozytywnym. Dlatego śmiejemy się wraz z tymi, którzy uważają, że sen i odpoczynek są tylko dla słabeuszy.

Ale zdarzają mi się takie dni, kiedy nie mam na nic siły i łapię się na tym, że sama gardzę własną słabością. Kiedyś słuchałam audycji radiowej o osobach, którym udało się wygrać z rakiem. Opowiadały one o tym, że brak energii jest dla nich czymś wstydliwym. Pewna kobieta powiedziała, iż istnieją społeczne oczekiwania, że osoba, której udało się nie umrzeć na raka, będzie wiecznie pląsała z radości. (…) Ktoś inny wspomniał o nieustającym dyskomforcie w sytuacjach, kiedy trzeba powiedzieć „nie mam siły" albo „dzisiaj nie dam rady". Choć ich ciała przeszły jednocześnie przez trzecią i czwartą wojnę światową, wstydzili się tego, że czasem potrzebują odpoczywać częściej niż przed chorobą.

Odpoczynek jest procesem, który nieraz wymaga odwagi.

Wypoczynek staje się aktem odwagi w sytuacji, kiedy zarówno nasza kultura, jak i my sami zdajemy się go nie tolerować, uznając za coś zbędnego. Czy naprawdę stworzyliśmy kulturę pogardy wobec odpoczynku, w której na każdym kroku przypomina się nam, że wrodzona kruchość człowieka jest czymś, czego należy się wstydzić? Że powinniśmy za wszelką cenę ignorować istnienie potrzeb biologicznych?

eprasa.pl 91f094e227

Nic dziwnego, że internalizujemy te sygnały i przyjmujemy je jako naszą prawdę. Zaczynamy przez to wierzyć, że musi z nami być coś nie tak, jeśli potrzebujemy na chwilę usiąść i odetchnąć.

Założyciel Netfliksa Reed Hastings wiele razy mówił jasno, że dla niego platformy takie jak HBO, Amazon Prime itp. nie są prawdziwą konkurencją. Jego głównym wrogiem był od zawsze sen. Nic dziwnego, że w ostatnich latach, przy powszechnej dostępności smartfonów czy usług streamingowych, spanie stało się dla ludzi większym wyzwaniem. Ale w naszym ciele nie ma ani jednego narządu, którego działanie nie poprawiałoby się za sprawą snu. Podczas spania regenerują się komórki, tkanki i systemy informacyjne organizmu. Kiedy śpimy, budujemy nowe komórki mózgowe, zwalczamy infekcje i zapobiegamy depresji. Sen ma również bezpośredni związek ze zdrowiem serca. Ci, którym zdarzyło się doświadczyć zaburzeń snu, wiedzą doskonale, jaki jest wpływ tych problemów na procesy myślowe. Wiemy też, że w wyniku niedospania spada nasza zdolność reagowania, co w ostateczności może stanowić zagrożenie dla życia naszego i innych. Ludzie, którzy za mało śpią, są bardziej narażeni na depresję, lęki, a także szereg fizycznych dolegliwości, takich jak nadwaga, cukrzyca, problemy sercowe czy choroba Alzheimera. Od niewyspania nikomu nie poprawia się humor, nikt nie dostaje zastrzyku energii, nie robi się rozsądniejszy ani bardziej dyplomatyczny.

Odprężenie czy zmartwienie?

Tak jak rozpędzony samochód ma określoną drogę hamowania, tak nam potrzebna jest faza wytchnienia, żebyśmy mogli się wyciszyć. Wcale nie jest tak łatwo położyć się i odpocząć, kiedy ciało i umysł pracują na wysokich obrotach. Zdecydowanie najtrudniej odpocząć, kiedy jest się jednocześnie i wyczerpanym, i przestymulowanym. W takich chwilach człowiek czuje się jak przemęczone dziecko, które skacze po łóżku i nie chce iść spać. Paradoksalnie najmniej skorzy do odpoczynku jesteśmy wtedy, gdy najbardziej go potrzebujemy. (...)

Nasza kultura dodatkowo wzmaga takie odruchy. (...) Wielu z nas pije litrami kawę, żeby zrekompensować sobie niewystarczającą ilość odpoczynku lub snu. Na tym cyklu, w którym wielu z nas tkwi, zarobić można wielkie pieniądze. Nie możesz zasnąć? Proszę, oto tabletki nasenne, leki przeciwlękowe i uspokajające. Przeszkadza ci senność? Pomóż sobie tabletkami z kofeiną i red bullem.

A co z metylofenidatem albo modafinilem? Tzw. wspomagacze stały się czymś normalnym w Norwegii i na całym świecie. Są to przede wszystkim leki wpływające na poprawę funkcji poznawczych, przeznaczone dla osób zmagających się z zaburzeniami koncentracji, jak ADD czy ADHD. Uczniowie przyznają, że korzystają z tych leków na receptę przy okazji sprawdzianów, żeby uzyskać lepszy wynik. Ale nie tylko pokolenie sukcesu nie może sprostać wygórowanym oczekiwaniom. W książce „Pochwała powolności. Jak zwolnić tempo i cieszyć się życiem" Carl Honoré pisze o znacznym wzroście użycia amfetaminy wśród szeregowych pracowników biurowych, którzy sięgają po ten środek, żeby poradzić sobie w pracy. Czy naprawdę w pracy przy biurku musimy korzystać z takich strategii, jakby była ona co najmniej olimpiadą zimową? (...)

Wspólne dla naszego kolektywnego sposobu myślenia jest przekonanie, że istnieje jakaś droga do bycia wypoczętym, która nie prowadzi przez odpoczynek. Że jest jakiś skrót do zwiększonej żywotności i pokładów energii, które umożliwiają nam działanie na wysokich obrotach i wytrzymywanie maksymalnej presji. Istnieją substancje, które możemy spożyć, aby nie przechodzić przez długotrwały i nieraz trudny proces wyciszenia się. Najłatwiej dostępnym i najpowszechniej stosowanym środkiem jest alkohol. Czasem po ciężkim dniu w pracy potrzebujemy się odprężyć, ale droga do osiągnięcia tego stanu potrafi być długa i zawiła, więc o wiele bardziej kuszące zdaje się sięgnięcie po kieliszek wina albo i trzy, albo po parę piw. Uczucie, jakby cały świat lekko płynął, nie jest może złe, ale leczenie siebie alkoholem dla złagodzenia stresu może stać się kłopotliwe, kiedy stwarza problemy, zamiast je rozwiązywać. Zadaniem wątroby jest oczyszczanie całego organizmu z odpadów. Kiedy jesteśmy mocno zestresowani, wątrobie może być trudno pozbyć się z ciała wszystkich hormonów stresu, które są w naszej krwi. A kiedy w dodatku leczymy napięcie alkoholem, obciążamy dodatkowo pracującą już na podwyższonych obrotach wątrobę, co może nam ostatecznie zaszkodzić.

Istnieją silne naukowe dowody na poparcie tezy, że wszelkie formy stresu zwiększają prawdopodobieństwo sięgnięcia po środki odurzające. Techniki walki ze stresem uważane są obok terapii i aktywności fizycznej za kluczowe narzędzie w leczeniu uzależnień. Ważne, by w odpowiednim momencie zorientować się, że zbytnio polegamy na stanie odurzenia, i dowiedzieć się, z jakich form wsparcia możemy korzystać, aby poradzić sobie bez destrukcyjnych wspomagaczy. Wiele wskazuje na to, że nie wszyscy jesteśmy przygotowani do radzenia sobie z wielką presją życia codziennego. Jednak nie może być tak, że jedyną alternatywą dla odurzania się jest przyjmowanie leków, kiedy nasz tryb życia wywołuje u nas lęki i niepokoje. (...)

Odpoczynek jest naturalną alternatywą dla napojów energetycznych i innych chemicznych substancji, ale jest też wyraźnie powolniejszym procesem, który nieraz wymaga odwagi.

Grupa portugalskich artystów i polityków utworzyła stowarzyszenie Przyjaciele Sjesty, aby zwrócić uwagę na dumne tradycje „narodu drzemkującego".

Fragmenty książki Siw Aduvill *Hvile. Jak norweska sztuka leniuchowania uratuje nam życie*, przekład Małgorzata Rost, Wielka Litera, Warszawa 2020

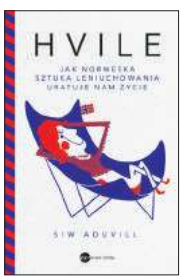

eprasa.pl 91f094e227

Do czego służy Duda?

Ten wyjazd Andrzeja Dudy do USA to bardzo ciekawa sprawa. Po pierwsze, że się odbył. A po drugie, że ustalenia tam przyjęte były zupełnie inne, niż sugerowali to wcześniej oficjele z Kancelarii Prezydenta. Coś więc w ostatniej chwili się zmieniło.

Zacznijmy od samej wizyty. Otóż nie powinna ona mieć miejsca. Tę sprawę wyjaśnia w przejrzysty sposób Brookings Institutions na swoim portalu: „Zgodnie z normalną praktyką amerykańska administracja przestrzega w okresie przedwyborczym przerwy na spotkania na wysokim szczeblu, trwającej miesiąc lub dłużej, obawiając się oskarżenia o ingerencję wyborczą lub wykorzystywania wizyt jako rekwizytu w wyborach. Ale nie Trump. Prezydent wielokrotnie korzystał z wizyt w Białym Domu i swojego konta na Twitterze, aby zwiększyć szanse wyborcze przywódców państw, których uważa za swoich sprzymierzeńców.

Wizyta polskiego prezydenta przenosi tę praktykę na nowy poziom. Trump i Duda spotkają się zaledwie cztery dni przed wyborami w Polsce (…). Polska w czasach Dudy jest zdecydowanie proamerykańska i opowiada się za Trumpem. Stosunki Polski, zwłaszcza z Unią Europejską, załamały się wraz z upadającą demokracją w tym kraju. (UE wszczęła wiele dochodzeń przeciwko rządowi Dudy za naruszenia unijnego prawa, w tym po wprowadzeniu w Polsce nowego prawa, które naraża sędziów krytycznych wobec reżimu w Warszawie na kary). Termin spotkania Trump-Duda lekceważy kardynalną zasadę dyplomacji – braku ingerencji w sprawy wewnętrzne – i wyraźnie ma na celu przeważenie szali na korzyść Dudy”.

Wiemy więc, w jakim celu Trump przyjął Dudę. Ale to dopiero początek pytań. Bo nasuwają się kolejne. Dlaczego akurat jego chciał wzmocnić? I dlaczego zrobił to tak niezręcznie?

Zacznijmy od tej niezręczności – zanim polski prezydent wsiadł do samolotu lecącego do Waszyngtonu, opowiadano niestworzone rzeczy, jakie to umowy w Ameryce podpisze. Zapowiadano, że znaczna grupa żołnierzy amerykańskich zostanie przeniesiona z Niemiec do Polski, że ruszy z kopyta budowa Fortu Trump, czyli amerykańskiej bazy w Polsce, do której mamy dopłacać – bagatela – 2 mld dol., że Polska rozpocznie poważne rozmowy na temat budowy elektrowni atomowej.

Nic takiego nie nastąpiło. A Duda przyznał na konferencji po spotkaniu z Trumpem, że „rozmawiali o tym, że istnieje możliwość dalszego zwiększania obecności wojsk amerykańskich w naszym kraju”. No i że Fort Trump to bardziej ogólna idea niż nazwa stałej bazy.

Nie padły więc żadne deklaracje o przenoszeniu amerykańskich żołnierzy. Dlaczego? Odpowiedź jest chyba prosta – Trumpa do pionu ustawiły Departament Stanu i Departament Obrony. Innymi słowy, przeważyły globalne interesy Ameryki. I chyba nawet nie ma co dodawać, że ich elementem są stosunki USA-Rosja. Poza tym trudno sobie wyobrazić, by amerykańscy generałowie byli zachwyceni perspektywą opuszczenia bazy w Rammstein i przeniesienia się gdzieś na wschód.

W ten sposób przekonaliśmy się, ile może prezydent USA. Dlaczego w takim razie zdecydował się poprzeć Dudę? Przecież pozostali kandydaci nie są przeciwnikami Ameryki. Tu także odpowiedź nie wygląda na zbyt trudną. Duda ze wszystkich kandydujących jest najbardziej antyunijny. Pasuje więc Trumpowi, który prowadzi własną wojnę z Europą, chce osłabić Niemcy, rozbić Unię, na nowo ją podporządkować.

Polska przez wiele lat służyła Ameryce jako narzędzie w polityce wobec Rosji, a teraz jest obsadzana w roli rozbijającego jedność europejską. Taka była cena paru zdjęć w Białym Domu.

Attaché

Zmiany klimatyczne powodują anomalie pogodowe na całym świecie. W Kenii wylała rzeka Nzoia, zmuszając m.in. mieszkańców hrabstwa Busia do ratowania dobytku i ucieczki.

FOT. THOMAS MUKOYA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 91f094e227

JOLKA

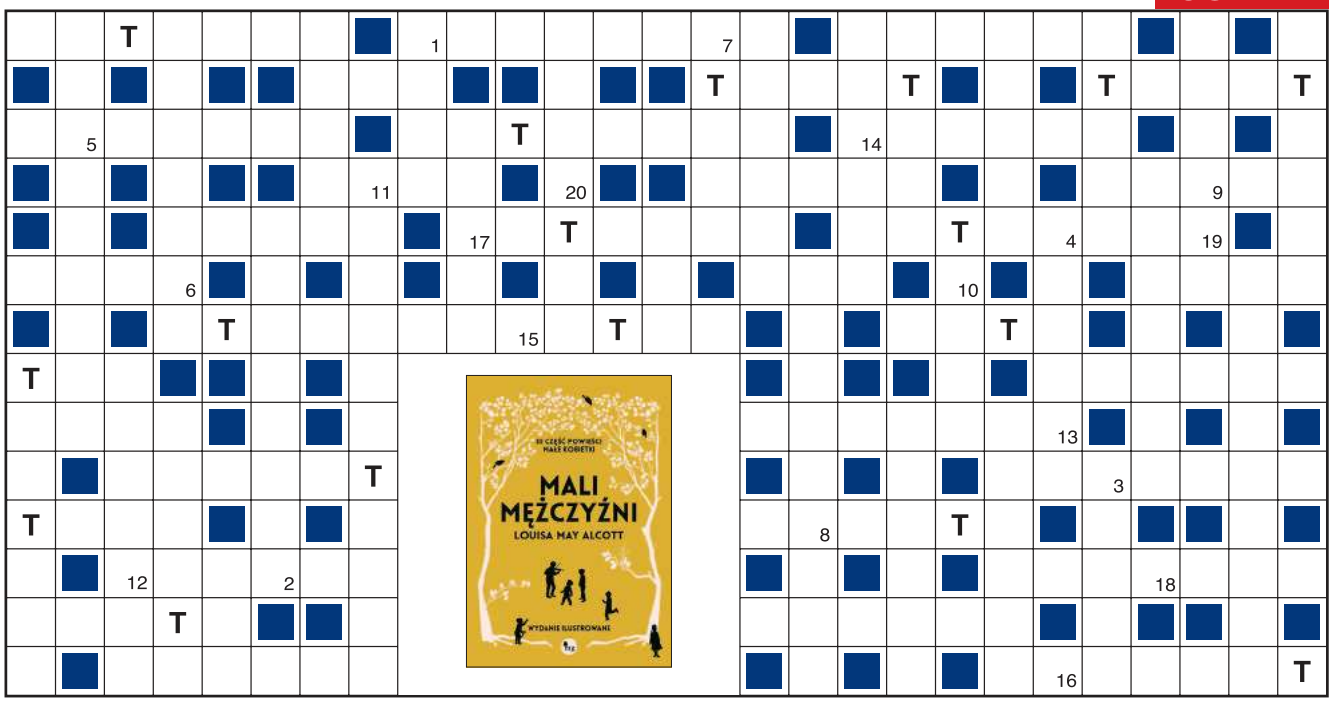

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- zaliczka na poczet należności
- udzielana dziennikarzowi na czas festiwalu
- Kręglicka, Todorczuk lub Zając
- stawia horoskopy
- „…chmur", ekranizacja książki Davida Mitchella
- powinien być skontrolowany przed wycieczką dzieci
- smaczliwka wdzięczna
- autor opowiadania „Msza ateusza"
- Polonińskie – na obszarze Ukrainy i Rumunii
- o członku rodziny, krewnym, przyjacielu
- ma obronić strzał szczypiornistki
- przed zapaleniem obcinane
- nieraz już najwyższy
- miesiąc z przesileniem letnim
- tam zginął John F. Kennedy
- czego nią nie zrobisz, tego złością nie wskórasz
- służalec, kiedyś w otoczeniu króla, magnata
- futrzana do wieczorowej sukni
- średnica lufy lub kuli
- elegancik nosi spodnie w…
- chroni głowę rowerzysty
- włosy upięte w węzeł
- gdy do niego głupiec, osioł, to kompletny
- pogardliwie o kobiecie dokuczliwej i gderliwej
- kiedyś do pieczętowania kopert
- urządzenie wytwarzające skupioną wiązkę światła
- sonety do niej pisał Petrarka
- inwestycja kapitału albo miejsce w klasyfikacji
- bywa odpowiedzią na strajk
- przychylność lub darowanie winy
- usłyszał od Jezusa: dziś będziesz ze mną w raju
- szelma, hultaj (ma swój gatunek powieści)
- od decyzji lub ze stanowiska
- hura! lub ahoj!
- palisada
- zagrożenie przy jedzeniu ryby
- „…Balaama", obraz Rembrandta
- cienki flamaster, długopis
- „Ryby, żaby i... raz wpadły na pomysł taki"
- trunek z Bałkanów
- rzecz rzadka, niezwykle cenna
- jego stadionem Santiago Bernabéu
- manuskrypt
- ledwie dostrzegalna to niuans
- Kukliński lub Kaczorowski
- staroskandynawski poeta i wojownik, od niego polski zespół
- buldożer
- szlachetny tynk do sztukaterii
- szkodnik upraw ziemniaka
- studentka, której przyznano wsparcie finansowe
- laicyzm
- mimowolny skurcz mięśni mimicznych
- poruszają się w cylindrach
- sztuczka
- chodnik
- taniec i zamknięcie słoika
- miarowy odgłos zegara
- drugie imię autora „Powrotu posła"
- galernicy do nich przykuci
- mięsna albo ortopedyczna
- Mały lub Wielki na niebie
- podobny do gry w dwa ognie
- konia kują, ona nogę podstawia

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-967". Do rozlosowania książki „Mali mężczyźni" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 lipca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-964" z 14 czerwca: *Ryzyko jest częścią gry.*
Nagrody otrzymują: Lucjan Ciastek z Wrocławia, Oliwia Karpińska z Gorzowa Wielkopolskiego, Stanisław Robak z Paczkowa.

eprasa.pl 91f094e227

PENETRACJE

POLSKA

DR JAROSŁAW FLIS,
SOCJOLOG

W tym momencie szanse Trzaskowskiego i Dudy są wyrównane. Prezydent Duda ma pod górkę i do zwycięstwa potrzebne mu są błędy przeciwników i unikanie ich samemu. Wybory wygrywa zwykle ten, kto się wykaże większą empatią wobec wyborców przeciwnika. Na razie to Rafał Trzaskowski napisał list do wyborców PiS. Andrzej Duda nie napisał listu do wyborców chociażby PSL, a co dopiero do tych z Platformy czy lewicy. Ale losy tych wyborów będą się ważyć do samego końca.

Twój STYL

EWA EWART,
REŻYSERKA FILMÓW DOKUMENTALNYCH

Mam intuicję, ten trudny do wytłumaczenia wewnętrzny głos, którego z czasem nauczyłam się słuchać. Nawet kiedy lęk i obawa starają się ten głos zagłuszyć. Wierzę, że to najlepsza ze strategii. Odkryłam, że wiele najlepszych dla siebie decyzji podejmowałam wtedy, gdy było beznadziejnie i wydawało się, że nic dobrego mnie nie czeka. Jest chińskie powiedzenie, że kryzys to szansa. Przekonałam się, że to prawda. Wiele moich kryzysów okazało się trampoliną do nowych, wspaniałych rozdziałów życia. To zbudowało we mnie wiarę, że warto skoczyć w nieznane.

zwierciadło

KRYSTYNA JANDA,
AKTORKA, REŻYSERKA

W sierpniu miałam zaczynać próby do tekstu teatralnego Jarka Mikołajewskiego. To sztuka o poetce, która chciałaby zostać pochowana w alei zasłużonych, bo nie ma pieniędzy, więc to jedyny sposób na pogrzeb za darmo. Ale musi udowodnić decydentom, że zasługuje na aleję zasłużonych. Jak poetka ma to udowodnić urzędnikowi służbiście? Pamiętam, kiedyś nie mogłam wjechać do telewizji, portier mówi do mnie: „A skąd ja mam wiedzieć, że pani jest aktorką? Niech pani powie jakiś wiersz". Nawet przez chwilę chciałam to zrobić, ale myślę: „Czy ja zwariowałam, będę mówić wiersz przed szlabanem zamykającym parking?!". Odwróciłam się i odjechałam. Nie poszłam na rozmowę o roli i jej nie zagrałam. No ale nie było wtedy telefonów komórkowych.

TPR Tygodnik Poradnik ROLNICZY

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI,
MINISTER ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

Pojawiły się zarzuty, że chcemy powrotu do socjalizmu, albo że chcemy odbudować sieć sklepów PSS Społem. Przepraszam, czy ta sieć sklepów PSS jest jakimś złem? Tak, chcemy odzyskać część handlu spożywczego w Polsce. Byłoby właściwe, aby w ramach szeroko rozumianego Polskiego Holdingu Spożywczego funkcjonowała sieć sklepów – na zasadach uczestnictwa w gospodarce rynkowej. Muszą sobie dać radę na rynku i nie korzystać z pomocy publicznej. Bo taka pomoc generalnie jest niezgodna z unijnym prawem. Jest jednak do zagospodarowania przestrzeń poza drapieżnym kapitalizmem, dojącym chłopów i drenującym kieszenie konsumentów.

Produkcja tradycyjnych wietnamskich bambusowych łodzi koszowych w Chi Thanh.

FOT. PHAM QUOC HUNG/SOLENT NEWS/EAST NEWS

Aby język giętki…

ADAM FERENCY O POLSKICH KATOLIKACH

Wiara nakazuje sobie wybaczać, a u tych naszych katolików nie ma żadnego wybaczania, jest tylko ziejąca nienawiść.

ANDRZEJ DUDA O UNII EUROPEJSKIEJ

Wspólnota europejska to takie baju, baju dla naiwniaków.

BEATA ŚCIBAKÓWNA O ZASKOCZENIU MAMY

Gdy przywiozłam do domu w Zamościu Jana Englerta i powiedziałam, że będzie moim mężem, mama zażartowała: „Przecież ja się w nim kochałam".

ILONA ŁEPKOWSKA O AUTOIRONII

Nie można siebie traktować zbyt poważnie, zwłaszcza kiedy odnosi się w życiu sukcesy. Lepiej przekłuć balonik, niż pozwolić, żeby inni pompowali go ponad miarę.

MIKOŁAJ GRABOWSKI O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Nie spróbował budować wspólnoty, tylko najpierw naród podzielił, a teraz nim rządzi.

PROF. ŁUKASZ TURSKI O LOTACH W KOSMOS

Chodzi o to, aby uniknąć podróżowania przez atmosferę i z Londynu czy Nowego Jorku w godzinę polecieć do Australii.

JUSTYNA KOWALCZYK O ALEKSANDRZE WIERIETIELNYM

Dobry trener to ten, który zawsze wstawi się za zawodnikiem, oczywiście jeśli zawodnik nie jest szują.

PROF. JERZY BRALCZYK O WCZESNEJ PORZE

Dla mnie godz. 21 to już jest późny wieczór, a godz. 1 to głęboka noc. Za to godz. 4 to raczej poranek niż noc.

EWA DRZYZGA O DIECIE

Zwyczajowo pościmy w piątki, a powinniśmy odwrócić proporcje i mieć jeden dzień z mięsem. A sześć bez niego.

JERZY KRYSZAK O FOTOGRAFOWANIU BIEDRONEK

Zachowuje się jak pociąg jednostajnie przyśpieszony. Jak już się zatrzyma, chowa kończyny i udaje martwą.

eprasa.pl 91f094e227

Chlorofil w operze

Wyjątkowych słuchaczy miał pierwszy od trzech miesięcy koncert w słynnym teatrze operowym w Barcelonie. Na widowni Gran Teatre del Liceu zasiadły 2292 rośliny doniczkowe, dla których kwartet smyczkowy w pełnej gali zagrał „Chryzantemy" Pucciniego. Pomysłodawcą wydarzenia, które rozpoczęło się tradycyjnym apelem o nienagrywanie i wyłączenie telefonów komórkowych, był artysta Eugenio Ampudia, który po długotrwałym przebywaniu w domu w związku z epidemią na nowo zachwycił się przyrodą. Po koncercie liściaści melomani zostali podarowani personelowi miejscowej służby zdrowia, wraz z podziękowaniami za ofiarną pracę. Serce i liście rosną!

Epidemii powiedzieli: tfu!

Na przekór koronawirusowi w Celleno w środkowych Włoszech zorganizowano tradycyjne zawody w pluciu pestką czereśni na odległość. Formuła tegorocznego czempionatu została rzecz jasna dostosowana do sytuacji: zmagania przeniesiono na teren wiejski, nie zaproszono publiczności, a zawodnicy stali w dużej odległości od siebie. Zwycięzcą został przedsiębiorca z branży informatycznej, będący żywą legendą dyscypliny, który osiągnął wynik prawie 17 m. Po zakończeniu konkursu, umyciu rąk oraz założeniu maseczek uczestnicy i mieszkańcy miasteczka otrzymali w nagrodę... czereśnie. Warto było!

Bo miłość nie filtruje

Najpopularniejsza gejowska aplikacja randkowa usunęła możliwość wyszukiwania potencjalnych partnerów na podstawie koloru skóry. „Grindr nadal będzie zwalczać rasizm, zarówno poprzez dialog z naszą społecznością, jak i politykę zera tolerancji dla dyskryminacji i mowy nienawiści na naszej platformie. W ramach tego zobowiązania i w odpowiedzi na opinie użytkowników zdecydowaliśmy się usunąć filtr etniczny", brzmi oświadczenie opublikowane na Instagramie. Zdaniem części randkowiczów bardziej sensowne byłyby jednak inne kroki, np. zrobienie porządku z osobami, które w swoich opisach podają obraźliwe preferencje rasowe.

Wespół w zespół

Delfiny zakładają boysbandy, by skuteczniej zwracać na siebie uwagę samic – ogłosili naukowcy z Uniwersytetu Bristolskiego oraz Uniwersytetu Australii Zachodniej. Ssaki te łączą się w grupy, w których prezentują swój taniec i śpiew przedstawicielkom płci przeciwnej, co można porównać do strategii artystyczno-erotycznej takich zespołów jak Backstreet Boys czy Take That. Badacze podkreślają, że podwodne sojusze mają kluczowe znaczenie dla sukcesu reprodukcyjnego ich uczestników i mogą trwać przez dziesięciolecia. By żądz moc móc wzmóc!

MEMY BEZ ŚCIEMY

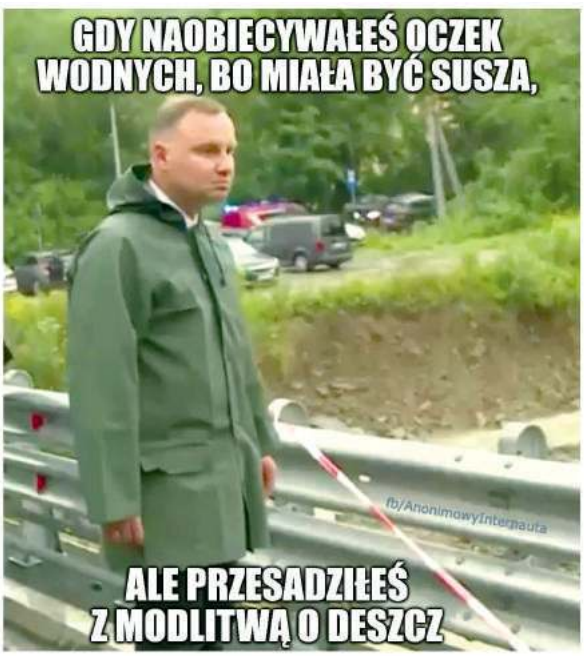

eprasa.pl 91f094e227

Inny punkt widzenia na świat. Palestyńskie dzieci dbają o sprawność fizyczną.

Solidarność bez daty ważności

Irlandczycy spłacają dług wdzięczności wobec rdzennych mieszkańców USA, zaciągnięty 173 lata temu. Wtedy to Czoktawowie, sami ciężko doświadczeni przez los – a dokładniej przez białych kolonizatorów swoich ziem – zorganizowali solidarnościową zrzutkę dla ofiar wielkiego głodu na Zielonej Wyspie. Teraz wielu mieszkańców Irlandii wspiera zbieranie funduszy dla Nawahów i Hopi, mocno dotkniętych pandemią COVID-19. Organizatorom zbiórki na portalu GoFundMe udało się jak dotąd zgromadzić ponad 5 mln dol. na wodę, jedzenie i leki, a kwota cały czas rośnie.

A liczba ich 36

Badacze z Uniwersytetu w Nottingham postanowili oszacować, ile cywilizacji może aktualnie rozwijać się na planetach Drogi Mlecznej. Przy obliczeniach założyli m.in., że ewolucja odbywała się na nich podobnie jak na Ziemi, i wyszło im, że zaawansowanych pozaziemskich społeczeństw może być w naszej części wszechświata nawet 36. Niestety, średnia odległość pomiędzy miejscami potencjalnego zamieszkiwania inteligentnego życia wynosi w naszej galaktyce aż 17 tys. lat świetlnych, co raczej wyklucza wzajemne odwiedziny, a nawet sensowny kontakt za pośrednictwem fal radiowych. Wielka szkoda, i to do potęgi 36.

FOT.BEWPHOTO, MOHAMMED SALEM/REUTERS/FORUM, ANONIMOWY INTERNAUTA(2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 91f094e227

Barbara Gronuś

Anna Dymna, 1970 r.

Wojciech Plewiński. Fotografie

Wojciech Plewiński należy do grona najwybitniejszych polskich fotografów. Jego nazwisko było dotąd kojarzone głównie z portretami młodych kobiet z okładek „Przekroju", z którym podjął współpracę w 1957 r. W ten sposób wylansował setki dziewcząt, a „Przekrój" stał się kopalnią nowych twarzy dla ówczesnego rynku filmowego. Wśród sportretowanych przez Plewińskiego kobiet były Beata Tyszkiewicz, Anna Dymna, Teresa Tuszyńska, Barbara Kwiatkowska i Ewa Krzyżewska. Nieco mniej znana jest jego fotografia reportażowa, zbierane latami cykle, a także znakomite zdjęcia dokumentujące spektakle teatralne. Wystawa bierze udział w tegorocznej edycji festiwalu Krakow Photo Fringe, który skupia wszystkie inicjatywy fotograficzne z terenu Małopolski, odbywające się równolegle z Miesiącem Fotografii w Krakowie.

Centrum Kultury i Sportu w Krzeszowicach
Galeria w Pałacu Vauxhall, ul. dr. J. Walkowskiego 1
do 30 września

Dziewczyna z okładki „Przekroju"

FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI/MATERIAŁY PRASOWE

Jolanta Rusonek, 1976 r.

eprasa.pl 91f094e227

Fot. Maciej Moskwa/TESTIGO

POMOC NIE MOŻE POMIJAĆ NIKOGO

Aby pokonać koronawirusa,
musimy działać globalnie i solidarnie.

WPŁAĆ:

www.pah.org.pl/koronawirus
02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

pah
Polska Akcja Humanitarna

Festival del film
Locarno
Konkurs Główny
tiff
Toronto International
Film Festival 2019
Konkurs Główny
The
Chicago
International
Film Festival
Konkurs Główny
Nie daj się zwieść temu,
co ukryte jest pod płaszczykiem pozorów...
ZAGINIONA
DZIEWCZYNA
reżyseria Kōji Fukada
W KINACH OD 3 LIPCA
AURORA